

prof. dr hab. Edward Prus



UKRAINO POKOCHAJ PRAWDĘ

*Projekt Pomnika Ofiar Ludobójstwa na
Kresach Wschodnich II RP. Autor: prof.
Marian Konieczny. - wersja II.*

Eseje z łamów tygodnika



Wydawca:
Goldpol sp. z o.o.
04-782 Warszawa
ul. Brzoskwińska 13

O autorze

KRESOWEJ LEGENDY HULAJ-POLE

Piszę o człowieku na swój sposób niezwykłym, niezwykłym ze względu na jego niezwykle książki i na niezwykłą w naszych czasach bezkompromisową postawę Polaka, „niemodnego” patrioty, który prawdę i honor ukochał ponad wszystko.

Jakże mizernie wyglądają przy nim jego „podszczypywa-cze” - nawet ci rodzimego chowu, którzy Profesorowi wiele zawdzięczają, a może nawet wszystko, a od których odpędza się do dziś jak od ujadających kundli, bo też nimi są. I o to mam do Profesora pretensje, że się nimi w ogóle zajmuje, robiąc im darmową reklamę. Kto w Australii słyszał kiedyś o jakimś Leżoniu? Dziś, dzięki Profesorowi, śmieją się już z niego i nim pogardzają wszyscy Kresowianie. Kto kiedy słyszał o jakimś Skalskim? Owszem, nazwisko to od lat bulwersuje Bytom - od afery korupcyjnej do afery kryminalnej. Sprawili one, że nawet komuchy nie chciały go mieć w swoich szeregach i wyrzuciły na zbity pysk z PZPR. Trzeba być wyjątkowo „odważnym”, albo wręcz bezczelnym, żeby po tylu aferach dopuścić się jeszcze jednej, a związanej tym razem z tzw. centrum kresowym, które w rzeczywistości jest folwarkiem państwa S. Dziś to nazwisko za prokuratorem rejonowym powtarza cała Polska!

Mam pretensję do Profesora, że zezwolił panu S. na tak dużą swawolę, bo ten nie pytając nikogo o zgodę, za pieniądze UM w Bytomiu oraz ze składek naiwnych Kresowiaków, urządził sobie przy ul. Moniuszki 13, pod płaszczykiem „centrum kresowe-

go” własną kancelarię prawną, redakcję swojego radia, restaurację i biuro turystyczne. To ci dopiero „kresowe” Hulaj-Pole!

Jesteś Profesorze Kawalerem „Krzyża Niezlomnych”, Kawalerem Krzyża „Semper Fidelis” - wierny Bogu, Honorowi i Ojczyźnie, Kanclerzem „Suwerennego Orderu Chwała i Sława Słowian”, kreatorem wielu ważnych inicjatyw sejmowych i rządowych dotyczących Kresów, więc co może Ciebie łączyć z ludźmi o wyjałowionej umysłowości? Szanuj się Profesorze, odwróć się od śmierdzącego „kangurowego łajna”, od bytomskiego aferzysty, któremu nikt z uczciwych ludzi nie podaje ręki, odwróć się od innych tego samego pokroju, żeby nawet cień „Legends Kresów” nie padł na któregoś z nich, bo nawet ten cień ich nobilituje.

Po tym apelu przechodzę do sedna sprawy, tj. do twórczości Edwarda Prusa, konkretnie do jego „Hulaj-Pola”, nie tego umysłowego, lecz historycznego, które zachęciło mnie do sięgnięcia po pióro. W jakiejś gazecie ukraińskiej o szowinistycznym nastawieniu napotkałem o nim dwuwiersz:

Lehenda Ksesiw, sokil podilskyj,

Prosto każuczy: żyd tarnopilskyj.

Żyd, agent KGB, pezetpeerowiec, pronowiec, „klasyk antyukraińskiej literatury uprawiający kakagebowską sienkiewiczzyznę” - to najczęściej powtarzane kłamstwa ukraińskich hitlerowców po każdorazowym ukazaniu się nowej książki E. Prusa - a doliczyłem się ich już trzydzieści. Każda z nich wymaga osobnego omówienia - od „Pannacjonalizmu” począwszy. W tej niewielkiej książeczce, bo liczącej zaledwie 120 stron, Prus pokazał antypolską działalność ukraińskich szowinistów na emigracji, nawiązując do ich zbrodni popełnionych na Polakach i Żydach. Falszując rzecz jakiś kretyń z Suchego Boru napisał za judaszowe srebrniki, że E. Prus w „Pannacjonalizmie” zwalcza ruchy wyzwolenicze w krajach podsowieckich.

Prus, jak należy się tego domyślać, pochodzi z Podola, skąd został wypędzony przez „wspólnotę NKWD i UPA”. „Kresy stały się jego obsesją, najpierwszą i, zdaje się, ostatnią miłością, a ponadto jest on śmiertelnie chory na Polskę; na pierwszym miejscu stawia honor, a w sumie jest geniuszem odwagi. Tego, czego dokonał odważnie z narażeniem siebie i rodziny, nie dokonał nikt. Dlatego jest tak nienawidzony przez ukraińskich nacjonalistów i ich skundlałych polskich pomocników” (Prof. Alexander Dawidowicz). Całe piśarstwo Prusa i gruntowne badania przedmiotu, prawdę tę potwierdzają. Ta praca Ojczyźnie się opłaca bo - jak o niej mówił Jan Paweł II - „praca uczonego - posługa myślenia - to także służba prawdzie w wymiarze społecznym, to powołanie. Tylko ludzie uformowani przez mądrość zdolni są kształtować przyszłość Ojczyzny”. Radził też Ojciec Święty nie przejmować się tymi, którzy „za twoje książki robią ci krzywdę i spotwarzają. Nie przejmuj się nimi, nikczemni do skwierali nawet świętym”.

Jest to najwyższa ocena twórczości „Legends Kresów”, a jednocześnie jego przepustka do nieśmiertelności!

Największą namiętnością dla Edwarda Prusa stała się historia osądzona krytycznie, ale też będąca przedmiotem „osobliwego nabożeństwa”. Dzięki temu Prus stał się autorytetem środowiska nie tylko historycznego. Jego artykuły pojawiają się w „Życiu Literackim”, „Przeglądzie Tygodniowym”, „Kamienie”, wreszcie w nieodżałowanym „Tak i Nie”. Są polemiczne, zaczepne. Zjednują mu sympatyków, przysparzają zaciętych wrogów ze środowisk zakamuflowanych banderowców tu i ówdzie dzierżących władzę sekretarzy partyjnych i cenzorów. Z cenzurą profesor miał zawsze kłopoty; na szczęście w jej organie centralnym miał koleżankę ze studiów myślącą po polsku i ta anulowała większość „zastrzeżeń” cenzury lo-

kalnej. Ich furię wywoływały opublikowane w „Tak i Nie” szkice „Dramaty pogranicza” oraz „I wiatr usnął na kurhanie”. Demaskował w nich zbrodniarzy banderowskich, bronił naród ukraiński przed stereotypem ryzuna, chwalił międzywojenną politykę narodowościową RP i uznawał rację „Akcji Wisła”.

Nie spodobało się to kacykom partyjnym: Andrzejowi Werbłanowi, Zdzisławowi Grudniowi, Czesławowi Madajczykowi czy jawnym fałszerzom typu Jerzy Tomaszewski - i ta ich niechęć sprawiła, że E. Prus w tajemnicy absolutnej habilitował się nie w Katowicach, lecz w Poznaniu. Ukazują się w tym czasie najpoczyńsze jego książki: „Władca świętojurski”, „Herosi spod znaku tryzuba”, „Atamania UPA”. Trwa praca na tryptykiem „Hulaj-Pole”. Jest także czas uczestnictwa w przedsięwzięciach zmierzających do zorganizowania Kresowian w ruch społeczny. Profesor współorganizuje Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Polskie Stronnictwo Kresowe, wreszcie Światowy Kongres Kresowian. Redaguje liczne apele i dokumenty ze słynnym „Pro memoria” skierowanym na ręce Prezydenta RP L. Wałęsy i nie mniej głośny list do Prezydenta RP A. Kwaśniewskiego - „Hańbisz nas Polaków Panie Prezydencie”. Chodziło w nim o niejakiego Bohdana Osadczyka oddelegowanego przez ukraińskich nazistów, jako rzekomego przyjaciela Polaków, do „robienia im wody z mózgu”. Idąc za podszeptem złych doradców, Wałęsa odznaczył go Orderem Zasługi, a Kwaśniewski wziął na swojego doradcę. Był to w tym czasie największy sukces nacjonalistów ukraińskich w Polsce.

Osadczyk nie pozostał profesorowi dłużny, wylał nań olbrzymi kubeł pomysł z ohydnych kłamstwami. W swojej melnykowskiej furii posunął się nawet tak daleko, że bezpartyjnego E. Prusa nazwał „zakamieniałym pezetpeerowcem” i „agentem KGB” w latach, w których E. Prus miał... 8 lat.

Jemu się nie dziwię, boć to zapiekły wróg Polaków, dziwię się jednak tym ludziom, którzy dla tych antypolskich, nawet antyludzkich „wyskoków” udostępniają mu łamy „Tygodnika Powszechnego”, „Gazety Wyborczej”, „Rzeczypospolitej”, a wreszcie, ku ogólnemu osłupieniu Kresowian, „Semper Fidelis”. Wielu wtedy zastanowiło się: na ile prawdziwe są słowa uchwały Prowodu Krajowego OUN mówiące: „dążyć do opanowania Semper Fidelis” i czy tak już jest naprawdę? Nie znamy nazwiska osoby, która swoją decyzją pohańbiła nasze pismo i nas wszystkich „przy okazji”, a szkoda - bo z dziką radością plunąłbym jej w twarz!

Organizacje kresowe, kombatanckie i narodowo-patriotyczne wzięły w obronę autora „Tarasa Czupryni”, bo właśnie po jego ukazaniu się wrocławski kundel zaczął węszyć, pisywać do Gdańska i Londynu, wreszcie namówił J. Maca z polskojęzycznego „Wprost”, aby na jego łamach zamieścić kolejną wersję, po raz setny już spreparowanego, „życiorysu” profesora. Odezwał się Londyn gromkim głosem Romualda Wernika, z Chicago przemówił Rudolf Veit i J. Młotkowski, z Nowego Jorku Zygmunt Garlicki i Jaromir Morosiewicz, z Toronto Wiesław Magiera i Zygmunt Małyszycy, z Melbourne Adam Smyczyński, z Polski Feliks Budzisz, Wiesław Konopka, Jacek Wilczur, Wł. Kubów, S. Żółkiewicz, K. Walczak i wielu, wielu innych w kraju i na obczyźnie.

W liście do „Gazety Wyborczej”, w której paszkwilant Jacek Hugo-Boder pluł na E. Prusa art. „Rycerz stepowej stolicy”, dr K. Walczak, w imieniu Stowarzyszenia Pamięci Orłów Przemyskich, podkreślał charyzmę autora „Hulaj-Pola” jako niekwestionowanego przywódcy duchowego Kresowiaków i pierwszego przewodniczącego Polskiego Stronnictwa Kresowego (PSK) - politycznej reprezentacji Kresowian. Wreszcie stanowcze posłanie gliwickiego oddziału PSK

„Niech imię jego będzie błogosławione”, ostrzegające wszystkich przed zgubnymi skutkami dla Kresowian, jeżeli nie staną w sposób zwarty w obronie swojego lidera.

Prus za swoje piarstwo płacił wysoką cenę, oskarżony o czyny, których nie popełnił, a przy tym nie dano mu szans obrony. Jego sprostowań, wbrew prawu prasowemu, nie zamieściły ani „Wprost”, ani „Gazeta Wyborcza”. Nie zamieścił także „Semper Fidelis” repliki na paszkwile D. Nespiaak i Cz. Blicharskiego; kwartalnik zlekceważył także osoby, które chciały zaprezentować na jego łamach dokumenty świadczące o tym, że D. Nespiaak i Cz. Blicharski kłamią - bo nie mieściło się to w duchu głośnej uchwały Prowodu Krajowego OUN. Jaki wstyd! „Tym, co najbardziej mną wstrząsnęło - piase ostatni przedwojenny drużynowy ZHP z podolskich Załoziec druh Kacper Wojnicki - po dokonany na E. Prusie publicznym, a przecież kapturowym, samosądzie, była świadomość, że oto wszyscy myślący Kresowianie żyją w RP na zasadzie wyroku z zawieszeniem. I że każdemu z nich można to zawieszenie cofnąć. Że nasze dobre imię nie jest wynikiem naszych zasług, ale faworów ukraińskich nacjonalistów”.

Prus nie był nawet panem swojego biurka, do którego włamano się już w 1980 roku. Włamanie do domu, rabunek najcenniejszych rzeczy, w tym pamiątek rodzinnych. Nie one były jednak celem rabusiów, lecz materiały dotyczące OUN i UPA. Zginęły więc zdjęcia (ponad sto), bogata literatura przedmiotowa wielojęzyczna, część oryginalnych dokumentów z „Akcji Wisła” pozyskane z archiwum V OW w trakcie jego likwidacji; zginęły przede wszystkim gotowe opracowania, a wśród nich „Oszukany faszyzm”. Później jego fragmenty cytowali: M. Siwicki, P. Tym, Wł. Mokry i M. Czech jako rzekomą „ekspertyzę” opracowaną dla SB.

Tę sytuację E. Prus uczynił siłą swoich badań i piarstwa.

Odkrył, że w historii zawsze żyje się z wyrokiem w zawieszeniu, gdyż dziedziczy się zwykle jakiś „status quo”, fakty zastane i kłopotliwe, które pętają swobodę działań. Ale to od nas ostatecznie zależy, jaki zrobimy użytek z tak ograniczonej wolności i czy uda nam się ją kiedyś poszerzyć.

Pisarstwo E. Prusa jest ewenementem na obecnym naszym rynku księgarskim. Autor „Patriarchy galicyjskiego”, choć zna wszystkie pułapki historii, otwarcie przyznaje się do ufności w nią. Nie ukrywa, że uważa ją za nietrwały dom człowieka, dom, w którym w dodatku często straszy. Przekonuje nas jednak, że to nasz dom jedyny, o który powinniśmy dbać.

Wierzy w historię inaczej niż wymaga tego styl polityki wschodniej - nie po filobanderowsku, nie ulegając presji determinizmu, z którego uproszczeń „uzgodnionych” przez wyselekcjonowanych historyków polskich i ukraińskich, szydzi i słusznie. Pokazuje palcem tych, co UPA zwą „armią wyzwoleniczą”, a jej bojówkarzy - żołnierzami. To nie historycy, lecz ideolodzy, ludzie nowej władzy, a może Brukseli i Waszyngtonu, święcie przekonani, że tylko oni mają monopol na prawdę historyczną. Pyta ich zaczepnie: „kto i kiedy dowiódł, że tylko słuszne przekonania tworzą dzieje? Taką ‘historię’ już przerabialiśmy”. Sam odkrywa co innego - że historia eksponująca niespodzianki, „ślepe trafy” i wolne wybory ludzi, którzy nie zawsze mają rację, jest bogatsza i atrakcyjniejsza od ideologicznego samochwalstwa „strażników” konieczności dziejowej, którzy stoją, rzekomo, na pozycjach „polskiej racji stanu” na Wschodzie. W imię tej „racji” poświęca się mieszkających tam rodaków. Historia to dla E. Prusa wielki, nie kończący się spektakl, bez obmyślonego z góry finału i zaprogramowanych ról.

Prus wykazał przekonywająco, że ukraiński nacjonalizm integralny nie ma w sobie nic budującego, sam jest tworem

zdołnym, jako „defekt historii”, do burzenia i niszczenia. W czasie wojny niszczył nie tylko żywą, ludzką substancję, niszczył wszelkie dobro materialne. Po wojnie znów, w wolnym państwie ukraińskim niszczy wszystko to, co może służyć narodowi. Żyje jak pasożyt z tego, co pozostawiła po sobie komuna. Mówi się czasami, że na Kresach toczyła się „wojna polsko-ukraińska” - czemu Prus stanowczo zaprzecza. Natomiast podkreśla, że działo się tam coś znacznie gorszego niż wojna. Tam banderowcy zabijali nie tylko ludzi, zabijali własną ojczyznę, o którą jakoby walczyli. I w ogólności, poza prowodyrami, nie zdawali sobie sprawy z tego, co robili.

Może to paradoks, a może zamię czasu, że E. Prus, uważany za rzecznika prawdy, krytyka, demaskatora mitów na styku polsko-ukraińsko-rosyjskim, odgrywa - i nie będzie to żadne zuchwalstwo - rolę podobną do tej, jaka przypadła Sienkiewiczowi - „ku pokrzepieniu serc”. Prus krzepi serca Kresowiaków! Niezależnie od wszystkich różnic zajmuje po autorze „Trylogii” miejsce duchowego przewodnika Kresowian i kresowego terapeuty. Tworzy w zniewolonej PRL najbardziej sugestywną konsolację historyczną - przekonuje, że dzieje nie muszą być dla Polaków tylko domeną kłęski, lecz mogą stać się również źródłem nadziei. Czy trzeba tłumaczyć, jak wielką było to otuchą po tym wszystkim, co przeżyli Polacy na Kresach od 1939 po rok 1947?

Zresztą E. Prus, choć krytyczny, jest także „Trylogią” zafascynowany. Jego książki, zwłaszcza „Legenda Kresów” i „Hulaj-Pole”, żywią się nią. Jej obecność łatwo rozpoznać w cytatach, mottach, replikach, aluzjach. Jej duch panuje nad wyobraźnią profesora, sprawiając, że ten demaskator oddaje się, jak Sienkiewicz, nostalgicznym wspomnieniom o dawnej historii szczęśliwej. Podole słoneczne to wieczna Prusowa Arkadia! Kultuwuje jagiellońskie marzenia o wspól-

nej drodze przez dzieje Polski i narodów wschodnich; ostrzega, że nie przyjęcie tego punktu widzenia „zuboża dzieje Ukraińców, Białorusinów i Litwinów”. Miota się, jak autor „Trylogii”, między miłością a żalem do „sławnych anetanatów”, których, szczególnie w „Hulaj-Polu”, uważa za twórców i grabarzy świetnie zapowiadającej się historii Rzeczypospolitej Obojga (Trojga) Narodów. Wreszcie, podobnie jak Sienkiewicz, przetwarza w „Hulaj-Polu” dzieje Kresów w wielką opowieść o bajecznej szansie schwytej w potrzask, o zmarnowanej możliwości. Optymistycznym mitotwórstwem jest także przekonanie E. Prusa, że wspólne dzieło unii lubelskiej nie znalazło się w rękach partaczy. Przeświadczenie o możliwości uniknięcia katastrofy jest fascynujące, ale i niepokojące. Profesor wdziera się w przeszłość, stale trzyma rękę na pulsie dziejów, choć przecież nic w nich nie może już zmienić. Sarmackie dusze cierpią męki, gdy dochodzi je głos profesora, komentującego ich niegdysiejsze poczynania w historii.

Dla Kresowiaków każda książka E. Prusa jest inspirującą lekturą, tym bardziej, że profesor mówi nie po profesorsku, lecz dobrze im znanym językiem. Dla E. Prusa - obserwatora i sędziego, żyjącego w zdegenerowanej za sprawą OUN-UPA historii i pragnącego zmienić swą sytuację - najważniejszy jest rachunek win i błędów. Dlatego staje się rzecznikiem i sędzią. Lecz jakże pełen sprzeczności - krytycznym i patetycznym, oskarżycielskim i pocieszycielskim, przepelnionym miłością, zachwytem, a za chwilę niechęcią i żalem.

Wierzy jak romantyk w znaczenie gestów bohaterskich, które w szczególnych okolicznościach stają się znakami tożsamości zbiorowej lub testamentem dla przyszłych pokoleń. Widać to wyraźnie w „Legendzie Kresów”. Odrzucając zbanalizowane interpretacje historii, stara się odkrywać w niej

to, co zasługuje na miłość i dumę. „Hulaj-Pole” czy „Unia Brzeska” - to niemilknący hymn na cześć polityki polskiej i kultury łacińskiej. E. Prus wydobywa z dziejów Rzeczypospolitej te wartości, które spajają ją z tą kulturą, a niekiedy wyprzedzały o wieki to, co powszechnie uważa się dziś za normę europejską.

Podziw E. Prusa dla piękna i znaczenia Kresów dla Polski jest jak kompas dla Kresowian miotających się między kompleksem cywilizacyjnej niższości a wybujałym megalomaństwem. E. Prus pomaga Kresowiakom odzyskać tożsamość, a wraz z nią szacunek dla samych siebie. Jego książki podtrzymują wiarę w to, że polskość kresowa jest najwyższego lotu, podobnie jak patriotyzm, a sama kresowość jest dziedziczna.

Prus podkreśla niezwykłość ojczyźnej historii. Bo niezwykle i nowatorski w Europie firmujących się monarchii absolutnych był projekt unii lubelskiej. Profesor, emocjonalnie z nim związany, żyje nostalgią „polskiej drogi” w dziejach. Nie widzi w niej kolonialnej ekspansji, jak to wmawiają Ukraińcom ich „historycy od siedmiu boleści”, lecz spełnienie pięknego marzenia o wielonarodowej ojczyźnie wszystkich, o wielkim domu, w którym każdy jest u siebie i troszczy się o wspólny dom.

To piękne marzenie było, według profesora, śmiałym przekroczeniem czasu, wyprzedzeniem historii. Dlatego wciąż pozostaje mu wierny - i zaświadczył to dedykacją w „Hulaj-Polu”. Pielęgnowanej przezeń nostalgii jagiellońskiej Rzeczypospolitej nie zmieniły dramatyczne dzieje: ani rok 1920 na Ukrainie, ani okupacje niemiecka i sowiecka. A przecież widział doskonale, jak w „ślepej nienawiści bojowców OUN-UPA dogorywały na Kresach polityczne tradycje Rzeczypospolitej Obojga Narodów”. Obserwując nienawiść do Polaków

ukraińskich szowinistów rozumiał jak bardzo zatruta jest tutaj „krew pobratymcza” i jak trudno będzie Polakom wybaczyć hajdamackie winy. A mimo to wciąż, jak się wydaje, żyje marzeniami o unii narodów, które wciąż jeszcze jako Słowianie mają szansę, by wspólnie wygrać korzystniejszy los w historii.

Ten korzystniejszy los to przede wszystkim dobre sąsiedztwo i współdziałanie Polski z narodami wschodniego pogranicza. Uważa, że dobre sąsiedztwo należy budować - co podkreślał w Przemyślu na historycznym Światowym Zjeździe Kresowian AD 1998 - na prawdzie, na wiedzy i sprawiedliwej ocenie trudnej historii tego zakątka świata, na szacunku dla odmiennych obyczajów i religii. Uważa też, że oczyszczenie prawdy ze stereotypów umożliwi (co także głosi Wiktor Poliszczuk) nie tylko zgodę narodów, ale pomoże im odzyskać nadwątloną tożsamość i podmiotowość historyczną, a wraz z nimi - przyszłość. Prusowi marzy się promieniowanie na Wschód. Jego polskość ma dawać, ale i czerpać z kultur sąsiedzkich - zwłaszcza ze skarbcza pozostawionego przez Ruś Kijowską. Prus wciąż się ludzi, drażniąc różnych „uzgadniaczy” lub zwyczajnych fałszerzy historii, których się namnożyło, swoją bezkompromisowością i prawością charakteru. Przypomina, że wiedza o błędach przeszłości może ustrzec od katastrofy w przyszłości. Dlatego radzi uważnie patrzeć na ręce ukraińskich nacjonalistów i wsłuchiwać się w ich „wilcze wycie”. A ponieważ nie dowiedziono jeszcze, iż nieprawdą jest, że historia to nauczycielka życia, może warto od czasu oglądać się wstecz. Warto także sięgać po książki E. Prusa - i dowiedzieć się prawdy: czemu jedni kochają go i podziwiają i za co, a inni - w tym polscy „pożyteczni głupcy” - go zoologicznie nienawidzą.

„Hulaj-Pole” E. Prus poświęcił Wiktorowi Poliszczukowi. Ten historyk i politolog ukraiński mieszkający w Kanadzie,

to „najnowsze odkrycie” profesora. Nie tylko go odkrył, ale i poparł wszystkimi siłami, ponieważ obaj ci szlachetni twórcy doszli w swych badaniach do wspólnych wniosków, że: OUN-UPA to formacja zbrodnicza; UPA nie była żadną armią powstańczą, lecz bandą morderców; nacjonalizm ukraiński to hitleryzm w galicyjskim wydaniu. A ponadto: nacjonaliści ukraińscy dziś, aby móc egzystować, muszą mieć swojego wroga, coś lub kogoś, kogo należy systematycznie opluwać i nienawidzić, a którego sztandarem można by czyścić buty dla uciechy gawiedzi, jak to już miało miejsce we Lwowie bez ostrego protestu strony polskiej.

Nacjonaliści ukraińscy potrzebują wrogów. Polacy i Polska - to dla nich naturalni wrogowie, tak bowiem opiewa ich ideologia. Wrogość Polski ma się objawiać m.in. tym, iż jest ona „okupantem Zakierzoni”. Fundamentem ideologii ukraińskich nacjonalistów jest przekonanie, że dla Ukraińca życie w Polsce jest nie do zniesienia. Dla nich obóz w Jaworznie i „Akcja Wisła” są dowodem słuszności ideologii nacjonalistycznej. Tak więc banderowcy, także ci żyjący w Polsce, są zainteresowani w podtrzymywaniu negatywnego obrazu Polski i Polaków. Zatem banderowcy mają psychologiczną potrzebę podtrzymywania antypolskiego, albo, jak to nazywa E. Prus, antylechickiego stereotypu. Pomagają im w tym różni polscy „pożyteczni idioci” lub jawni fałszerze, albo co gorsza - płatni agenci; pomagają im też media, a nawet niektórzy, zupełnie niezorientowani amatorzy u władzy, na większą hańbę narodu polskiego, lub wręcz na jego zgubę. Odkrycie tych prawd musiało spowodować lawinę kłamstw największych i nienawiści nie mającej sobie równej.

Polacy i ukraińscy patrioci rozumieją wagę wysiłków obu uczonych Prusa i Poliszczuka, wyrazem tego są liczne hołdy i wyróżnienia. Dla przykładu: Instytut Kresów Wschodnich przyznał im, każdemu z osobna, Międzynarodową Nagrodę

im. ks. prof. Szczepana Szydelskiego „za odwagę głoszenia prawdy, demaskowania fałszerstw historycznych, ujawnianie zbrodni przeciw ludzkości i ludobójstwa dla pojednania bratnich narodów polskiego i ukraińskiego”. Natomiast Związek Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej przyznał E. Prusowi „Honorową Odznakę Obrońców Ludności na Kresach Południowo-Wschodnich II RP”. Czy może być jeszcze coś wymowniejszego, co by nie pozwoliło nam, Polakom, bronić z całych sił E. Prusa przed atakami zbirów? Aby rzecz pojąć do końca, należy nie zwlekając sięgnąć po „Gorzką prawdę” W. Poliszczuka i wszystkie dzieła Edwarda Prusa.

L. B.

60. rocznica apogeum ludobójstwa na Kresach

TAK ZWANA UPA

Motto:

Śmierć jednego Polaka, to metr wolnej Ukrainy.

(z ulotki OUN-UPA)

Pod tym złowieszczym skrótem ukrywa się ludobójcza formacja o mylącej, acz pompatycznej nazwie, Ukraińska Powstańcza Armia. Powstała ona na Wołyniu w październiku 1942 roku jako antypartyzantka do popełniania na Polakach ludobójstwa nazywanego dziś „czystką etniczną”. UPA została powołana do życia przez faszystowską Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) założoną w 1929 roku przez grupę osób zauroczonych faszyzmem włoskim i nazizmem niemieckim i w oparciu o zasady doktrynalne głoszone przez Dmytra Doncowa.

W pierwszej swej uchwale OUN zakładała usunięcie (wymordowanie) czyżynców, czyli wszystkich nie-Ukraińców mieszkających na „etnicznym terytorium ukraińskim”, którego granice sama wyznaczała. Cel swój realizowała drogą terroru, sabotażu i zamachów na życie osób uznanych za niewygodne - Polaków i Ukraińców. Kierowała się hasłem: „Trzeba krwi - dajmy morze krwi! Trzeba terroru - uczynimy go piekielnym!”.

Ponieważ OUN miała charakter antypolski, więc korzystała z poparcia moralnego i wsparcia finansowego wrogów Polski - Niemiec i Związku Sowieckiego (Kominternu). Działania sabotażowe polegały na rozkręcaniu szyn kolejowych (ginęli wtedy ludzie), na niszczeniu linii telefonicznej, na pale-

niu stert z „polskim zbożem”, na napadach na listonoszy niosących pieniądze. Ze znanych udanych zamachów najgłośniejszymi były: zabójstwo dyrektora gimnazjum ukraińskiego Iwana Babija oraz ministra spraw wewnętrznych RP Bronisława Pierackiego.

OUN w 1939 roku usiłowała także wywołać na obszarze Małopolski Wschodniej antypolskie powstanie zbrojne, aby w taki sposób ułatwić agresję na nasz kraj III Rzeszy i ZSRS. Chodziło w tym powstaniu, w myśl wytycznych ministra spraw zagranicznych Niemiec J. Ribbentropa, „żeby wszystkie polskie dwory i zagrody poszły z dymem i żeby wszyscy Żydzi zostali wymordowani...”.

Powstanie w zaplanowanej formie nie wybuchło, niemniej ukraińscy etnonacjoniści, wspólnie z Żydami, zostali wiernymi sojusznikami sowieckiego okupanta. To właśnie oni typowali Polaków przeznaczonych do wywózki na Sybir.

Po drugiej stronie Sanu i Bugu, gdzie Niemcy utworzyli tzw. Generalne Gubernatorstwo, nastąpił w 1940 roku rozłam OUN na dwie frakcje: banderowców (Stepana Bandery) i melnykowców (Andrija Melnyka). Ci drudzy swoje nadzieje wiązali z „legionem Suszki”, który jako jedyna cudzoziemska jednostka legionowa wziął udział (w niemieckich mundurach) w agresji na Polskę 1939 roku. Banderowcy znowu utworzyli za niemiecką zgodą batalion „Nachtigall” sławiony pogromem Żydów i współudziałem w likwidacji profesury lwowskiej 1941 roku. Przekształcony w jednostkę policyjną „Nachtigall” (już jako kureń im. Konowalca) brał udział w zwalczaniu ruchu oporu i w likwidowaniu gett żydowskich na Polesiu i Wołyniu. Ostatnie getto wołyńskie zostało zlikwidowane 13 października 1942 roku.

Żydzi, którzy zdołali unieść głowy z pogromu, znaleźli się w lesie, część ukryli chłopcy polscy. Po tej masakrze byli „na-

chligallowcy” 14 października, udając ucieczkę, zostali skierowani do lasu dla wyłapywania Żydów i mordowania Polaków, którzy tych Żydów ukrywali. W taki sposób 14 października powstała UPA.

Jest sto relacji potwierdzających tę „gorzką prawdę”, bywało bowiem, że upowcy (banderowcy) żądali od Polaków wydania im ukrytych Żydów, w przeciwnym wypadku grozili napadem. Nieznany jest choćby jeden fakt spełnienia przez Polaków tego żądania; ginęli zatem razem z Żydami. Dziś Żydzi z „wdzięczności” nazywają tych Polaków „antysemitami”.

Zatem inspiracja niemiecka była wyraźna i z niemieckiej strony „uzasadniona”, wkrótce jednak banderowską UPA zaciekał się drugi okupant - Sowieci, także zainteresowani depolonizacją Kresów. Trzy siły sprzymierzyły się przeciwko Polakom, każda, rzecz jasna, w własnym interesie. Każdej z nich bowiem zależało na pozbyciu się wciąż niebezpiecznych Polaków z Kresów. Najmniej jednak Niemcom, którzy w pewnym momencie zostali porażeni ogromem zbrodni, a przede wszystkim okrucieństwem UPA. Banderowcy bowiem nie zabijali swoich ofiar, tylko mordowali na, jak to ustalił Aleksander Korman, przeszło 360 „sposobów”, a przy tym, wbrew niemieckim życzeniom, popartych bronią i wyposażeniem wojskowym zanarchizowali kraj. Dlatego Niemcy wniosą 1944 roku wezwali banderowców do opamiętania. „Uważacie siebie - pisali w ulotce - za nacjonalistów i wrogów bolszewizmu, jednakże jak to udowodnicie? Kiedy niemiecki żołnierz walczy i umiera na froncie, wy palicie na tyłach wsie i chaty i zabijacie bezbronnych mężczyzn, kobiety i dzieci, niszcycie majątki... Jak długo chcecie przedłużać to dzieło?! Czy myślicie naprawdę w ten sposób pomóc włanemu narodowi? Jeżeli w to wierzycie, to się bardzo mylicie, ale jeżeli jesteście świadomi czynów, wówczas jesteście zbrodniarzami! Zbrodniarzami i zdrajcami przede wszystkim wobec własnego

narodu, którego imię plugawicie swoimi czynami... bandami nikt jeszcze niczego nie wygrał.” Nic tu dodać ani ująć.

Rzeź Polaków rozpoczęli banderowcy na Wołyniu, a do jej symbolu urosła „Akcja na św. Piotra i Pawła” rozpoczęta w niedzielę 11 lipca 1943 roku. Dokonano wtedy zorganizowanego najazdu na 100 polskich miejscowości, w tym na 11 kościołów w czasie nabożeństw. Wtedy pod nożami i siekierami padło 30 tys. osób. Na Wołyniu banderowcy nie poprzestali, ich nawała ruszyła na trzy województwa wschodniomałopolskie: tarnopolskie, stanisławowskie i lwowskie. Polacy wschodniomałopolscy przeżyli swoje apogeuum dopiero w dobie drugiej okupacji sowieckiej. Wyróżniło tu ich cztery razy więcej niż na Wołyniu. Banderowców w sposób poufny wspierały sowieckie służby specjalne na wyraźny tajny rozkaz N. Chruszczowa, ówczesnego szefa bolszewików na Ukrainie i Ł. Berii, szefa sowieckich służb specjalnych. Sowieci bowiem chcieli jak najszybciej pozbyć się Polaków z Kresów, którzy ludzili się, iż jakaś konferencja międzynarodowa sprawi cud i Kresy pozostaną przy Rzeczypospolitej. Aby ich zmusić do uciezki, należało utrzymywać UPA w stałej gotowości do rzezi. Jeden z ostatnich mordów Polaków został dokonany w 1950 roku za ostatniego komandyna hołownego UPA Wasyla Kuka - „Kowala”.

To on rozkazał wyrznąć mieszkańców Dermania i sam nadzorował, żeby wszystkie studnie były zasypane polskimi dziećmi. Wstrząśnięty tą straszną zbrodnią Dmytro Pawłyčko, późniejszy ambasador Ukrainy w Warszawie, napisał przejmujący swoją nieludzką wymową poemat „Dermańskie studnie”, a w nim słowa:

Budesz Ukrajino, wowho pamiataty...

Wykołeni oczi, oczi zorianyci -

Budesz pamiataty dermański krynci.

Pierwszym komandymem hołownym UPA był Dmytro Klaczkiwśkyj - „Sawur”, któremu niedawno jego wielbiciele (w Polsce ich też nie brakuje) pozostawili w Równem pomnik. To on, realizując dyrektywę Mykoły Łebedia - „Rubana” - prowidnyka OUN w zastępstwie Bandery (który rozkazał „zlikwidować Polaków od niemowlęcia w kołysce do starca nad grobem”), rozpoczął rzeź Wołynia. „Nie może być mowy o wypędzeniu - przekonywał Łebed’ - ...chodzi o fizyczną likwidację Polaków ma miejscu”.

W rozkazie do podległych sobie atamanów „Sawur” pisał: „powinniście przeprowadzić wielką akcję likwidacji polskiego elementu. Przy wycofywaniu niemieckich wojsk należy wykorzystać ten dogodny moment dla zlikwidowania całej ludności polskiej... bitwy tej (sic!) nie możemy przegrać i za każdą cenę trzeba osłabić polskie siły... Wsie i wioski... powinny zniknąć z powierzchni ziemi...”

Rozkaz ten dokładnie realizowały kurenie UPA, ataman J. Stelmaszczuk - „Rudyj” pisał w tej sprawie bezpośrednio do Łebedia: „Druże ruban, zawiadamiam, że komandyr... Sawur przekazał mi ustnie tajną instrukcję w sprawie fizycznego wyniszczenia ludności polskiej... Dla wykonania tej dyrektywy poleciłem rzetelnie przygotować się do akcji przeciwko Polakom i wyznaczyłem odpowiedzialnych...”

Jeden z takich „odpowiedzialnych”, kirinnyj „Łysyj” meldował: „29 sierpnia 1943 r. przeprowadziłem akcję we wsiach Wola Ostrowiecka i Ostrówki... Zlikwidowałem wszystkich Polaków od małego do starego (967 osób, w tym 466 dzieci do lat 14. - E.P.). Wszystkie budynki spaliłem, mienie i chudobę zabrałem dla potrzeb kurenia”. Tego strasznego mordu dokonano pod hasłami: „Śmieć jednego Lacha to metr wolnej Ukrainy”, „Ukraina będzie, ma być czysta jak szklanka źródlanej wody”.

Widocznie były jakieś wahania, skoro „Sawur” ponownie nakazywał: „Trzymać się instrukcji: niszczyć Polaków i ich miejsca zamieszkania wszelkimi sposobami; uśmiercać także uciekających. W propagandzie (natomiast) głosić, że z polską ludnością UPA obchodzi się humanitarnie...” I jeszcze „ciekawostka”: „Żydów błąkających się po lasach... likwidować strzałami w tył głowy i głosić, że wyrok wykonali Niemcy”.

W sierpniu 1943 roku Klaczkiwśkiego na stanowisku komandyma hołownego UPA zastąpił Roman Szuchewycz - „Czuprynka”, który wcześniej był ukraińskim dowódcą „Nachtigall”. On też utworzył strukturę UPA dzieląc obszar jej działania na kraje - strefy operacyjne: UPA-Północ, UPA-Zachód, UPA-Południe i UPA-Wschód. Te znów podzielił na okręgi wojskowe, w których operowały kurenie (bataliony) i sotnie (kompanie) - w sumie 20-40 tys. rzezczy.

„Czuprynka” ze swej strony także wydał na wiosnę 1944 roku ludobójczy rozkaz: „W związku z sukcesami bolszewików należy przyspieszyć likwidację Polaków, w pień wycinać, czyścić polskie wsie palić, wsie mieszane - tylko ludność polską niszczyć. Zagrody polskie palić tylko w takim wypadku, jeżeli są one oddalone od zagród ukraińskich co najmniej o 15 metrów; za zamordowanie jednego Ukraińca czy przez Polaka, czy przez Niemców - rozstrzelać 100 Polaków.” W ulotce natomiast głosił: „Walkę prowadzimy bez pardonu, kto nie jest Ukraińcem... temu śmierć. Historycznym naszym wrogiem Polakom i Żydom - im wszystkim śmierć. Sława Ukrainie.”

Eskalację zbrodni usiłował, choć bardzo nieśmiało, powstrzymać metropolita greckokatolicki, najwyższy wówczas autorytet moralny Ukraińców, abp Andrzej Szeptycki, ale na próżno. W liście pasterskim „Do duchowieństwa i wiernych” pisał: „Byliśmy świadkami nawet strasznych morderstw dokonanych przez młodych ludzi, może nawet w dobrych za-

miarach, ale ze zgubnymi następstwami dla narodu”. Jednak na wieść o zamordowaniu przez banderowców dwóch biskupów prawosławnych i całej plejady księży katolickich, na zabójców ich (pośrednio na całą UPA) rzucił klątwę! Żalił się z tego powodu arcywładyka przed W. Siłą-Nowickim. „Rozmawiałem z Szeptyckim w okresie strasznych mordów - pisze on („Więź”, wrzesień 1989) - ...i on mówił: »Proszę Pana, ja jestem bezbronny. Nasz naród strasznie się zhańbił zbrodnią«. Pokazał mi napisany jakiś list, w którym potępiał zbrodnię, mówił »Jestem bezsilny«...”

Genocide - to ludobójstwo, zbrodnia przeciwko ludzkości. Termin ten wymyślił dla procesu norymberskiego Raphael Lemkin - prokurator amerykański. Definicja genocide w pełni pokrywa się z tym, co robiła UPA. Dlatego jej „czyny” zaliczone zostały do zbrodni ludobójstwa, które nie ulegają przedawnieniu. Na tym stanowisku stanęło 95 patriotów ukraińskich - deputowanych do Rady Najwyższej, którzy w sierpniu 1996 roku skierowali pismo „Do narodów, parlamentarzystów i rządów Ukrainy, Białorusi, Izraela, Polski, Rosji, Słowacji i Jugosławii”.

„...Na sumieniu OUN-UPA - czytamy tam - które uzurpowały sobie prawo do występowania w imieniu narodu ukraińskiego - setki tysięcy wymordowanej ludności cywilnej... Tak oto, tylko na Wołyniu i w Halicji, te formacje w bestialski sposób zamordowały co najmniej 100 tysięcy ludności za to tylko, że byli Polakami... Proponujemy utworzenie Międzynarodowej Komisji spośród obiektywnych fachowców (historyków, prawników) celem opracowania faktycznego materiału oraz opracowania wniosków prawno-politycznych odnośnie do działalności OUN-UPA podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu, celem następnego ich przekazania Trybunałowi Międzynarodowemu...” Oby tak się stało!

60. rocznica apogeum kresowego Holocaustu

Motto:

Aż do śmierci idź w zapasy o prawdę, a Pan Bóg będzie walczył za Ciebie.

(Ek 1 2,28)

**Szanowny Pan
Marek Siwiec
Szef Biura Bezpieczeństwa
Narodowego
przewodniczący Komitetu
Organizacyjnego Obchodów
60. Rocznicy „Wydarzeń na Wołyniu”**

Szanowny Panie Ministrze!

Z wnikliwą uwagą zapoznałem się z wywiadem, udzielonym przez Pana Pawłowi Smoleńskiemu na łamach „Gazety Wyborczej” (8-9.03.2003). Tekst przeczytałem kilkakrotnie i za każdym razem nasuwały mi się nowe uwagi i mnożyły wątpliwości powiększające „mieszane uczucia”. Pierwsze „uczucie mieszane” wywołała osoba przeprowadzająca wywiad, znana ze swoich licznych antypolskich wypowiedzi i zmierzająca konsekwentnie do wybielania OUN-UPA, a zarazem do rehabilitacji ludobójców - największych w Europie w dobie II wojny światowej. Do tego dochodzi jeszcze

wstydlive ukrywanie przynależności narodowej. Ja się nie wstydzę tego, że jestem Polakiem i gdziekolwiek jestem, w jakimkolwiek obcym kraju, z dumą podkreślam, że jestem synem Wielkiego Narodu, który dał światu Kopernika, Szopena, Papieża. Smoleński nawet w omawianym wywiadzie daje wyraźnie do zrozumienia („my Polacy”), że jest Polakiem. W Kijowie znów przedstawiał się jako Ukrainiec, a w Instytucie Yad Vashem uchodzi jeszcze za kogoś innego. Zatem jest niewiarygodny i każdy, kto się szanuje, z takim człowiekiem nie rozmawia. No, ale stało się!

Hipokryzja przebija też w „podchwytliwości” zadawanych pytań, w których nie pada słowo „zbrodnia”, tylko „wydarzenia” i to tylko ograniczone do Wołynia, choć Pan Smoleński wie doskonale, bo przecież nie jest tak do końca historycznym analfabetą, o tym, że „wydarzenia” owe dotyczą nie tylko Wołynia, ale także (lub nawet przede wszystkim) trzech województw wschodniomałopolskich, podarowanych Ukraińcom przez Stalina, mianowicie: tarnopolskiego, stanisławowskiego i lwowskiego.

Ponieważ wywiad ten został zainspirowany Pańską nową godnością - przewodniczącego komitetu do spraw „wydarzeń wołyńskich” - przeto odbywa się on w atmosferze autentycznego skandalu równego „wydarzeniom jedwabieńskim”, odznaczeniu przez A. Kwaśniewskiego Orderem „Orla Białego” największego współczesnego polakożercę, łże-profesora Bohdana Osadczyka, czy ostatniej afery Rywin-Michnik. Okazuje się, że tego typu skandale są nieodłącznym atrybutem obecnej smutnej rzeczywistości. O jego wartościach dla polityki mówił już w 1898 roku głośny wtedy publicysta Wacław Nałkowski w szkicu „Skandale jako czynnik ewolucji”.

„Skandale - pisał Nałkowski - nie stanowią w obecnej przemowej dobie czegoś przypadkowego, wyjątkowego:

owszem, stanowią one zasadę, prawo, konieczność ustroju... który gnijąc i ratując się reakcją, musi się stroić w maskę obłudy, jej zaś zdzieranie sprowadza skandale.” Dziś W. Nałkowski napisałby tak samo po tym, jak upokarzająco postąpił Prezydent RP z ofiarami OUN-UPA skupionymi w 30 organizacjach kresowych i kombatanckich.

Właśnie te organizacje utworzyły Ogólnopolski Społeczny Komitet Obchodów 60. Rocznicy Ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na Ludności Polskiej Kresów Wschodnich RP w latach 1939-1947. Nazwa Komitetu odpowiada rzeczywistości. Inicjator przedsięwzięcia - Kresowy Ruch Patriotyczny, z synowską, wręcz dziecinną ufnością zwrócił się do Ojca Narodu Polskiego, Prezydenta Najjaśniejszej o otoczenie go swoim patronatem. Kresowianie zawierzili słowom A. Kwaśniewskiego, iż jest on „prezydentem wszystkich Polaków”, nie bacząc na jego dotychczasową, w licznych przypadkach antypolską postawę, a zawsze antypolską względem Kresowian i przychylną nie-Polakom mieszkającym w Polsce, których ręce i sumienie nie zawsze są czyste. Innymi słowy: Kresowianie jeszcze raz zaufali Prezydentowi i jeszcze raz srodze się zawiedli.

Prezydent, świadom upokorzenia Polaków (przede wszystkim Kresowian, ofiar OUN-UPA), prośbę Kresowian „zawetował” i powołał własny komitet od „wydarzeń wołyńskich” wprowadzając doń osoby niewiarygodne, historycznych fałszerzy typu Grzegorz (Hryćko) i Motyka i kryptobanderowców typu Myron Kertyczak... Nie ma natomiast jawnego Żyda, choć prokuratura Izraela już dawno ustaliła, że ukraińscy etnonacjoniści są współodpowiedzialni za śmierć około 300 tys. ludności żydowskiej. Proponuję uzupełnić listę komitetu nazwiskami: prof. Dora Kacnelson - niedoszła ofiara OUN-UPA i mec. Waldemar Glazgal, którego ukrywałem na stry-

chu przez ponad pół roku po zamordowaniu mu rodziców przez ukraińskich ultranacjonalistów.

Aby nie mnożyć argumentów i przykładów załączam Panu Ministrowi moją książkę „Holocaust po banderowsku”. Natomiast komitet prezydencki (już uznany za łże-komitet) należy uznać za propozycję do konsultacji z organizacjami kresowymi, bo, jak rzekłem, w obecnym Komitecie znajdują się osoby nie mające moralnego prawa do tej, dla Polaków wręcz świętej, godności. Największe moje obawy budzą osoby już wcześniej wymienione z nazwiska. Sylwetkę G. Motyka i jego walory naukowe przedstawiam w załączonej recenzji jego „dzieła” pt. „Pany i rezuny”. W tym miejscu tylko przedstawię uzasadnienie Polaków z Wielkiej Brytanii, którzy „uhonorowali” go „Oślimi Uszami”:

„Dr Grzegorz Motyka w napisanych przez niego dwu książkach (jedna »Pany i rezuny« wspólnie z A. Wnukiem) oraz kilku rozprawach »historycznych« udowadnia, że nie zna faktów historycznych lub często się z nimi nie liczy, nagina je do potrzeb swoich teorii, zaś niewygodne przemilcza, bezkrytycznie daje wiarę propagandzie nacjonalistów ukraińskich i przyjmuje ją za fakty, demonstruje duże luki w posiadanych wiadomościach z zakresu interesującej go tematyki i chociaż pisze o stosunkach polsko-ukraińskich, nie zna ani języka ukraińskiego, ani dialektu galicyjskiego, co zamyka mu drogę do wielu źródeł. Wydaje się nam historykiem niedokształconym w tematyce jego zainteresowań i jest raczej publicystą szkodzącym sprawie polskiej teorii. Odnosimy wrażenie, że zamierza robić karierę idąc za popularnym dziś w niektórych kołach politycznych prądem, przemilczającym lub starającym się zafałszować prawdę, któremu też dla jemu wiadomych powodów być może postanowił usłużyć” („Głos Emigracji” nr 8, Londyn, listopad 2000).

Jest jeszcze jeden „drobiażdżek”, wiąże się on z przysięgą doktorską, którą złożył dr G. Motyka. Mówi ona wyraźnie, że historyk winien być rzetelny, kochać prawdę i brzydzić się kłamstwem. Dr G. Motyka przysięgę tę łamie notorycznie!

Należy się przeto zgodzić z oświadczeniem Prezydium Ogólnopolskiego Społecznego Komitetu Obchodów 60. Rocznicy Ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na Ludności Polskiej Kresów Wschodnich RP w latach 1939-1947, że w Komitecie prezydenckim „znalazły się... osoby znane ze swoich sympatii do ukraińskiego nacjonalizmu, w tym do zbrodniczych struktur OUN-UPA; w składzie tego gremium nie uwzględniono przedstawicieli organizacji kresowych; nazwa tego komitetu stanowi manipulowanie historią, ponieważ zawęża zakres ludobójstwa tylko do Wołynia i tylko do roku 1943, a użycie w jego nazwie terminu »wydarzenia wołyńskie« jest fałszowaniem historii; skandalem jest w naszej ocenie powołanie w skład wymienionego komitetu Mirosława Kertyczaka - przewodniczącego Związku Ukraińców w Polsce, organizacji jawnie już gloryfikującej OUN-UPA i jej przywódców.

Z tych powodów uważamy, że komitet min. Siwca nie ma moralnego prawa do organizowania obchodów 60. Rocznicy ludobójstwa na Polakach.”

Sprawy nie nazwano wprost skandalem, ale w zestawieniu ze „sprawą Jedwabnego” prezydencki komitet jest skandalem i to na skalę światową!

W Jedwabnem złoczyn, choć nie popełniony przez Polaków, nazwano po imieniu „zbrodnią”. Tu śmierć poniosło 150-200 Żydów. Ich pamięć uczcił Prezydent RP. Natomiast śmierć 200-300-500 tys. Polaków nie jest godna honoru Prezydenta „wszystkich Polaków”, a do tego lekceważąc tę wielką zbrodnię, nazywa się ją „wydarzeniem” jak jakąś bijatykę na wiejskim weselu. Skoro są tak duże nalegania, to „na od-

czepnego” wypadalo „odfajkować” niewygodną rocznicę i powołać komitet na czele ze swoim urzędnikiem-ministrem, samemu zaś pozostać w cieniu. Dlatego nie może dziwić stanowcze oświadczenie, podpisane przez Jana Niewińskiego „Za Prezydium Komitetu”, które głosi:

„Odrzucamy z całą stanowczością sprowadzanie ludobójstwa setek tysięcy naszych rodaków na Kresach Wschodnich w latach 1939-1947 do tzw. wydarzeń wołyńskich. Jest to haniebne fałszowanie historii. Jesteśmy gotowi współdziałać w organizowaniu państwowych obchodów 60. Rocznicy pod warunkiem, że:

a) będą one organizowane z udziałem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa,

b) będą wolne od nacisków politycznych, a będą miały charakter przede wszystkim żałobno-religijny, czego domagają się stanowczo rodziny ofiar,

c) obchody będą odzwierciedlać prawdę historyczną, tzn. czas trwania ludobójstwa Polaków (1939-1947), i będą dotyczyć całości Kresów Wschodnich II RP, a nie tylko Wołynia, zaś sprawcy tych zbrodni zostaną nazwani po imieniu.

Domagamy się stanowczo w imieniu szerokiej rzeszy Kresowian, aby Parlament Polski potępił w sposób jednoznaczny ludobójstwo dokonane przez OUN-UPA na całych Kresach Wschodnich II RP. Oczekujemy również, że władze Związku Ukraińców w Polsce także jednoznacznie potępią totalne ludobójstwo OUN-UPA.

Ogólnopolski Społeczny Komitet wykazał maksimum dobrej woli w kontaktach z władzami RP w nadziei przeprowadzenia godnych obchodów tej rocznicy, nieobciążonych elementem taktyki politycznej. Jeżeli zarysowane wyżej postulaty nie będą nadal respektowane, rodziny pomordowanych zorganizują - w całym kraju - na miarę swoich możliwości żałobne obchody tej bolesnej rocznicy.”

Teraz słów kilka na temat samego wywiadu: są w nim stwierdzenia i oceny, pod którymi ja, historyk i politolog od lat zajmujący się sprawami polsko-ukraińskimi, bez wahania podpisuję się obiema rękami. Są jednak w wywiadzie słowa, które muszą budzić niezadowolenie, sprzeciw, a nawet oburzenie każdego zdrowo myślącego Polaka zatroskanego o los swojej Ojczyzny. Najpierw jednak to, co cieszy: Nie można nie podpisać się pod słowami prawdy zawartymi w zdaniu, że „przed historią nie ma ucieczki”, a skoro tak jest, to nie można mówić o „wydarzeniach na Wołyniu”, lecz o „wydarzeniach” na całych Kresach. My, Polacy, „byliśmy ofiarami” i dlatego „nie musimy uporać się ze śladami krwi na własnych rękach, to nie my mordowaliśmy”. „Na ogół - to już słowa Jewhena Standery, komandry odcinka UPA »Danyliw« - cała ludność na terytorium działań UPA... solidaryzowała się z działaniami UPA (czyli mordem - E.P.)... Takich, którzy aktywnie pomagali, było na pewno dobrych kilka tysięcy” („Suczasnist” nr 1-2/1985). Odcinek UPA „Danyliw” znajdował się na obszarze obecnej Polski, a jego komandry już tymi słowami przekonał, że operacja (nie żadna „akcja”) „Wisła” miała logiczne uzasadnienie. Kładła kres mordom - a jak się czuły ofiary „heroicznej UPA”?

„Każda z tych tragicznych ofiar, zanim skończyła, swoim ostatnim krzykiem rozpaczy, swoimi oczyma wypełnionymi przerażeniem przekazywała żywym testament oskarżający nacjonalistycznych zbrodniarzy ukraińskich, którzy na kościach słowiańskich współbraci chcieli budować swoją »niepodległość« - piszą autorzy rejestru zbrodni na Wołyniu Józef Turowski i Władysław Siemaszko - zbrodnie ludobójstwa nie uległy przedawnieniu... Jak dotąd żaden rząd nie ośmielił się wydać aktu prawnego darującego winy powstałe wskutek najcięższej zbrodni - zbrodni przeciwko ludzkości.”

„Analizując to, co się wydarzyło na Wołyniu (czytaj: na Kresach - E.P.) - mówi Piotr Zając, prokurator IPN prowadzący śledztwo - można z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością powiedzieć, że doszło tam do zbrodni ludobójstwa. Jeżeli jednego dnia w kilkudziesięciu miejscowościach dochodzi do rzezi Polaków, co na podstawie zgromadzonego materiału jest faktem bezspornym, to należy przyjąć, że była to akcja zaplanowana i sprawnie przeprowadzona” („Nasz Dziennik”, 14.03.2003).

Przeto świętą rację ma Pan, Panie Ministrze, zauważając, że „okrucieństwo na Wołyniu (czytaj: na Kresach - E.P.) było niewyobrażalne... okrucieństwo nie może zostać niezauważone. Cała reszta to tylko konteksty”.

Ważną rzeczą jest dostrzeżenie antypolskiej współpracy OUN-UPA z Niemcami, ale też rzeczą niedopuszczalną jest ukrywanie antypolskiej współpracy OUN-UPA z sowieckimi służbami specjalnymi. Dowody przytaczam w swojej książce „Operacja Wisła, fakty - fikcje - refleksje” oraz w książce, która wkrótce pojawi się na rynku pt. „Stepan Bandera”. Dziś tylko fragment meldunku wywiadowczego lubelskiego okręgu WiN: „Nadmieniam, że UPA na niektórych terenach zaczęła prowadzić podwójną grę. Gra ta polega na tym, że swoich członków wciskają do współpracy z NKWD... Ludzie ci mają za zadanie śledzenie prac naszej organizacji (WiN)”. 600 upowców było agentami NKWD. „Zakonspirowana w Rzeszowie - czytamy dalej w meldunku - inspiracyjna komórka NKWD robi częste wypadki na wsie ukraińskie i tam namawia Ukraińców do walki z Polakami. Banderowcy oddawani władzom sowieckim przez wojska polskie, w myśl umowy (NKWD-UPA), są wypuszczani celem wywierania zemsty na cywilnej ludności polskiej.”

Działo się to wszystko z rozkazu N. Chruszczowa i Ł. Berrii, którym wyjątkowo zależało na szybkim pozbyciu się Polaków z Kresów - i właśnie do tego wykorzystywana była UPA. Jedną z ostatnich jej zbrodni na polskiej rodzinie odnotowano jeszcze w 1950 roku.

Polacy ze swej strony robili wszystko, żeby powstrzymać swoich braci, także w Chrystusie, od ryzuństwa, ale na próżno. Próbowali - choć z doświadczenia wiedzieli, że to nie ma sensu. UPA bowiem nie miała żadnych hamulców moralnych, obce było jej prawo, zasady etyczne, prawdomówność, honor. Postępowała jak zwyrodniała dzicz nigdy nie dotrzymująca żadnych obietnic, dlatego w pełni zasłużyła na miano kryminalnej bandy. Wielu Polaków - ludzi honoru - dało się zwieść zapewnieniom upowskich komandyrów. Oto dwa przykłady: mając list gwarancyjny udali się do sztabu UPA w polskich mundurach wojskowych Krzysztof Markiewicz i Zygmunt Rumel. 10 lipca 1943 roku zostali oni we wsi Koniuchy rozerwani koźmi. Tragicznie zakończyła się także próba współpracy z UPA polskiego oddziału partyzanckiego Celestyna Dąbrowskiego we wsi Dominopol. Służba Bezpieki OUN podstępnie zlikwidowała ten oddział i wymordowała także polską ludność zamieszkującą wieś.

Twierdzi Pan, Panie Ministrze, że „porównywanie zbrodni wołyńskich (czytaj: kresowych - E.P.) do Holocaustu to nadużycie”. Boże, Ty jesteś, a nie grzmisz! A czymże, jeżeli nie Holocaustem, była okrutna rzeź „od niemowlęcia w kołysce - jak instruował zastępca Bandery M. Łebed’ - do starca nad grobem” w imię „czystki etnicznej” i pod hasłem: „śmierć jednego Lacha to metr wolnej Ukrainy”? Zdaje się, że nie przeczytał się Pan nigdzie (jestem pewny, że moich opracowań także Pan nie czytał - a szkoda), że nacjonałisci ukraińscy są współodpowiedzialni za wymordowanie 300 tys.

Żydów na Kresach ukraińskich. Gdyby Pan o tym wiedział, to prawdopodobnie takiego niemądrego zdania by nie użył. „My, ukraińscy nacjonałiści, tylko jednego nauczyliśmy się od Żydów - naszych wrogów - głosił Łebed', a powtarzał Wasyl Kuk - ten, który rozkazał zasypać polskimi dziećmi studnie w Dermaniu - nigdy nie przyznawać się do żadnego zło czynu”. No proszę, teraz już wiemy wszystko.

Ponieważ Żydzi też ucierpieli od OUN-UPA (vide moja książka „Holocaust po banderowsku”), dlatego wnoszę o powołanie do Pańskiego Komitetu także Żydów - takich, którzy nie ukrywają swojego pochodzenia, a których rodziny ucierpiały od banderowców.

W wywiadzie natrafiłem też na zupełnie bełkotliwy akapit: „Masakra na Wołyniu (czytaj: na Kresach - E.P.) to rzeczywiście nie był Holocaust, tak jak akcja »Wisła« to nie masakra na Wołyniu”.

Czy to oznacza, Panie Ministrze, że udowodniony, zamierzony mord zgodnie z uchwałą OUN, poleceniem jej przewodniczki M. Łebedia i rozkazami komandyrów UPA Klaczkiewskiego i Szuchewycza („Polaków w pień wycinać”), to nie Holocaust? Natomiast przesiedlenie ludności ukraińsko-rosyjskiej, bez jednego zabójstwa ze strony polskiej, z „bieszczadzkiego średniowiecza w poniemiecki XX wiek” (jak czytamy w pamiętnikach przesiedlonych), to Holocaust? Czy Pan, Panie Ministrze, zapoznał się z encyklopedycznym znaczeniem tego słowa? Owszem, przesiedleńcy ginęli, ale od kul upowców. To sotnie UPA ostrzeliwały ich konwoje, a następnie paliły pozostawione zabudowania gospodarcze.

Oprócz słowa „Holocaust” istnieje jeszcze termin „Genocide”, którym posługiwano się na procesie norymberskim sądzącym zbrodniarzy wojennych i osądzającym zbrodnie przeciwko ludzkości. Genocide - to ludobójstwo, zbrodnia prze-

ciwko ludzkości. Definicja Genocide w pełni pokrywa się z „heroicznymi czynami” UPA i niechaj nikt nie waży się, pod karą ośmieszenia, kwestionować, że „wydarzenia wołyńskie” nie były zbrodnią przeciwko ludzkości, czyli Genocide-Holocaust.

Myli się prokurator IPN Piotr Zając mówiąc, że „dzisiejszych czasów nie dożył nikt, kogo można oskarżyć o sprawstwo kierownicze tej zbrodni”. Przecież żyje w Kijowie ostatni komandyr UPA Wasyl Kuk, któremu niedawno nawet ścisnął dłoń A. Żupański, teraz mu ta ręka cuchnie trupim jadem. Myślę, że Pan, Panie Ministrze, przekona Prezydenta RP, że dla wielkiej zgody narodów będzie celowe zażądanie od Ukrainy jego ekstradycji do Polski.

Inne bałamutne stwierdzenie zamyka się w dwu zdaniach: „Nie ma jednostronnego osądu dla bojownika o niepodległość, czyli bohatera narodowego, który w imię niepodległości wydawał zbrodnicze rozkazy lub brał udział w mordowaniu niewinnych. Bardzo trudno powiedzieć, że można być jednocześnie partyzantem i krwawym terrorystą.”

To nieprawda, że Naród Ukraiński uważa rizinów z UPA za bohaterów. Nie zna Pan Ukraińców tak dokładnie, jak ja. Ukraińcy, poza cienką warstwą mieszkańców obszarów, których Państwo Polskie pozbawił pakt Stalin-Hitler, w ogóle nie entuzjazmują się OUN-UPA - więcej, uznają ją jednoznacznie za formację zbrodniczą, która zhańbiła w świecie dobre imię Ukraińców i Ukrainy. Dało przecież temu wyraz 95 deputowanych do Rady Najwyższej Ukrainy w swoim posłaniu, które w sierpniu 1996 roku skierowali „Do narodów, parlamentarzystów i rządów Ukrainy, Białorusi, Izraela, Polski, Rosji, Słowacji i Jugosławii.”

„Na sumieniu OUN-UPA - czytamy tam - które uzurpowały sobie prawo do występowania w imieniu narodu ukraiń-

skiego - setki tysięcy wymordowanej ludności cywilnej... za to tylko, że byli Polakami...”.

Skoro więc chcemy kształtować nasze stosunki z Ukrainą na fundamentach prawdy, a nie na kłamstwie i fałszu, to Polacy muszą usłyszeć słowa potępienia zbrodni i gotowość pociągnięcia do odpowiedzialności karnej każdego zbrodniarza - bo - jak wiemy, zbrodnie przeciwko ludzkości nie ulegają przedawnieniu. Każdy upowiec jest zbrodniarzem, nie mógł bowiem złożyć przysięgi „na tryzub” (wcześniej na rewolwer), jeżeli nie zabił człowieka: Polaka, Żyda, Cygana, jeńca sowieckiego.

Uważa Pan, Panie Ministrze, że główne uroczystości upamiętniające mord kilkuset tysięcy Polaków powinny odbyć się na Kresach - i słusznie, tylko że zasugerowane Przebraże najmniej się do tego nadaje. Przebraże to „drugi Zbaraż” i nie zostało zmasakrowane, ale nie przetrwały Huta Stepańska, Huta Pieniacka, Hanaczów, Milno, Chodaczków i jeszcze kilka tysięcy innych miejscowości, a wśród nich Sanktuarium Maryjne w Podkamieniu. PODKAMIEŃ - oto najlepsze miejsce dla aktu zgody narodów. W Podkamieniu bowiem różni żołdacy SS-Galizien wspólnie z antypartyzantami UPA! Nadzieje na Podkamień dają nam, Kresowianom, Pańskie słowa: „Rozmawiamy np. o miejscu, gdzie powinny odbyć się obchody. Jesteśmy przekonani, że to powinno wydarzyć się gdzieś tam, gdzie lała się krew.” Zatem kościół na św. Górze Różańcowej!

Dalsza część akapitu jest już niepokojąca: „Gdybyśmy chcieli zorganizować obchody Wołynia (czytaj: Kresów - E.P.) pod dyktando tych, którym nie zależy na dialogu, zrobilibyśmy to w Warszawie...”.

Pan Minister niewątpliwie miał na myśli zorganizowane środowiska kresowe. Chcę Pana, Panie Ministrze, zapewnić,

że myli się Pan głęboko. Znam lepiej od Pana te środowiska i wiem z całą pewnością, że właśnie im najbardziej zależy na dialogu polsko-ukraińskim. Powtarzam: na dialogu, nie zaś na pojednaniu Narodu Polskiego z Narodem Ukraińskim. Takie pojednanie nie jest potrzebne, bo nie było i nie ma sporów między naszymi narodami, jest zgoda, a sztuczne bariery, mylące stronę polską (która daje się raz po raz złapać w pułapkę za sprawą fałszywych doradców) tworzą ukraińscy etnonacjoniści. To oni w Polsce wprowadzają w błąd swoimi matactwami Pana Prezydenta i Pana, Panie Ministrze - wiem o tym na pewno, bo tego nie ukrywają. B. Osadczyk, gdy go Prezydent RP odznaczył Orderem „Orła Białego”, jeszcze tego samego dnia oświadczył w wąskim gronie ukraińskich nacjonalistów, że zawsze uważał Polaków za naród idiotów, a teraz ma tego namacalny dowód.

Istnieje zgoda między narodami polskim i ukraińskim, jest też pojednanie, nie ma natomiast zgody i pojednania Narodu Polskiego z ukraińskimi faszystami spod znaku OUN-UPA i nigdy nie będzie!

Podpisuję się pod Pana słowami: „Jesteśmy życzliwi Ukrainie, jesteśmy otwarci, ale mamy też swoją wrażliwość”, dodam jeszcze, że także dumę - bo należymy do dumnego narodu!

Pańska wypowiedź, Panie Ministrze, zdaje się wskazywać, że jest Pan „pod urokiem” właśnie tych sił tworzących niebezpieczny dla polskiej racji stanu lobbng z ośrodkiem w „Naszym Słowie” i „Gazecie Wyborczej”. Proszę pamiętać i przekonać o tym Pana Prezydenta RP, że Kresowianie mają wyjątkowo wyostrzony instynkt narodowy i tym instynktem wyczuwają na odległość niebezpieczeństwo grożące Polsce - i wielka szkoda, że nie z ich doradztwa korzystają animatorzy (częściej jednak amatorzy) polskiej polityki zagranicznej,

a w szczególności polityki wschodniej. Polityka to wielka sztuka rządzenia, to roztropne realizowanie wspólnego dobra, nie ma w niej i być nie powinno miejsca dla amatorów i koleśków, tylko dla wysokiej klasy profesjonalistów.

Kresowianie, którzy wraz z rodzinami stanowią jedną czwartą Narodu Polskiego, nie są do końca jeszcze świadomi tego, iż są oszukiwani, że jako obecni mieszkańcy Ziemi Odzyskanych nie są właścicielami swoich gospodarstw i posesji, tylko „wieczystymi użytkownikami”. Niestety zacznie się dopiero po wejściu Polski do Unii (Zachodnio)Europejskiej, gdzie pojęcie „wieczystego użytkownika” nie istnieje - bo albo jest się właścicielem, albo się nim nie jest. W dodatku napierająca niemczyzna zacznie Polaków rugować w oparciu o wyroki celowo korumpowanych sądów - i zgodnie z prawem unijnym. Właśnie wówczas wszyscy zrozumieją, jaką krzywdę wyrządził im i Polsce A. Kwaśniewski wetując ustawę uwłaszczeniową.

Kresowianie to mieszanka szlachecko-kozacka, wybuchowa i nieobliczalna w sytuacji uświadomionej manipulacji. Wtedy, ostrzegam najpoważniej, stanie w Warszawie rząd szubienic, jak w czasach Powstania Kościuszkowskiego. Nie zawisną na nich tylko ci sprawcy kresowego upokorzenia i polskiej tragedii, którzy zdołają zbiec do Izraela pierwsi ulokowawszy za granicą swoje kapitały, tam będą w miarę bezpieczni, bo w państwach Unii dosięgnie ich gniew niedorzętnych ofiar OUN-UPA!

„Możemy mieć szacunek dla wielu zdobywczy innych narodów, ale wierność ślubowaliśmy naszej polskiej Ojczyźnie i tej wierności Ojczyźnie polskiej, kulturze naszej narodowej, kulturze naszej chrześcijańskiej, naszej polskiej ziemi dochowamy. Na każdym kroku walczyć będziemy o to, aby Polska Polską była, aby w Polsce po polsku się myślało, aby w Pol-

sce polski duch Narodu chrześcijańskiego czuł się w swobodzie i wolności” - powiedział na Jasnej Górze 1 czerwca 1958 roku Kardynał Stefan Wyszyński.

Chciałbym Pana, Panie Ministrze, do tych słów przekonać, że polska racja stanu i Majestat Rzeczypospolitej są nadrzędne!

Zyczę Panu, Panie Ministrze, twórczego niepokoju moralnego, mądrych doradców i trafnych decyzji dla większej Chwały Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Pozwoli Pan, Panie Ministrze, że swój list zakończę hasłem Kresowian: Boże, pobłogosław Polskę - Ojczyznę, którą kochamy!

**Z wyrazami szacunku
Prof. dr hab. Edward Prus
W dniu św. Patryka 16.03. A.D. 2003**

Motto:

**Możemy mieć szacunek dla wielu zdobywczy innych narodów,
ale wierność ślubowaliśmy naszej polskiej ojczyźnie.**

Kardynał Stefan Wyszyński

Szanowny Pan

Prof. dr hab. Leon Kieres

Instytut Pamięci Narodowej

Szanowny Panie Prezesie!

Doszły do mnie niepokojące słuchy, że w maju w Krasiczynie może dojść, za Pańskim przyzwoleniem (może nawet z inspiracji), do skandalu równego jedwabieńskiemu. Chodzi o sesję popularno-naukową na temat Operacji „Wisła” z udziałem świadomych czynu fałszerzy historycznych typu Motyka, Drozd, Smoleński, Misyło, Siwicki, Osadczyk...

W Przemysłu panuje powszechne przekonanie, że starannie dobrani fałszerze mają, za Pańskim przykazaniem, dać Prezydentowi RP do ręki atut dla przepraszin Ukraińców za, jak się mówi, „Akcję Wisła”. Taką też opinię głoszą ukraińscy ekstremiści zgrupowani wokół tyg. „Nasze Słowo”. Można im wierzyć, znając wręcz antypolskie nastawienie wielu pracowników Instytutu Pamięci Narodowej. Konferencja ma służyć właśnie tej ekstremie o faszystowskim rodowodzie - Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów - wyrażonej w „Naszem Słowie” (22.03.1998) w następujących słowach:

„W naszej świadomości my, wszyscy Ukraińcy, musimy uważać Łemkowszczyznę za historyczną ziemię ukraińską, chociaż obecnie znajduje się ona w granicach państwa polskiego. W tym nie ma żadnej sprzeczności ani absurdu - inne ziemie ukraińskie (też) są w składzie obcych państw: Ziemia Brzeska w Białorusi, Preszowszczyzna w Słowacji, Kubań w Rosji. Taki jest stan w dniu dzisiejszym... Ideę, zgodnie z którą Łem-

kowszczyzna, Zasanie, Chełmszczyzna i Podlasie to ukraińskie ziemie, trzeba wpajać i utwierdzać w świadomości i podświadomości Polaków. Oni muszą się z tą ideą pogodzić, choć jest ona dla nich bardzo gorzka. Trzeba wywalczyć przy pomocy wszystkich dostępnych, legalnych i pokojowych środków prawo do rozbudowy ukraińskiego życia na Łemkowszczyźnie, aby przywrócić jej ukraiński charakter”, aby, jak to znów głosi inna gazeta wychodząca w Toronto, w przyszłości „wolna Ukraina mogła się o te ziemie upomnieć”. Kto z obywateli RP chce w tym niecnym dziele uczestniczyć, jest zdrajcą!

Mam nadzieję, że Prezes IPN nie ułatwi banderowskim rewizjonistom zadania, organizując konferencję naukową z udziałem odpowiednio dobranych prelegentów.

Konferencja na temat „Operacji Wisła” na pewno ma sens pod warunkiem, że królować na niej będzie prawda i duch polskiej racji stanu. Wyrażam obie kwestie w art. *Akcja „Wisła” - prawda i fikcje* („Głos Polski”, Toronto, 10-16.04.2000), który Panu Profesorowi załączam. Jednocześnie przypominam, że jestem autorem książki pt. *Operacja „Wisła” fakty-fikcje-refleksje*, która doczekała się już trzech wydań. Jednak mimo takiego atutu, nie zaproszono mnie dotąd na wymienioną konferencję do Krasiczyna. Widać, że IPN prawda o tym bolesnym dla obu stron wydarzeniu, jakim była Operacja „Wisła”, nie jest potrzebna. Dowiaduję się, że nie zaproszono także innych autorów, którzy prekursorsko zajmowali się „łunami w Bieszczadach”, jak Jacek Wilczur, Aleksander Korman, Feliks Budzisz...

Jeżeli Prezes IPN zdecydował się na ów ryzykowny krok, to należało właśnie do tych osób się zwrócić. Nie jest jeszcze za późno; jestem skłonny wziąć udział w konferencji krasiczyńskiej i wygłosić referat - ale pod generalnym warunkiem, że nie spotkam tam fałszerzy wymienionych wyżej z nazwisk. Myślę, że inni historycy stojący na gruncie prawdy także taką

zgodę wyrażą. Byłoby to mocne podreperowanie prestiżu IPN po haniebnej jedwabieńskiej wpadce. Do sprawy tej winno także włączyć się organizacyjnie i merytorycznie Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów z prezesem Szczepanem Siekierką na czele. Dopiero wtedy konferencja będzie dla Polaków wiarygodna.

Wierzę, że nie dopuści Pan, Panie Profesorze, do złamania art. 13 Konstytucji RP, która zabrania entuzjazmowania się faszyzmem. Tymczasem chwalenie faszystowskiej OUN i jej „zbrojnego ramienia” UPA będzie tej Konstytucji pogwałceniem. W swoim wystąpieniu sejmowym, odpierając rozliczne zarzuty, oświadczył Pan, Panie Profesorze, iż jest Pan Polakiem, który w postępowaniu kieruje się Dekalogiem. To były słowa, teraz czas na dowody. Takim dowodem będzie test prawdy, którego na pewno Panu nie dostarczą Motyka, Osadcuk i osoby im podobne! Aby Pana przekonać do polskich racji i ubrać w pancerz rycerza prawdy, radzę Panu jednak, Panie Profesorze, (a nawet nalegam) przeczytać moją książkę o Operacji „Wisła”.

Szanowny Panie Prezesie, zwracam się do Pana jako profesora: jeżeli prawdą jest, potwierdzą to (lub zaprzeczą temu) fakty, że omawiana konferencja odbędzie się jednak z udziałem fałszerzy (którzy na pewno podejmą uchwałę w duchu ukraińskiego ekstremizmu i rewizjonizmu), to całe odium spadnie na Pana, Panie Profesorze! Hańba, której Pan już nigdy nie zmyje, a która sprawi, że nikt z uczciwych Polaków nie poda Panu ręki, dotknie niewątpliwie w jakimś stopniu również Pańską Rodzinę.

Życie pod presją hańby nie jest warte „miski soczewicy”, lepiej przeciwstawić się odważnie naciskom - nawet za cenę odejścia „naciskaczy”, aby Naród Polski mógł ich mieć w wieczystej pogardzie. Będzie Pan wtedy chodził w glorii Człowieka prawdziwego, Człowieka prawdy i uczciwego polskiego patrioty.

Jednocześnie lojalnie informuję Pana, Panie Prezesie, że jeżeli w Krasicy znajdują się, mimo ostrzeżeń, historyczni fałszerze, którzy mają stworzyć pozory prawdy dla Prezydenta RP, aby ten, już dziś zdecydowany (zapowiedział to Siwec, szef bezpieczeństwa narodowego, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, 9.02.2002), to polski świat naukowy stojący na gruncie prawdy, zorganizuje w Przemyślu (wstępnie prace organizacyjne już trwają) własną konferencję naukową z udziałem historyków, którzy dotąd nie dali się zwieść „miską soczewicy”. Taki stan rzeczy nie przysporzy prestiżu IPN, wręcz przeciwnie, nie przyda też splendoru prezesowi tego instytutu.

Gdy zaś idzie o przeprosiny, o których mówił Siwec, to najpierw należy poczekać na uczciwy gest Kijowa (bo na Lwów rachować nie można), na przeprosiny za okrutną rzeź setek tysięcy ludności polskiej - starców, kobiet i dzieci - na Wołyniu, w Małopolsce Wschodniej i na rubieżach południowo-wschodnich obecnej Rzeczypospolitej. Jak dotąd, Kresowianie, stanowiący wraz z rodzinami sporą część Narodu Polskiego, takiego szczerego gestu się nie doczekali, a tymczasem bez tego gestu nigdy nie będzie prawdziwej, szczerzej przyjaźni polsko-ukraińskiej. Polacy jednoznacznie uznają konferencję krasicyńską za antylechicką prowokację, która ma przesłonić 60. rocznicę rozpoczęcia masowych rzezi z 360 „sposobami” mordowania zastosowanymi przez „bohaterką” UPA względem Polaków i Żydów. Rocznica ta przypada na pierwszą dekadę 2003 roku. Właśnie do tej narodowej i patriotycznej akcji winien włączyć się IPN z Panem, Panie Profesorze, jako jego prezesem na czele. IPN powinien także zaapelować do wszystkich Ukraińców w Polsce i na świecie o przyłączenie się do tej akcji służącej dobrej sprawie, sprawie zgody narodów.

W oczekiwaniu na odpowiedź kreślę się z wyrazami najwyższego szacunku

prof. dr hab. Edward Prus

KOLABORANCI CZY HEROSI?

albo rzecz o SS-Galizien



Hans Frank podczas przeglądu oddziału do ukraińskiej dywizji SS we Lwowie.

Po ciągach otrzymanych przez siły zbrojne III Rzeszy pod Moskwą, Stalingradem i Kurskiem, wystraszona „międzynarodówka” faszystowska postanowiła przyjść Hitlerowi z pomocą. Ruszyli się hurmem naziści z Norwegii, Francji, Hiszpanii, Portugalii, Chorwacji, Danii, Holandii, Flamano-
wie i Walonowie. Do tej plejady postanowili także dołączyć kolaborujący z Niemcami skrajni nacjonałści ukraińscy, a ściślej wschodniomałopolscy (galicyjscy) proveniencji melnykowskiej, ale nie tylko: czas pokazał, że również banderowców wśród „ratowników hitleryzmu” nie brakowało. Zresztą nie było różnicy doktrynalnej między banderowcami

i melnykowcami, którzy przecież wywodzili się z tego samego faszystowskiego pnia - Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, przeto obie frakcje posługiwały się (i posługują) tym samym skrótem OUN.

Przypomniał o tym historyczny reportaż filmowy Juliana Hندی'ego wyemitowany 7 stycznia 2001 roku przez londyńską telewizję ITV pt. „SS w Wielkiej Brytanii”. Film dosłownie zbulwersował świat, zwłaszcza Brytyjczyków, którzy dowiedzieli się nagle ku swojemu zdziwieniu i przerażeniu, że wraz z nimi żyją i mieszkają w „przeplatańcu” od ponad pół wieku groźni zbrodniarze wojenni a także mordercy pospolici mający ręce po łokcie zbroczone krwią polską i żydowską.

Jak miecz Demoklesa zawisła nad głowami „dywizyjników” groźba pozbawienia brytyjskiego obywatelstwa, ekstradycji, sądu i kary. Błady strach padł na starych już przecież zbirów. - Dajcie nam spokój - wołają. - Skąd ten sztucznie rozniecony rejwach? Gdzie były władze przez pół wieku? Czemu dopiero teraz się obudziły? Medialny raban tylko niepotrzebnie obudzi dawne animozje i wzajemne urazy między narodami. Drżą także w przestachu i ci mołojcy, którzy dotąd żyli w Polsce pod fałszywymi nazwiskami, często nazwiskami swoich ofiar, a dziś już się z tym nie kryją.

Fala artykułów i rozlicznych komentarzy przetoczyła się przez prasę, radio i TV świata, nie ominęła także Polski. Obok materiału fachowego znalazły się informacje bałamutne lub celowo zamazujące bulwersujący problem, służący jakiejś obronie zbrodniczych dziadków. Właśnie im pospieszył z pomocą „dyżurny satyryk kraju”. Niby się zgadza z rzeczowymi opiniami płynącymi znad Tamizy, ale jednocześnie ma zastrzeżenia. Ukraińscy esesmani niby mordowali, ale..., niby byli w Hucie Pieniackiej i Podkamienie, ale... i tak do końca. Przypomina to dowcip o alkoholiku: pije wprawdzie,



Mężczyzna na zdjęciu z lewej strony to rozpoznany po wojnie przez świadka zastępca komendanta ukraińskiej policji w Biłgoraju. Uczestniczył w pogromach i masowych egzekucjach m.in. w Bukowej, Janowie Lubelskim, Zwierzyńcu. W roku 1943 wstąpił do 14 Dywizji Grenadierów SS Galizien. Jego losy powojenne są nieznane. Na pozostałych zdjęciach nieznanymi z nazwisk Ukraincy SS-mani - uczestnicy krwawej pacyfikacji w Hucie Pieniackiej.

ale z obrzydzeniem. Cały Grzegorz Motyka! O nim bowiem mowa.

Właśnie on, jak na zawołanie zabrał głos trzykrotnie - zawsze pokrętnie i bałamutnie, a przede wszystkim mało kompetentnie. Najpierw w TV przekonywał słuchaczy, że, jak dotąd, w Polsce na temat SS-Galizien nikt nie pisał, bo polscy historycy myśleli (rzekomo), że dywizja SS-Galizien zakończyła swój żywot pod Brodami w lipcu 1944 roku. Później w radiu zmienił zdanie mówiąc, że owszem polscy historycy wiedzieli „od dawna”, że byli wojacy SS-Galizien znajdują się w Anglii. Natomiast na łamach „Wprost” dał już upust swojej fantazji i knechtowską SS-Galizien nazwał „Hałczyzną” poddając jednocześnie w wątpliwość zbrodniczość jej mołoców.



Rozpoznana po wojnie przez świadka czwórka ukraińskich SS-manów z 14 dywizji SS Galizien uczestniczyła w egzekucjach Polaków i Żydów m.in. w Chodaczowie Wielkim w pobliżu Tarnopola.

Nie należy przeto się dziwić, że czytelnicy „Głosu Emigracji” i „Kwartalnika Kresowego” (nr 8) przyznali G. Motyka „Ośle Uszy”. W uzasadnieniu napisano: „Dr Grzegorz Motyka w napisanych przez niego dwu książkach (jedna *Pany i rezuny* wspólnie z A. Wnukiem) oraz kilku rozprawach „historycznych”, nie zna lub często nie liczy się z faktami historycznymi, nagina je do potrzeb swoich teorii, przemilcza niewygodne mu fakty historyczne, bezkrytycznie daje wiarę propagandzie nacjonalistów ukraińskich i przyjmuje je za fakty, demonstruje duże luki w posiadanych wiadomościach z zakresu interesującej go tematyki i chociaż pisze o stosunkach polsko-ukraińskich nie zna ani języka ukraińskiego, ani dialektu galicyjskiego, co zamyka mu drogę do wielu źródeł. Wydaje się nam historykiem niedokształconym w tematyce jego zainteresowań i jest raczej publicystą szkodliwych sprawie polskiej teorii. Odnosimy wrażenie, że zamierza robić karierę idąc za popularnym dziś w niektórych kołach poli-

tycznym prądem, przemilczającym lub starającym się zafałszować prawdę, któremu też dla jemu wiadomych powodów być może postanowił służyć.”

Mały Hryćko jeszcze koszulę w zębach nosił, jak niżej podpisany na temat SS-Galizien publikował w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym”, a później w innych periodykach, wreszcie w co najmniej pięciu książkach łącznie z ostatnią *Rycerze żelaznej ostrogi*. Można tych pozycji nie dostrzegać, ale nie można wykręcać się nieznaną tak podstawowego dzieła, jak pozycja Aleksandra Kormana pt. *Nieukarane zbrodnie SS-Galizien z lat 1943-1945 Chodaczków Wielki, Huta Pieniacka, Podkamień, Wicyń i inne miejscowości* (Londyn 1990).

Tak wiele uwagi poświęciłem tej nieciekawej postaci, aby przestrzec czytelników przed jej balamuctwami, których na pewno będzie więcej.

Nacjonalści ukraińscy zawsze marzyli o własnych oddziałach zbrojnych u boku hitlerowców, którzy zresztą zawsze wspierali ich przeciwko Polsce i Polakom. Ich organizacje terrorystyczne - Ukraińska Wojskowa Organizacja a później OUN - były w okresie międzywojennym hojnie subsydiowane przez niemiecki wywiad wojskowy. Wywiad ten też, w przededniu napaści III Rzeszy na Rzeczpospolitą, powołał do życia „legion ukraiński”, który jako jedyna jednostka tego typu pod komendą Romana Suszki wziął udział 1 września 1939 roku w agresji na nasz kraj. Niecałe dwa lata później wojacy Suszki weszli w skład innej formacji zbrojnej znanej pod kryptonimem „Nachtigall” i „Roland”. O wyczynach tych „legionów” w 1941 roku, zwłaszcza o mordowaniu przez nie Żydów, wiemy bardzo dużo. Właśnie wojacy tych batalionów po różnych perypetiach, zasilą szeregi dywizji SS-Galizien - wbrew temu, co głosi G. Motyka.

Batalion czy pułk to o wiele za mało dla wybujałych ambicji ukraińskich nacjonalistów, chcieli mieć całą armię, własne wojsko ściśle zespolone z Niemcami. O takie właśnie wojsko prosił Andrij Melnyk - wódz ukraińskich nacjonalistów w kilku swoich listach do różnych osobistości niemieckich - partyjnych i wojskowych od połowy 1941 roku. Wtedy jeszcze propozycje jego lekceważono i zbywano milczeniem, powrócono do nich dopiero po klęskach opisanych na wstępie. Oto wyimek treści jednego z memoriałów Melnyka:

„Wydaje się, iż nadszedł czas, aby włączyć Ukrainę do przeciwbolszewickiego frontu... Trzeba sformować bojowo przydatne wojsko ukraińskie... Niestety, w ciągu ostatnich dwóch lat zmarnowano wiele możliwości... Spodziewamy się, że problem sformowania ukraińskiej siły zbrojnej... znajdzie u pana, panie marszałku polny (chodzi o Keitla - E.P.), należyte zrozumienie... Ukraińskie odpowiedzialne, a najglówniejsze, wojskowe koła, są gotowe do rozwiązania tego zagadnienia, któremu my, w imię zwycięskiego końca walki z Moskwą, nadajemy znaczenie największe, pragniemy wziąć udział (w walce) i oddać się do dyspozycji dowództwa głównego sił zbrojnych...”

Dziś słyzy się o inicjatywie Otto Wächtera - gubernatora dystryktu Galizien, ale tak naprawdę to ta inicjatywa wyszła od Melnyka, w którego imieniu sprawę finalizował Włodzimierz Kubijowycz - prowidyk Ukraińskiego Centralnego Komitetu (UCK) - kolaboranckiego organu uznawanego przez okupanta za reprezentację Ukraińców galicyjskich. Sam zresztą o tym pisze: „Tak więc 8 marca 1943 r. napisałem do gubernatora generalnego Franka list z prośbą o podjęcie kroków w sprawie utworzenia ochotniczej zbrojnej formacji na terenie Generalnej Guberni, która walczyłaby razem z Niemcami przeciwko bolszewikom”. I dalej: „Tylko w składzie niemieckich sił zbroj-

nych mogła powstać regularna, dobrze wyszkolona i uzbrojona duża jednostka, która przy sprzyjających warunkach mogłaby stać się zarodkiem ukraińskiej armii narodowej... (W. Kurbijowycz, *Meni* 85, Paryż-Monachium 1986).

Oficjalnie o zgodzie dowództwa Waffen SS na utworzenie dywizji Ukraińców galicyjskich, poinformował opinię Wächter 28 kwietnia 1943 roku. Wtedy też gubernator zatwierdził symbolikę dywizji - znaki runiczne SS i lwa z trzema koronami. Takie też znaki nieśli na planszach ukraińscy ochotnicy podczas manifestacji we Lwowie 18 lipca 1943 roku. Wächter również zatwierdził 12-osobowy cywilny organ opiekuńczy dywizji o nazwie *Wijskowa Uprawa*. Kierowali nią pospołu - Niemiec płk Alfred Bisanz i Ukraińiec gen. Wiktor Kurmanowycz. Sekretarzem Uprawy został Dmytro Palijew, który następnie awansowany do stopnia płk. SS został „adiutantem dywizji”.

Dywizja, jak się rzekło, miała być nie „ukraińska”, lecz „galicyjska” i dlatego werbunek do niej przebiegał tylko na terenie dystryktu galicyjskiego. Oficjalna nazwa dywizji od 30 VII 1943 roku brzmiała: SS-Freiwilligen Division „Galizien”, od 27 VI 1944 - 14 Waffen-Grenadier-Division der SS „Galizien” („Galizische Nr 1”). „Himmler wyraźnie zastrzegł, że w Dywizji pod żadnym pozorem nie można nawet myśleć o niepodległości Ukrainy. Słów *Ukraina*, *Ukraińiec*, *ukraiński* nie można nawet używać w Dywizji pod groźbą kary. Żołnierze dywizji mogą nazywać siebie nie *Ukraińcami* lecz *Haliczaniem*” - pisze jej szef sztabu mjr Wolf-Dietrich Heike (*Ukraińska Dywizja Halycyna*, Toronto 1970).

Zdarzały się oszustwa, takiego dopuściła się grupa młodzieży z rumuńskiej wówczas Bukowiny. Jednak gdy przybyli oni tam w mundurach SS, żandarmeria rumuńska ich aresztowała, rozebrała do naga i w Czerniowcach rozstrzelała.

Mundury i bieliznę, jako mienie niemieckie, odesłano intendenturze SS. Rumunia, choć była satelitą Niemiec, potrafiła odważnie bronić swych racji.

Drugi przykład, to nieprzyjęcie do SS-Galizien grupy ochotników pochodzących z innych dystryktów GG. Wśród tych nieprzyjętych był „stypendysta Hitlera”, studiujący na Uniwersytecie Berlińskim, dobrze dziś znany w Polsce łże-profesor Bohdan Osadczuk. Gdyby go wówczas przyjęto do SS, to na pewno nie byłby „doradcą” A. Kwaśniewskiego, odznaczonym przez tegoż Orderem Zasługi (sic!), ale położyłby głowę pod Brodami czy Hutą Pieniacką lub w Anglii czekałby na deportację do Polski jako zbrodniarz wojenny.

Werbunek do Dywizji przebiegał wyjątkowo sprawnie, dlatego dał wynik imponujący - 80 tys. zgłoszeń! Oczywiście nie wszyscy ostatecznie stawili się przed komisją do poboru, przed komisją stanęło około 30 tys. Jedni szli z pobudek ideowych, inni dla przygody lub żeby nie jechać na roboty przymusowe, jeszcze inni z czystego wyrachowania.

Roman Kolisnyk był wtedy gimnazjalistą i tam też usłyszał: „...gubernator Wächter ogłosił o utworzeniu ukraińskiej galicyjskiej dywizji - nowych ukraińskich strzelców siczowych. Nadeszła teraz chwila... wziąć broń do ręki! ...Zostaniecie nowymi rycerzami żelaznej ostrogi! Teraz! Wszyscy podnieśli rękę...” (R. Kolisnyk, *Ostatnij postril*, Toronto 1989).

W. Poliszczuk w słynnej *Gorzkiej prawdzie* podaje znów inny przykład „niedawno zmarłego M.S.”, który zgłosił się na ochotnika „dlatego, aby Niemcy nie odebrali jego żonie dobrze prosperującego przedsiębiorstwa w Tarnopolu. On nigdy nie chciał mówić o swym udziale w dywizji, ale jednego razu nie wytrzymał i powiedział, że jego całe życie piecze

wytatuowane pod pachą piętno SS. On wstydził się tego piętna. A jego żona, nie wiedząc, że *ukraińskie wojsko* jest SS, gdy przyjechała do Neuhammer odwiedzić męża i dowiedziała się, że jest on w SS, to omal nie zemdląca.” (*Gorzka prawda. Zbrodnicość OUN-UPA (spowiedź Ukraińca)*, Toronto-Warszawa-Kijów 1995).

W Galicji w tym czasie mieszkało ponad 200 oficerów ukraińskich, ale na wezwanie UCK zgłosiło się zaledwie 50. Świadczyło to o nieufności, jaką darzyło większość Ukraińców pomysł UCK. Świadczyły też o tym satyryczne wiersze, z których jeden brzmiał:

A w Zalizciach je parada,
Zjichałasia wsia hromada,
Czerez misto iszły pyszky,
Aż jim workotiły kyszky.
Poperedi Hryć Sobaka,
Za nym Fetko Hajdamaka,
A za Fetkom Wasyl Ryło,
Za Wasylom Hryć Kyryło.
A wsi mały syni mordy,
Żowti portky mały z zadu -
I tak iszły na paradu.
A spiwała wsia drużyna,
Szczę ne wmerła Ukrajina,
Nasza sprawa bude żyła,
Derły sia na cili ryła.
Budem rizaty, pałyty,
Budem Lachiw, Żydiw byty -
Bo my hrizni lycari,
Kozaczeńky mołodi!

Musym dywiziju maty,
Szczob Warszawu Lacho wziaty,
Szczob nasz narid pamiataw,
Szczu dywizju swoju maw.
A smijały sia Nimaky,
Ukrajina? Niuch tabaky!
Zhynesz brate za Hitlera,
Szczob tia szlag, jasna cholera!
Smijały się takōż ludy,
Szczu z dywizji nic ne bude,
Bo co sprawa ne swoja -
Hitleriwśka, nam czuża!

Agitowali za dywizją duchowni grecko-katolicy, ostrzegali znów banderowcy sądząc, że przeszkodzi ona werbunkowi młodzieży do ich UPA. Przeciwno dywizji zdawał się być bp stanisławowski H. Chomyszyn, ale za to nie był jej przeciwny metr. A. Szeptycki. Przecież to on mianował swoim wikariuszem generalnym do spraw wojskowych o. W. Łabę. O nim pisał rezydent OUN w Rzymie J. Onačkyj: „W ogóle, im bardziej poznaję metr. Szeptyckiego, tym bardziej szanuję go. Twardy człowiek! I zawzięty nacjonalista.” (J. Onačkyj, *U wicznomu misti, II*, Toronto 1981).

Dowództwo dywizji na czas jej formowania powierzono SS-Brygadeführer und Generalmajor SS Walterowi Schimannowi, wcześniej dowódcy SS w Grecji. Wkrótce na tym stanowisku zastąpi go Brigadeführer, Generalmajor SS i Policji Fritz Freitag.

W listopadzie 1943 roku rekruci dywizji Waffen-SS „Galizien” złożyli przysięgę po niemiecku. Przysięga zobowiązywała: „...Być wiernym Hitlerowi jako führerowi oraz najwyższemu dowódcy sił zbrojnych. Wiernie służyć Adolfowi

Hitlerowi jako führerowi Wielkich Niemiec. Na całe życie być wiernym Adolfowi Hitlerowi jako wielkiemu führerowi nowej Europy.” (*Lwiński Wisti*, 13 XI 1943).

Po złożeniu przysięgi rekruci stali się żołnierzami dywizji, która była efektem całej istoty ukraińskiego nacjonalizmu - zarówno melnykowców, jak i banderowców. Przecież to Andrij Melnyk pisał: „Wśród ukraińskich nacjonalistów panuje pogląd, że niemieckie i nacjonalistyczne interesy w Europie Wschodniej są identyczne. Obecna sytuacja wymaga od nacjonalistów ukraińskich jak najaktywniejszego uczestnictwa w zaprowadzeniu nowego ładu (Neuordnung) na Ukrainie.”

Sekundował mu Jarosław Stećko operetkowy „premier” z łaski bandery i tego zastępca: „Historyczna dola i geopolityczna rzeczywistość wyznaczyły wspólną drogę nacjonalistów ukraińskich i niemieckich nazistów... Należy to rozumieć tak, że zwyciężamy lub padamy (razem) z Niemcami, które obecnie wykrwawiają się na szerokich stepach Ukrainy za (naszą) wspólną sprawę...”

Oprócz pułków liniowych w skład dywizji wchodziły jeszcze pułki policyjne specjalnie przeszkolone do zadań pacyfikowania polskich wsi i do współdziałania w tych pacyfikacjach z oddziałami krwawej UPA. Przykłady są straszne - ich symbolem na zawsze pozostaną Huta Pieniacka i Podkamień. Przykłady zezwierżenia rizinów obu formacji można mnożyć, ale poprzestaniemy tylko na dwóch.

Tragedia Huty Pieniackiej rozegrała się 28 lutego 1944 roku. Pułk SS-Galizien i kureń UPA „Siromanci” dokonały tu masakry, zastrzelili lub spalili żywcem 700-1000 osób, puścili z dymem kościół i 120 zagród. Huta Pieniacka to większa tragedia aniżeli ta, która spotkała czeskie Lidice czy francuskie Oradour, o których po wojnie głośno było w Europie i w świecie. Te dwie miejscowości widnieją nawet w polskiej

Encyklopedii Powszechnej PWN, podczas gdy zagłada Huty Pieniackiej nie figuruje. A tymczasem: „...ukraińscy esesmani zgotowali tragiczny los polskim mieszkańcom tej wsi. Nastąpiło tak potworne ludobójstwo, zgotowane przez trzy bataliony ukraińskich żołnierzy SS-Galizien - że żadne słowa i pióro nie jest w stanie tragedii tej odtworzyć. Od kul, noży, siekier i ognia zginęło koło lub ponad 1000 osób” - pisze wzmiankowany już A. Korman.

Taki sam los spotkał ludność polską, która schroniła się w podkamieńskim Sanktuarium Maryjnym na Świętej Górze Różańcowej. Tu także masakrowali żołdacy SS-Galizien i rizin UPA. Ten sam autor pisze: „Śmiercią okrutną w torturach zginęło na terenie klasztoru około 300 osób narodowości polskiej... Razem w Podkamieniu było około 800 śmiertelnych ofiar z rąk ukraińskich żołnierzy SS-Galizien, terrorystów OUN-UPA i policjantów Ukrainische Hilfspolizei... W kaplicy, gdzie dzieci przyjmowały komunię św. znajdował się stos pomordowanych ludzi. Stos ten ruszał się jeszcze, zaś nad stosem unosiła się para wodna, ogrom krwi... Zalegała złowieszcza cisza... Ogromna przyklasztorna studnia zapełniona była ludzkimi zwłokami, przeważnie dziecięcymi...”

Będącą już w okopach pod Brodami dywizję odwiedziła specjalna delegacja UPA z życzeniami pomyślności. Być może, że właśnie ze względu na banderowskie jednostki (czy nawet grupy) w szeregach dywizji, Szuchewycz-„Czuprynka” kamandyr hołowny UPA, jak to sądzi współczesny „Wyzwolony Szlach” (1981, nr 1), był rzecznikiem braterstwa broni bojowników UPA z „dywizyjnikami”. „Wyraźnym jego (Szuchewycza) pragnieniem było - czytamy tam - żeby między wojskami UPA i dywizji zapanowała szczera przyjaźń, co też się stało...”

Pod Brodami, zaledwie w ciągu dwóch dni (19-20 lipca) dywizja została dosłownie zmielona na proch i pył. Z 16 tysięcy wojaków przy życiu pozostała zaledwie jedna trzecia, z tego ok. 3 tys. strilców udało się przedrzeć z kotła. Jedni zdołali nawiązać kontakt ze swoim dowództwem, inni znaleźli się w UPA. Tu zajęli szereg stanowisk dowódczych a przede wszystkim byli funkcjonariuszami, postrach szerzącej wśród samych Ukraińców, służby bezpieczeństwa. Niektórzy z nich mordowali na obszarze dzisiejszej Polski: Hryhor Janowski („Łastiwka”), Jewhen Jaszczuk („Duda”), Stepan Stebelśkyj („Hryń”), Jarosław Kotiłek (Kociołek) - „Kryłacz”, Roman Kozierskyj - „Bir”, „Stach”, „Orich”, „Sołomyj”, „Hrań”, „Zenko”, „Bajruch”, „Weselyj” (nazwiska nie ustalone), Matwij Szpak - „Kril”, 30 strilców z sotni „Hrynia”, a przede wszystkim późniejszy szef wywiadu OUN Bohdan Pidhajnyj oraz ostatni zastępca Szuchewycza hrycko Holiasz - „Bej”.

Teraz sprawa dla nas, Polaków, najważniejsza: jak to było z tymi żołnierzami ukraińskimi w Warszawie w trakcie Powstania? Nacjonaliści ukraińscy zaprzeczają, wypierają się, przysięgają. To samo czynią ich polscy poplecznicy, w tym przywołany na początku G. Motyka twierdząc np., że wojaków „Hałczyzny” w Warszawie nie było. Ma rację, bo nazwę „Hałczyzna” dywizja otrzymała o wiele później. Natomiast ów, wymieniony przez G. Motykę, Wołyński Legion Samoobrony był już pułkiem Waffen SS-Galizien. Był też jeszcze jej pułk zapasowy pod wodzą płk. Barwińskiego. Trudno uwierzyć, że nie wzięli oni udziału w rzezi ludności Warszawy. „Ukraińskich esesmanów z tej dywizji (SS-Galizien) widzimy na ruinach Warszawy podczas tłumienia Powstania Warszawskiego. Razem z oddziałami Himmlera szli ci zdrajcy przeciwko Polakom, zarzucali oni granatami

piwnice warszawskich domów, przepełnionych kobietami i dziećmi, rozstrzelali za miastem tysiące cywilnych mieszkańców.” To głos Ukraińca, prof. Uniwersytetu im. Iwana Franki, Michała Rudnyckiego - rodzzonego brata Iwana znanego jako Kedryn.

Są tego dowody, choćby w pamiętniku jednego z żołnierzy Diaczenki znalezionej przy jego trupie. Wojak nazywał się Waszczenko. „Nasze położenie żalosne - notował. - Życie urywa się w młodych latach. Przyszło się nam zginąć albo z ręki Polaków, albo z ręki swoich braci i ojców, albo z ręki Niemców - naszych sojuszników. Gdziekolwiek pójdziesz - wszędzie czeka na nas kula albo granat, tu (w Warszawie) każde okno dyszy śmiercią.”

Ale nie chodzi w tym wypadku tylko o Ukraińców z SS-Galizien, przecież byli tu jeszcze własowcy z dywizji S. Buniśczenki, która w 70% składała się z Ukraińców. Byli jeszcze kozacy Krasnowa, w których też nie brakowało Ukraińców, wreszcie osławiona brygada Kamińskiego - Białorusina (nie Polaka!) wychowanego przez matkę Niemkę. Rzecz niewątpliwie wymaga jeszcze gruntownego zbadania, ale nie kamuflażu, prawdy a nie kłamstwa. Na kłamstwie dobrosąsiedzkich stosunków się nie zbuduje.

Dalsze losy dywizji są związane z pacyfikowaniem Słowacji i Jugosławii. Przy końcu wojny otrzymała ona upragnioną nazwę „Hałczyzna” jako 1 dywizja Ukraińskiej Armii Narodowej. W takim charakterze dostała się do niewoli. Trzymana w obozie w Italii aż dwa lata czekała na rozstrzygnięcie swojego losu. Stalin chciał ją dostać w swoje krwawe łapy, ale nie dostał. Ukraińców uratowało polskie obywatelstwo, które potwierdził gen. W. Anders. Przyznając się do tego ponad stu „dywizyjników” uciekło pod jego skrzydła wstępując do Armii Polskiej, inni ostentacyjnie zaczęli roz-

mawiać po polsku udając, że z ukraińskością nic ich nie łączy. W 1947 roku przygarnęli ich Anglicy potrzebujący robotników w rolnictwie. W latach 50-tych niektórzy „dywizjownicy” opuścili Anglię udając się do Kanady, USA, Australii i Argentyny.

Czy są wśród nich zbrodniarze? Pytanie należy odwrócić: czy są wśród nich osoby niewinne? Być może, ale przynależność do Waffen-SS sama przez się jest przestępstwem. Wojska SS, częścią składową jakich była dywizja SS-Galizien, tak są określane: „Waffen-SS, hitlerowska zbrodnicza formacja wojskowa, złożona z członków SS. W czasie wojny Waffen-SS została przekształcona w autonomiczny rodzaj wojsk... Wojska SS były formacją elitarną, należały do najbardziej sfanatyzowanych formacji hitlerowskich. W działaniach przyfrontowych... na okupowanych terytoriach dokonywały licznych masowych zbrodni, nie przestrzegały obowiązujących zasad międzynarodowego prawa. Waffen-SS, jako część składowa organizacji SS uznana została przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze za organizację zbrodniczną.” (*Encyklopedia II wojny światowej* Warszawa 1975).

Zacząłem swój esej od opinii „polskiego” rzecznika interesu ukraińskich nacjonalistów i na nim zakończę. W tygodniku „Wprost” pisze on: „Pojawieniu się informacji prasowych SS towarzyszą obawy, by historia znów nie pogorszyła stosunków polsko-ukraińskich...” Czyje obawy: Polaków czy ukraińskich nazistów? Co znaczy „znów nie pogorszyła”? Bzdura! Takich obaw po stronie polskiej i ukraińskiej nie ma, takie „obawy” żywi tylko nacjonalistyczna ekstrema, ale to nas nie powinno obchodzić. Liczą się bowiem narody - polski i ukraiński. Obawa zatem jest zgoła inna, chodzi o odsłonięcie prawdy, którą dotąd usiłowano ukryć aby na jej

podstawie nie pociągnąć winnych do odpowiedzialności - i to nie tylko wojaków SS-Galizien, ale także rizinów z UPA.

Nie należy obawiać się, że prawda może „popsuć stosunki polsko-ukraińskie”, te stosunki gorszy coś innego, mianowicie sztuczna heroizacja UPA przez stawianie jej łze-pomników nawet w Polsce; honorowanie prowodyrów ludobójstwa ulicami ich imienia na Ziemiach Utraconych, które są przesiąknięte polską krwią serdeczną na cztery łokcie; usprawiedliwianie tych zbrodni. Oto co szkodzi polsko-ukraińskim stosunkom. Polacy domagają się prawdy, czy to tak dużo? Cieszą się z tego, że w ciągu minionego półwiecza znaleźli się tacy, którzy nie bali się rozdrapywać ran „aby się nie zbliżniły błoną podłości”. Dzięki tej małej garstce zbrodniarze spod znaku SS-Galizien i OUN-UPA nie mogli spać spokojnie i dziś czekają na sprawiedliwość, która wyciągnęła już „sprawiedliwą dłoń” w Wielkiej Brytanii, sięga do Kanady i USA, sięgnie niechybnie także do Polski, a być może także i na Ukrainę. Wtedy znikną owe łze-pomniki UPA, umilkną buńczuczne łgarstwa różnych Huków i Dziubyn, rumieniec wstydu pojawi się na twarzach tych, co dotąd tolerowali wszelką sawolę ukraińskich faszystów w Polsce.

Chodzi też, żeby z naszego życia usunąć filozofię minionych czasów, filozofię dopuszczającą, a nawet nobilitującą historyczne kłamstwa, żeby zatriumfowała Prawda, *Gorzka prawda*, jak ją nazywa mądry Ukrainiec Wiktor Poliszczuk. On też w owej *Gorzkiej prawdzie* woła odważnie: „Uznajmy winę naszych braci! Odseparujmy siebie od ich zbrodni! Prosimy o przebaczenie nie tylko Polaków, ale błagajmy też o przebaczenie od Boga, w imię Chrystusa, jesteśmy chrześcijanie, pamiętając, że bez pokajania nie ma przebaczenia”. Generał Józef Haller, „człowiek czystych rąk i serca”, pisał

na temat mordów ludności polskiej: „Prośmy Boga, by z tej krwi ofiarnej nie powstał już żaden krwawy czy ognisty mściciel, lecz by Bóg - Sam Mściciel - w miłosierdziu swoim połączył bratnie narody w serdecznym uścisku przebaczenia”. Aby to mogło się stać, strona ukraińska musi dokonać uczciwego rachunku sumienia i rozliczenia.

W pierwszej kolejności musi tego dokonać Cerkiew grecko-katolicka. Polacy liczyli, że stanie się to w Roku Jubileuszowym 2000, w którym wszystkie Kościoły rozliczyły się ze swoją przeszłością, milczała tylko Cerkiew grecko-katolicka! My, Polacy, jednak nie tracimy nadziei, wierząc, że Cerkiew grecko-katolicka przeprosi Polaków za to, że jej duchowni święcili narzędzia zbrodni, którymi wierni tego obrządku mordowali „łacinników”, swoich braci w Chrystusie i słowiaństwie, jeszcze na progu Trzeciego Tysiąclecia. Bez tego gestu, symbolicznego przecież, o żadnym szczerym, nie zaś „odgórnym” i deklaratywnym, polsko-ukraińskim pojednaniu mowy być nie może!

HUTA PIENIACKA - RZEŹNIA LUDZKA



Emblemat ukraińskiej dywizji SS

HUTA PIENIACKA (Pieniacka Huta). Nazwy tej miejscowości nie ma w żadnej encyklopedii. Przed wojną wieś ta niczym się nie wyróżniała. Najczęściej kojarzono ją i mylono z pobliskimi Pieniakami, od których zresztą brała swoją nazwę. To zrozumiałe, w Pieniakach znajdowała się głośnia na całą Galicję, a później Małopolskę Wschodnią, rezydencja lidera Podolaków goszcząca najwybitniejszych Polaków z Romanem Dmowskim na czele. W *Przewodniku po województwie Tamopolskim* czytamy:

„W odległości 11 km od Podkamienia szosą na pld.-zach. Pieniaki, wieś w powiecie brodzkim leży w pobliżu źródeł Seretu... (mieszk. około 1.300, w tym 600 Polaków, 700 Rusinów)... Okolica górzysta na terenie falistym, piękne lasy, rezerwat bukowy. U wejścia do wsi, po lewej stronie gościńca pałac Cieńskich... We wsi kościół z 1814 roku oraz cerkiew, przerobiona z dawnej kaplicy pałacowej. W pobliskim Majdanie (10 km na zach. drogą gminną od Pieniak) i HUTY PIENIACKIEJ (w połowie tej drogi, tj. 5 km) ciekawe zjawiska przyrody, a mianowicie źródła tzw. „Sine Oko” i „Chowaniec”, będące lejkowatymi zagłębieniami o przepaściwych brzegach, wypełnione wodą o niebieskim zabarwieniu, której odpływ ginie w pokładzie kredowym.”

W książce adresowej z 1930 roku jest informacja, że Hutę Pieniacką zamieszkuje 724 mieszkańców. Zajmowali się oni uprawą roli i hodowlą zwierząt, także bednarstwem, kołodziejstwem, murarstwem. Wieś miała charakter prawie jednolicie polski, znajdowało się w niej, jak zwykle na Kresach, kilka rodzin mieszanych. Taką właśnie widzimy ją po spisie ludności dokonanym w marcu 1943 roku. Informuje on, że w Hucie Pieniackiej mieszka 500 osób. Wygląda na to, że część mieszkańców wsi w obawie przed banderowskim zagrożeniem, przeniosła się do większych i bezpieczniejszych ośrodków miejskich.

Huta Pieniacka to była duża wieś, 172 numery. Piękne położenie na rozległej polanie pochylonej ku słońcu. Dookoła lasy - duże ich kompleksy. Wieś stanowiła polską enklawę oddaloną znacznie od innych polskich i rusińskich wsi i przysiółków. Dzięki temu stanowiła dogodne miejsce dla ukrycia się przed nieszczęściami wojny. Dlatego od jakiegoś czasu liczba jej mieszkańców systematycznie wzrastała. Powiększali ją głównie uciekinierzy z ogarniętego banderowskimi pogromami sąsiedniego Wołynia. W lutym 1944 roku było już ich ponad tysiąc.

Choć po wojnie Huta Pieniacka stała się godną najwyższej uwagi, zbywana była milczeniem. W PRL milczano aby nie obrazić bratniego, ukraińskiego narodu radzieckiego. Nic pod tym względem nie polepszyło się w III Rzeczpospolitej, przeciwnie - pogorszyło! Huta Pieniacka i jej trudny do wyobrażenia tragizm stały się tematem zaklętym, omijanym przez środki masowej informacji, żeby nie „robić przykrości” nowemu „partnerowi strategicznemu” wydumanemu bez większych refleksji przez Zb. Brzezińskiego i B. Geremka.

Tragedia tej podolskiej miejscowości, która rozegrała się 28 lutego AD 1944 skazana została na zapomnienie. Choć nieszczęście, które dotknęło wieś, dotyczyło Polaków, to o spra-

wiedliwość i prawdę o nią upomnieli się nie Polacy będący u władzy, lecz - najpierw szlachetni Ukraińcy z Wiktoorem Poliszczukiem na czele (w tym 95 deputowanych do Rady Najwyższej Ukrainy) a następnie Anglicy. Brytyjski reżyser Julian Henty w swoim trzyczęściowym reportażu historycznym „SS in Britain” („SS w Wielkiej Brytanii”), wyemitowanym 7 stycznia 2001 przez niezależną ITV, zwrócił uwagę światu, że Huta Pieniacka rozmiarem swej tragedii przewyższyła czeskie Lidéce i francuskie Oradour, których nazwy są we wszystkich powojennych Encyklopediach, także w *Encyklopedii Powszechnej PWN*. Nie ma tam jednak hasła: Huta Pieniacka. O obu miejscowościach w teże Encyklopedii czytamy:

„LIDECE, wieś w Czechosłowacji, na zach. od Pragi; 10 VI 1942 całkowicie zniszczona przez hitlerowców w odwet za zamach na zastępcę protektora Czech i Moraw, R. Heydricha; mężczyzn powyżej 15 lat zastrzelono, kobiety wywieziono do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, dzieci do Niemiec; w odbudowanych po wojnie L. muzeum martyrologii.”

„ORADOUR-SUR-GLONE - miejscowość w środk. Francji (Limousin) w dep. Haute-Vienne; 10 VI 1944 w czasie okupacji hitl. cała ludność (ponad 600 osób) została wymordowana przez oddziały SS, a wieś spalona.”

Zarówno Czesi, jak i Francuzi uczcili godnie cienie poległych swoich rodaków muzeami martyrologii oraz stosownymi pomnikami i tablicami.

Biorąc z nich przykład i wiedząc jednocześnie, że na polskie władze liczyć nie można, grupa działaczy kresowych z Michałem Górskim z Kielc, wśród których był także autor tych zdań, jeszcze w PRL wszczęła zabiegi w celu utrwalenia pamięci losu mieszkańców Huty Pieniackiej. Władze polskie i radzieckie milczały. Dopiero Gorbaczowska *glasnost* dała tę

szansę i starania Kresowian uwieńczyła sukcesem - bez udziału (raczej z przeszkodą) władz polskich - poza konsulem PRL we Lwowie Włodzimierzem Woskowskim, bez którego zaangażowania opisane starania nie zostałyby uwieńczone sukcesem. Tymczasem dzięki uporowi inicjatorów i zdecydowanej postawie W. Woskowskiego, dnia 28 lutego 1989 roku, w miejscu gdzie ongiś znajdowała się polska wieś, odsłonięto uroczyscie z udziałem władz powiatowych i żyjących mieszkańców Huty Pieniackiej, Huty Werchobuskiej, Huciska Brodzkiego, Podkamienia, Podhorzec, Malinisk, Załoziec „kompleks memeorialny” - okazały obelisk. Na tym pomniku napis po ukraińsku:

„28 lutego 1944 roku faszystowscy okupanci wraz z bandami OUN zorganizowali krwawą rozprawę spokojnym mieszkańcom wsi Huta Pieniacka, spalono 172 gospodarstwa, a z rąk zbrodniarzy w ogniu zginęło ponad tysiąc obywateli: mężczyzn, kobiet i dzieci. Ludzie, bądźcie czujni, nie dopuście do ponownej tragedii Huty i okropności wojny.” Napis nie informuje, że chodzi o Polaków, ani o tym, że sprawcami dramatu byli ukraińscy zbrodniarze z SS-Galizien. Te fakty znalazły jednak odbicie w przemówieniach działaczy ukraińskich: E. M. Stepaniuk i R. Ch. Daneluka. „Co ci spokojni ludzie zawinili - spytała Stepaniuk - że tak po zwierzęcemu rozprawiono się z nimi? Czyżby dlatego, że byli innej narodowości, że chcieli żyć po ludzku?” „Okrutny los Huty Pieniackiej - mówił znów Daneluk - podzieliły Hucisko Brodzkie, Maliniska, Zalesie, Majdan Pieniacki, setki spokojnych mieszkańców zabitych w Podkamieniu, Palikrowach, Bołdurach itd.”

Niestety, przy biernej postawie a nawet obojętności władz III RP, przy milczeniu obecnych konsulów polskich we Lwowie „nieznani sprawcy” zniszczyli i zbezczeszcili „kompleks memeorialny” i na jego rumowisku pozostawili „swój znak”

w postaci kału. Zniknęła też tablica stojąca w miejscu zamordowania sioła głosząca po ukraińsku: „Huta Pieniacka. W lutym 1944 r. faszyci i banderowcy spalili 172 domy i wymordowali ponad 1000 mieszkańców.”

Przy odsłonięciu obelisku mówiono też, że każda zbrodnia musi być ujawniona. Bez względu na to, kto jej dokonał. Przyszłości nie da się budować na zakłamanej przeszłości. Widocznie są w Ukrainie (a także w Polsce) osoby, które myślą inaczej.

Owa prawda, niewątpliwie dla Ukraińców gorzka, miała miejsce 28 lutego 1944 roku. W tym dniu polska wieś HUTA PIENIACKA przestała istnieć. Jej zagładę spowodowali wojskowi 14 Dywizji Grenadierów Waffen SS-Galizien, członkowie tzw. Ukraińskiej Powstańczej Armii - UPA oraz policjanci ukraińscy w służbie okupanta mordując 800-1000 osób (źródła radzieckie mówią o 1200 osobach).

Kiedy coraz częściej pojawiały się łuny, w lasach rozszalały się watahy UPA, wioski polskie zaczęły organizować samoobronę. Huta Pieniacka była solą w oku rizinów: zwarta jak twierdza, Polacy z przysiółków i mniejszych wioseczek ścigali tutaj a wraz z nimi Żydzi. Wieś miała własną samoobronę pod dowództwem przybyłego tu ze Lwowa Kazimierza Wojciechowskiego - „Satyra”. Przyjechał do Huty wraz z żoną Riwą, Żydówką i jej liczną rodziną. Oddział „Satyra” liczył 40 osób i wchodził w skład 8 kompanii AK inspektora tu Złoczów. Oddział ten współpracował z partyzantką sowiecką i to dzięki niej był niezłe uzbrojony. Przekonali się o tym ukraińscy esesmani, którzy 23 lutego 1944 roku po raz pierwszy zaatakowali wieś. Samoobrona mając wsparcie 12 plutonu AK z Huty Werchobuskiej podjęła skuteczną walkę, która trwała 6 godzin. Napastnicy zostali odparci. Polacy honorowo pozwolili im zabrać z pola walki zabitych i rannych. Na terenie walk zostało tylko 5 poległych. Ponieważ były to

pierwsze ofiary SS-Galizien a do tego poległe z rąk polskich, więc urządzono im w Brodach uroczysty pogrzeb z udziałem gubernatora galicyjskiego Otto Wächtera. Chowano tylko dwóch: Romana Andrijczuka i Ołeksę Bobaka. Co się stało z ciałami pozostałych poległych?

Teraz miało przyjść najgorsze, ale nie z takiego powodu, jak o tym głosi pewien „dyżurny historyk”, a za nim kilku innych, że napad na Hutę Pieniacką 28 lutego 1944 roku, był odwetem za zabicie dwóch esesmanów i w ten sposób z dwuznacznym podtekstem usiłuje się mord popełniony na wsi usprawiedliwić. Wiemy już, że esesmani ginęli w walce, ale kara za ich śmierć nie dosięgnęła żołnierzy w walce, lecz bezbronne polskie dzieci i kobiety.

Nie wytrzymuje krytyki także pogląd, że we wsi byli sowieccy partyzanci. Nie było ich już w czasie pierwszego napadu. Oddział sowiecki pod dowództwem Borysa Krutikowa ze zgrupowania D. B. Miedwediewa, przeczornie, jakby uprzedzony, opuścił wieś już 22 lutego. Do Huty Pieniackiej oddział ten, oprócz broni automatycznej, przyniósł rocznego chłopczyka znalezionego na progu jakiejś chaty w wyróżnionym Hucisku, ssał pierś martwej matki. To było 16 stycznia. Potem dziecko spłonęło wraz z innymi. Partyzanci spotkali też dzieci polskie potopione w „Sinyu Oku” i „Chowańcu”.

O zbliżającym się śmiertelnym zagrożeniu wieś została poinformowana kilkakrotnie. Jednym z informatorów był zięć niejakiego Karpluka - starosty wiejskiego z Żarkowa. Zapłacił za to straszną cenę, został przez banderowców zamordowany wraz z rodziną - ale na ostatku. Musiał patrzeć na śmierć męczeńską dzieci i żony. Była też wiadomość myląca, że to nie Ukraińcy, lecz Niemcy mają wkroczyć do wsi, aby dokonać rewizji broni. Razem z tym nadszedł ze złoczowskiego inspektoratu AK dziwny rozkaz, aby nie stawiać

Niemcom oporu, pochować broń, a mężczyzom polecał ujść do lasu. Jednak tak się do końca nie stało, tylko część mężczyzn znalazła się w lesie. Gdy zorientowano się w sytuacji, na jakąkolwiek decyzję było już za późno. Ukraińscy esesmani w sile jednego batalionu, wspierani przez kureń UPA „Sironnaci” oraz policjantów z Podchorzec, a także chłopów z okolicznych siół uzbrojonych w noże i siekiery, otoczyli wieś ze wszystkich stron.

Skąd to kumoterstwo SS-Galizien z „konkurencyjną” UPA? Jednoczyli ich cel strategiczny ukraińskiego faszyzmu. Cel ten wytyczyła nazistowska Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) już w 1929 roku. Była nim czystka etniczna - mord Polaków, Żydów, Cyganów, Rosjan i innych *czужинців* - wreszcie także Ukraińców, którzy tej czystki głośno nie popierali. W oparciu o tę prawdę do zagłady wsi przyłączyli się także ukraińscy policjanci z Podchorzec na czele ze swoim komendantem. Jemu też polskie władze konspiracyjne przypisywały inicjatywę napadu na Hutę Pieniacką.

Batalionami ukraińskich esesmanów, stacjonujących dotąd w Brodach, dowodził Niemiec, a jego zastępcą był Ukrainiec zastrzelony przez żonę Wojciechowskiego. „Zagłada wsi Huta Pieniacka i jej mieszkańców - pisze autorytatywnie A. Korman - zgotowana przez batalion ukraińskich żołnierzy SS-Galizien, dowodzona przez niemieckich i ukraińskich oficerów, stała się faktem. Prawie wszystkie zabudowania mieszkalne i gospodarcze legły w gruzach. Sterczały jedynie kominy. Ocalało tylko kilka budynków na przysiółku Helenka.”

A dokonało się to w sposób następujący: „Już w nocy do Żarkowa zaczęło ściągać wojsko, byli to żołnierze SS-Galizien - relacjonuje Marian Dziuba, świadek tego wydarzenia. Także zaczęli się krzątać miejscowi banderowcy: Hryhorij Kocz,

Josyp Kowycz, Myron Jkubowskyj, Wołodymyr Huziuk, Hryhorij Szczerbatiy...” Niektóre z tych nazwisk są znane od lat krakowskiemu Instytutowi Pamięci Narodowej prowadzącemu śledztwo w sprawie opisywanej zbrodni. Znanе też jest nazwisko dowódcy akcji: hauptsturmführer (kpt.) Waffen SS Siegfried Binz z 4 pułku policyjnego 14. Dywizji Waffen SS-Galizien. Z opisu wynika, że był niski i nosił okulary.

Wcześniej pisałem w *Rycerzach żelaznej ostrogi*: „Tragedia wsi rozegrała się... w ciągu zaledwie siedmiu godzin...” Oto wypowiedzi świadków, które zanotował K. J. Dmytruk w książce *Pid sztandarom reakcji i faszysmu*: Mieszkaniec Huty Pieniackiej Franciszek Kobylański: „O świcie w kierunku wsi wystrzelili dwie rakiety. Następnie rozpoczęła się strzelanina i do Huty Pieniackiej weszli faszysci (żołnierze SS-Galizien) i bandyci (upowcy). Wszystkich mieszkańców po 20-30 osób, w tej liczbie kobiety, starców i dzieci, spędzili do stodoły, zamknęli i podpalili. Kto uciekał - zabijali. W ten sposób spalono żywcem i zabito 680-700 osób.”

Mieszkaniec Huty Pieniackiej Wojciech Jasiński: „Najpierw część ludzi esesmani z dywizji SS-Hałyczyna i bandyci (upowcy) spędzili do kościoła. Później grupami wyprowadzali i zapędzali do stodoły, podpalali je i ludzie płonęli żywcem... Gdy nas prowadzili z kościoła, tośmy widzieli, jak płonęły stodoły, w których w niebogłosey strasznie krzyczeli nasi sąsiedzi. Zrozumieliśmy, że także i nas wiodą, aby spalić żywcem...”

Dodać należy, że wieś została zajęta bez jednego wystrzału ze strony polskiej, co też niemało zdziwiło „dywizyjników”, którzy spodziewali się dużego oporu. „To im dodało odwagi - zauważa Edward Gross. - Wkrótce cała wieś została zajęta. We wsi zapanował krzyk przerażenia kobiet i dzieci. Ogień pożerał coraz to nowe zabudowania...” Był to „chrzest bojowy” SS-Galizien! Napastnicy strzelając na oślep do każdego,

kto tylko był na celowniku, popędzali ludzi w stronę kościoła, starej i nowej szkoły. Wkrótce miały one zapłonąć oblane benzyną razem z nimi. „Obok wejścia (do kościoła) - pisze dalej E. Gross - siedziała na śniegu młoda kobieta z noworodkiem lub poronionym dzieckiem na ręku. Jej lament budził litość i współczucie, lecz nikt się nią nie zajmował, nikt nie reagował na jej prośby, żeby ją ktoś zabił. Konała w męczarniach...”

„Janek opierał się, płakał, krzyczał i za nic nie chciał iść - cytuję inną relację Andrzej Rybicki. - Wówczas rozwścieczony (ukraiński) esesman chwycił Janka za nogi i z rozmachem uderzył głową chłopca o narożnik domu. Jakiś młody chłopiec błagał i prosił, żeby go puścili. Pacyfikator uśmiechnął się zjadliwie i machnął ręką: idź, wypuszczam. Chłopiec obrócił się i chciał pobiec, ale esesman z dużą siłą wbił mu bagnet w plecy.”

„Pod kościołem - pisze A. Rybicki - zginał dowódca samobrony Kazimierz Wojciechowski. Jak mówią świadkowie, obłano go łatwopalną cieczą i spalono.” (*Nasz Dziennik* z dnia 09.01.2001): „Żywa pochodnia płonęła na oczach wsi. Wcześniej jeszcze w domu zamordowano jego żonę i ukrywających się Żydów. Riwa strzeliła do zastępcy dowódcy pacyfikacji z polskiego wisa. Za sekundę także sama padła.”

Po strasznym zamordowaniu Wojciechowskiego rozprawiono się z resztą domniemanych obrońców, którzy byli bezbroni. Wystrzelano ich co do jednego z karabinu maszynowego na placu pod kościołem.

A w kościele? „Do kościoła zganiano pierwsze ofiary - zznaje przed Jolantą Woś Stanisław Krawczyk. - SS-mani w śnieżnobiałych kombinezonach upychali ludzi między ławkami. Przechodzili i uderzali po głowach: trach, trach, trach. Ogłuszeni wpadali pod ławki. Wówczas wganiano następnych. Trzy warstwy dygoczących ciał. Opary, słodkawo-mdła

woń krwi. Pobici mężczyźni wnieśli w kocu rodzącą kobietę. Położyli ją koło konfesjonau. - Dzieciątko było już między nogami matki...”

Czy chodzi o ten sam poród opisany przez A. Kormana?: W nocy z 27 na 28 lutego 1944 r. Franciszkę Michalewską z domu Bernacką... zaatakowały bóle porodowe i była przy niej położna akuszerka. Esesmani wtargnęli do jej domu, wyprowadzili ją wraz z położną... doprowadzili do kościoła, gdzie posadzili ją na stopniu ołtarza, a przy niej położną. Gdy bóle porodowe przybierały na sile, a F. Michalewska bardzo jęczała i zaczęła rodzić, podszedł do niej esesman, wyrwał z niej siłą dziecko, rzucił na posadzkę przed ołtarzem i przygniółł esesmańskim butem. W obronie chorej wystąpiła położna. W odpowiedzi obydwie zostały zastrzelone i ukraiński esesowiec narzucił na nie bieliznę kościelną.”

Przed kościołem podobnie jak w kościele, działy się sceny wręcz dantejskie - zwłaszcza wówczas gdy rozdzielano rodziny, wrywano dzieci matkom by je na oczach rodziców mordować, matki zaś miały spłonąć żywcem osobno. „Mordercy - pisze dalej E. Gross - po uporaniu się z dziećmi oblali obiekt benzyną i podpalili... Mimo że ogień jeszcze buzował... banderowcy uznali, że już nikt się z niego nie wytrzyma i odeszli. Poszli dalej „walczyć o samostijną Ukrainę.”

Dopalał się dzień apokalipsy, banderowcy wyręczając esesmanów, wyprowadzali partiami ludzi z kościoła na kaźń. „Byłam w jednej z ostatnich grup dziewcząt, które wyprowadzono z kościoła - pisze Wanda Kobyłańska-Gośniowska. - Widok, jaki ujrzałam po wyjściu z kościoła był tak przerażający, że paraliżował wszystkie zmysły - nie mogłam uwierzyć oczom i uszom. Naokoło morze płomieni i ciemne chmury dymu oraz okropne wycie psów, ryk krów i śwąd spalonych ciał ludzich i zwierzęcych. Nie mieliśmy żadnych złudzeń co

do czekającego nas losu, a ból po naszych krewnych krwawił nam serca do tego stopnia, że nie reagowaliśmy na bicie nas kolbami i klucie bagnietami. Słyszeliśmy przy każdym uderzeniu: *wże propała wasza Polska albo to jest wasza Polska.*”

Pacyfikacja ustała późnym popołudniem. Wpierw dokończono rabowania mienia i niszczenia. „Następna ostoja polskości na ziemi praojców zniknęła w płomieniach ognia i kłębach dymu”. Około godziny 17.00 esesmani i banderowcy uformowali kolumny marszowe i ze śpiewem odmaszerowali od Pieniak, gdzie tamtejsi Ukraińcy przygotowali dla nich bramę powitalną” - a tymczasem „dookoła leżało pełno ludzkich zwłok, w tym również zwłok małych dzieci, a „zwycięzcy” przechodzili obok nich z taką obojętnością, z jaką przechodzi drwal obok kłód drzewa po dokonanej przez niego ścince. Co najwyżej któryś z nich rzucił okiem na „pobojowisko”, by ocenić „sukces” Ukraińskiej Powstańczej Armii nad Polakami w tej wsi.”

Po wyjściu ze wsi esesmanów, banderowców oraz policjantów z historycznych Podhorzec, na miejscu pozostali riziniki i siekiernicy kończący plądrowanie domostw. Z przekazu wynika, że prowodyrem tej czerniawy był Hryćko Szczerbatyj. „Szczerbatyj dał komendę... aby ci podpalali budynki. Wszystko spalcie! Żeby żaden kamyczek nie pozostał.”

W 1981 roku w książce *Post imeni Jaroslawa Halana* jest szkic *Requiem nad zamordowaną wsią* a w nim wywiad M. Toporowskiego z H. Szczerbatym. On też pisze: „I oto siedzę naprzeciwko Hryhorija Szczerbatego, tego samego. Siedzę i nie mogę oderwać oczu od rąk, które polewały benzyną budynki, od rąk, które paliły ludzi żywcem.

Zewnętrznie jest niby spokojny, ale zdradzają go wciąż te same ręce: przez cały czas w ruchu, zaciskają się. Tak, on nie zaprzecza: była w jego życiu Huta Pieniacka, ale za inne przestępstwa odbył już karę. Faktycznie wobec prawa

Szczerbatyj jest czysty. A wobec ludzi spalonych i żywych?”

Badacze polscy, m.in. A. Korman, oceniają, że masakry uniknęło zaledwie 161 osób - lub nieco więcej. Z tego 49 osób, które wcześniej opuściły Hutę, 15 osób ocalało na wieży kościelnej, 7 - w piwnicach kościoła, 1 w piwnicy szkolnej, 61 osób w schronach uprzednio przygotowanych, 19 w innych kryjówkach i 9 w wyniku desperackiej, szczęśliwej ucieczki.

I ta ocalała garstka, wraz z Polakami z okolicznych siół, których jeszcze nie wyróżnięto, przystąpiła do pochówku. „Gdy przybyliśmy - piszą Bronisław Jabłoński i Antoni Orłowski z Huty Werchobuskiej - to zobaczyliśmy straszliwy obraz tej wsi, dopalały się domy, na polach i ogrodach można było spotkać leżących ludzi starych i młodych, mężczyzn i kobiety, bardzo to strasznie wyglądało... małe dzieci były pozawieszane na płotach i leżały z rozmiądzonymi głowami... na śniegu, który był przesiąknięty krwią...”

Do pochówku wykorzystano doły po wapnie, które użyto do budowy kościoła i szkoły. Wyścielono je słomą i poukładano na niej zwłoki lub tylko ludzkie, zwęglone części, przykryto je też słomą, przysypano podolskim czarnoziemem. Ile ich było? Niepełny wykaz nazwisk ustalony przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów wskazuje na 800 osób. Wykaz niepełny, jest wciąż uzupełniany. Można się spodziewać, że sięgnie on liczby 1000 osób a nawet więcej.

Władze konspiracyjne Polskiego Państwa Podziemnego ustaliły i podały do publicznej wiadomości w „Przeglądzie Tygodniowym” (10-17 marca 1944), że: „Autorem tragedii był komendant posterunku policji ukraińskiej w Podhorcach, zawzięty wróg polskości. Dręczyła go obronna postawa polskiej ludności Huty, wobec której wszelki zamach skazany był na niepowodzenie, użył zatem podstępny i... doniósł, że ludność

posiada broń i przechowuje Żydów... Napad był podobno aktem samowoli oddziałów ukraińskich dywizji SS-Galicja... Wśród zgłiszcz piętrzą się stopy trupów, zbitych w jedną masę. W jednej ze stodół stoi tam prawie jednolita masa około 80 zwęglonych trupów. Wedle zgodnej opinii ocalałych świadków mordu, napastnicy mordowali ofiary w sposób bestialski, wśród objawów o jakich się czyta w opisach praktyk najdzikszych plemion. Więc dzieciom żywcem rozpruwano brzuchy, rozbijano głowy o słupy kamienne, itp. Spędzonych w kaplicykościółku mężczyzn, mordowano przy akompaniamencie tamt. harmonium. Gdy „bohaterzy” wracali po akcji przez wieś Pieniaki, tamtejsza ludność ukraińska wystawiła im bramę triumfalną i oklaskiwała.” Nie wszystkim jednak Ukraińcom to się podobało, ostro potępił mord ludności polskiej paroch cerkwi NMP w Choroście Starym o. Iwan Doruk, ksiądz greckokatolicki. Na kazaniu wezwał wiernych do opamiętania. Jeszcze tej samej nocy zjawiła się na plebanii bojówka SB OUN aby pozbawić duchownego życia strzałem w tył głowy.

Zapytana po wojnie w sprawie wspólnego napadu „dywizyjników” i upowców na Hutę Pieniacką, Julia Łućka, żona O. Łućkiego, który w tym czasie był atamanem w UPA, prze-to całą sprawę znała dokładnie, bez zastrzeżeń opowiedziała: „Likwidacja spokojnych polskich mieszkańców przez OUN-UPA - to jedną z najcięższych zbrodni ukraińskich nacjonalistów”. Przyznała także: „Gdy rozpoczęły się akcje - likwidowano wówczas wszystkich polskich mieszkańców nie wyłączając starców, dzieci i chorych... Huta pieniacka nie była pod tym względem żadnym wyjątkiem. Nie była też wyjątkiem, gdy idzie o współdziałanie w zbrodni UPA z esesmanami dywizji SS-Hałyuczyna...”

Reportaż filmowy „SS w Wielkiej Brytanii” spowodował, że także społeczeństwo dowiedziało się o tym, iż Główna Ko-

misja Badania zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu od lat prowadzi śledztwo w sprawie Huty Pieniackiej - i na tym sprawa się kończy. Jak dotąd nie pociągnięto do odpowiedzialności sądowej, poza b. ZSRR, żadnego ukraińskiego esesmana - nawet spośród tych, co byli wcześniej w UPA, a teraz mieszkają w Polsce.

Dotychczas przesłuchano 120 świadków huteńsko-pieniackiej masakry, ustalono 60 osób poszkodowanych. Tyle śledztwo, wprawdzie rozpoczęte już w 1944 roku. Śledztwem tym kierował z Warszawy dr Jacek E. Wilczur, ale po jego odejściu z Głównej Komisji wyraźnie przycichło. Teraz, po nagłosnieniu przez Anglików, ożyło na nowo. Materiały zbrodni, choć skrzętnie zacierane i niszczone, są jeszcze w archiwach ukraińskich, ale nie można na nie liczyć. Władze ukraińskie ukryły je przed okiem polskich (i nie tylko polskich) badaczy, a Polacy nie protestują, wolą uniki albo udawanie, że się zgadzają z opiniami własnych fałszerzy udających „profesjonalnych historyków”. Jak dziesięć lat temu w tyg. „Tak i Nie” pisałem o mordzie popełnionym przez wojaków SS-Galizien na mieszkańcach Huty Pieniackiej, wtedy odezwał się z Kanady Wasyl Weryha - b. podoficer tej jednostki, a teraz sekretarz generalny Światowego Kongresu Wolnych Ukraińców. Absolutnie zaprzeczył obecności 4 pułku SS-Galizien w Hucie Pieniackiej - więcej, zagroził sądem za rzekome zniesławienie. Wsparli go w nagonce na autora *Rycerzy żelaznej ostrogi* niektórzy polscy politycy i publicyści, którzy również dziś grają pierwsze skrzypce. Teraz, po emisji filmu J. Hendy'ego, po dowodach zaprezentowanych przez licznych badaczy i po podaniu ich jako niepodważalnych, w światowych mediach, Weryha nie byłby w stanie już zaprzeczać i grozić. Dlatego przezornie milczy. Milczą też ci *dobrodzieje SS-Galizien*, którzy przyczaili się w Polsce.

K. J. Dmytruk, *Pod sztandaramy reakcji i faszyzmu*, Kyjów 1976; Edward Gross, *Zbrodnie Ukraińskiej Powstańczej Armii*, Głogów 1999; Aleksander Korman, *Nieukarane zbrodnie SS-Galizien z lat 1943-1945. Chodaczków Wielki, Huta Pieniacka, Podkamień, Wicyń i inne miejscowości*, Londyn 1990; Wiktor Poliszczuk, *Gorzka Prawda. Zbrodnicość OUN-UPA (Spowiedź Ukraińca)*, Toronto - Warszawa - Kijów 1995; Edward Prus, *Rycerze żelaznej ostrogi. Oddziały wojskowe ukraińskich nacjonalistów w okresie II wojny światowej*, Wrocław 2000; Tomasz Kunzek, *Przewodnik po województwie tarnopolskim, Tarnopol b. D. W.*; Wasyl Weryha, *Dorohamy druhoji światowoji wijny. Lehenda pro uczast Ukrajinciw w Warszawskomu powstani 1944 r. ta pro Ukrajinsku Dywiziju „Halaczyna”*, Toronto 1980; M. Toporowski, *Requiem nad ubytym sełom, Post im. Jaroslawa Halana*, knyha 8, Lwów 1981.



Znaczek Kręgu Ziemi Załozieckiej Stow. Szarych Szeregów.

NIEZŁOMNI

„Niezłomni”, „chluba narodu polskiego”, „legenda Kresów”, „ostatni rycerze kresowych stanic” - to różne określenia nadawane polskim nieletnim żołnierzom Armii Krajowej - Szarych Szeregów walczących z tzw. UPA w obronie zagrożonej rzezią ludności polskiej. Kresową walką obroną 12-17-letnich dzieciaków nie są usatysfakcjonowane tylko samozwańcze „autorytety moralne”, mające z polskością tyle wspólnego, co drухowie Szarych Szeregów z nazistowską UPA.

Ile kalumnii, ile pomyj wylali na nich różni Jeziorańscy, Kuroniowie, Michniki i inni - tylko za to, że ci prawdziwi potomkowie „rycerzy spod kresowych stanic” nie dali się bezkarnie upowcom pozarzynać i nie pozwolili im też rżnąć swoich rodzin na 362 „sposoby”, dokładnie opisane przez Aleksandra Kormana w książce *Stosunek UPA do Polaków na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej* (Wrocław-Nortom 2002).

Wszyscy ci NIEZŁOMNI zasłużyli na wieczną chwałę i wdzięczność wszystkich Polaków w takiej samej mierze, tak dziś darzą ich wdzięcznością i błogosławią Polacy-wygnańcy z Wołynia i Małopolski Wschodniej, zwanej dziś umownie „Zachodnią Ukrainą”.

Wyrazy tej wdzięczności drухowie stanic z Doliny Seretu (o nich bowiem mowa) doznają co dzień od ocalałych rodzin i ich potomków - albowiem kresowość jest dziedziczna, a pamięć o rzeziach UPA wciąż żywa - i nie przesłonią jej różne „sztuczki” ukraińców i tych „wyciszaczy”, którym miłsza jest krew żydowska i ukraińska niż serdeczna krew narodu, który ich karmi. W normalnym państwie każdy z tych panów już

dawno jeżeli nie spoglądałby spoza krat na świat Boży, to zostałby banitą.

Stanica z Doliny Seretu to miasteczko Założce, które w czasie pożogi wchłonęło Polaków z okolicznych wsi polskich, którzy unieśli głowy spod hajdamackiego topora. Tych nieszczęsnych okaleczonych fizycznie i moralnie, z których każdy już utracił kogoś z najbliższych, ochraniała setka założeckich „ranców”, mileńskich „orlików”, reniowskich „sokolat” i trościanieckich „krogulców”. I to właśnie oni, jeżeli nie złotymi zgłoskami, to własną krwią wpisywali się do *Księgi Chwały*, „gdzie bohaterów spis”. Rozpaczliwa obrona Milna, zwycięski bój pod Panasówką i Perepelnikami. To za tę walkę wszyscy druhowie zorganizowani w III Rzeczpospolitej w Krąg Ziemi Załozieckiej zostali Kawalerami *Krzyża Niezlomnych* i Złotej Honorowej Odznaki Obrońców Polskiej Ludności na Kresach Południowo-Wschodnich II RP.

Perepelniki to rodzinne gniazdo Maryli Wolskiej i Beaty Obertyńskiej. Co te nazwiska znaczą dla polskiej literatury, wiedzą nawet redaktorzy „Gazety Wyborczej”.

Niezłomni dowodzili: por. AK Mieczysław Pytlik „Jod” i kapelan AK ks. Franciszek Bajer - „Szymon” oraz podoficerowie: Jędrzej Dubrawski, Stanisław Bosakowski, Tadeusz Topotnicki, Józef Lincmajer. Każdy z nich już odszedł na wieczną wartę.

Perepelniki, Panasówka - to miejsca, które weszły już do harcerskiej legendy. Dziś właśnie rzecz o Perepelnikach.

System alarmowy, choć nadzwyczaj prosty, działał w Założcach niezawodnie. Każdy z druhowów poderwany na nogi hasłem alarmowym przez „gołębiarzy” (gońcy), którymi byli najmłodsi „zawiszacy”, jak: Zdzich Kalinowski, Jaśko Hawryszczak, Adaśko Kwaśnicki, Bronio Najwer. Każdy z nich miał obowiązek powiadomić dwóch najbliższych druhowów, ci

zaś zawiadamiali następnych. W taki „koronkowy” sposób w bardzo krótkim czasie cały oddział (lub określona grupa) stawał w szyku bojowym w wyznaczonym miejscu. Aby ten system mógł być naprawdę sprawny i skuteczny, każdy druh wychodząc z domu zostawiał wiadomość, u kogo lub gdzie jest. Tak było też w pamiętnym dniu 29 grudnia A.D. 1944.

Zbiórka w pełnym składzie drużyny odbyła się u zbiegu ulic Zborowskiej i Nadrzeźnej na placu przed plebanią grekokatolicką, którą Sowieci zamienili na szpital. Wraz z nadbiegającymi, zdyszczymi druhami nadciągały sanie. W końcu zebrano się tego kilkanaście par, na które zaczęto ładować ciężki sprzęt - przede wszystkim dwa cekaemy z workami taśm pełnych naboji.

Nikt nie znał celu alarmu, ale każdy się domyślał, że to nie mogą być ćwiczenia. Świadczyły o tym poważne miny dowódców („podlotków”): Stacha Bosakowskiego, Michała Wnuka, Tadzika Topornickiego i Józka Lincmajera. Nie było ks. Franciszka Bajera - co niektórych dziwiło, bo w każdej poważnej sytuacji był on zawsze, co dodawało otuchy i odwagi... Zjawił się w ostatniej chwili na czele konnego zwiadu Mietek Dec - „Dziryt”. W zwiadzie było tylko czterech druhowów: „Grot”, „Czarny”, „List” i „Zryw”. Ci znali zadanie i cel wyprawy, więc pogalopowali ku zborowskiej rogatce w kierunku na Trościaniec Wielki i Olejów.

Na czele zmobilizowanych pod przymusem furmanów poganiających własne konie jechał Hryć Czapelski. Człek po pięćdziesiątce, a zatem „podlotek”, kościsty i ponury, z sumiastymi wąsami zwisającymi aż do krańca podbródka - typ kozaka z obrazu Ilii Repnina. Jako już leciwy wdowiec poślubił młodziutką Genę Skorobohatą, pannę pulchną jak pierzyna i czarną niby smoła - ale biedną, a Hryć był gospodarzem majątnym. Na niewiele to bogactwo obojgu się zdało,

skończyli w kołchozie zagnani doń „z wolnej i nieprzymuszonej woli” przez bolszewików.

Czapelski chlubił się, że jego ród wywodzi się z wolnych kozaków, którzy pod Sahajdacznym razem z Lachami pod Chocimiem gromili Turków. Za obrazami świętych trzymał stare pergaminy opatrzone woskowymi pieczęciami; były to potwierdzenia wolnicy dla rodziny Czapelskich. Teraz jeden z nich poganiał trochę przychudawe konie i powtarzał, że „ta wojna” jest bezsensowna, a Rusini nie mają racji wolnego bytu bez Polaków. „Żyliśmy wspólnie setki lat - powtarzał - a teraz złe moce chcą nas rozdzielić. Banderowski szatan zmówił się z hitlerowskim i stalinowskim diabłem i wspólnie sięją ogień, zadają śmierć i wyciskają łzy”.

Kawalkada sań minęła właśnie Trościaniec, kierując się wprost na Perepelniki. Niecały kilometr od Trościańca powrócił ze zwiadu „Dzi ryt” meldując, że „droga wolna”. Wtedy dopiero powiadomiono całość, że celem wyprawy jest właśnie wieś Perepelniki, a właściwie obszerna kotlina, gdzie miał przymusowe lądowanie samolot wojskowy z siedmioma członkami załogi na pokładzie, którego należało ochronić aż do przybycia (ze Lwowa) mechaników.

Istniało bowiem uzasadnione podejrzenie, że banderowcy z UPA zechcą wymordować załogę samolotu, a sam samolot zniszczyć albo przywłaszczyć. Dziś wiemy, że ówczesnym szefem sztabu okręgu wojskowego „Łysonia” był Włodzimierz Jakubowski - „Bondarenko” - dyplomowany lotnik z polskiej szkoły orląt.

Dodać należy, że okolice Perepelnik były pełne jarów mrocznych, zdradliwych wykrotów, niespodziewanych jam i pułapek, w których niejeden śmiałek już pobłądził i nieźle najadł się strachu - zwłaszcza ciemną, bezgwiazdną nocą. Opowiadano, że w tych urwiskach siedliska swoje mają nie

tylko chytre lisy i czujne borsuki, zbląkane, ciągle głodne wilki, ale przede wszystkim upiory - *siromachy*, boginki-diable oraz inne duchy nieczyste, które nie zawsze ustępowały z drogi człowiekowi kreślącemu w ich stronę znak krzyża.

Na szczęście był dzień i zima, przeto było widno i wszystko tonęło w bieli przejrzystej, a drzewa i krzewy nie miały liści, co dawało więcej światła i niwelowało ponurość miejsca.

Wreszcie oddział dotarł do miejsca, które było prawie płaską kotliną wśród pofałdowanych gęsto wzgórz Miodoborów broniących do niej dostępu. Wysłany tu „Dzi ryt” ze zwiadem zdołał dogadać się z załogą, więc nie było już żadnych kłopotów z podejściem do samolotu. Samolot był bombowcem dwuśmigłowym wyposażonym bodajże w dwa (lub trzy) ciężkie karabiny maszynowe, które po krótkiej naradzie pośpiesznie zaczęto wymontowywać.

Zimowy dzień szybko mijał, słońce schodziło już w dół po lazurowym podolskim nieboskłonie gdzieś za Markopolem i wszyscy wiedzieli, iż przyjdzie spędzić tu mroźną i bardzo niebezpieczną noc. Dowódca załogi samolotu, „sojusznik” o dziecinny wyglądzie, oświadczył, że wysłał swojego nawigatora do Perepelnik z nadzieją, że znajdzie tam pomoc. Minęło jednak już kilka godzin, a wysłany żołnierz gdzieś się zapodział, nie wracał, co samo przez się było niepokojące.

Prawie natychmiast jego śladem podążył trzeci pluton operacyjny pod dowództwem Urbanka Czajkowskiego - „Rabego”; powrócił już nocą przynosząc na skleconych naprędce noszach zmasakrowane zwłoki nawigatora. Dostrzeżono je wiszące na konarze lipy rosnącej przy dzwonnicy cerkiewnej. Kto dokonał tej zbrodni, należało się domyślać: banderowcy, innej niszczącej siły w całej okolicy nie było, a zatem już są i to bardzo blisko, zwietrzyli krew zranionej zwierzyny i liczą na łatwą zdobycz...

Harcerze niezwłocznie zaryglowali dojścia do kotliny, których zresztą nie było wiele, a przede wszystkim ubezpieczyli dwa większe wąwozy kręte niby węże od strony Harbużowa i kierunku Manajowa. Stąd przede wszystkim spodziewano się natarcia upowców. Tutaj na wysuniętej pozycji tkwili z „tależuwami” druhowie „Stróż” i „Ciupaga”, obok „Kos”, „Leszczyna” i najmłodszy „Łopień” - a nieco z lewa druh „Buk” z szybkostrzelnym kulomiotem niemieckim...

Warty zmieniały się co godzinę, aby się ogrzać przy ogniskach roznieconych i zupełnie ukrytych przed nieprzyjacielskim okiem w wykrotach. Gdy niebo zaróżowiło się nad Trościańcem i zza widnokręgu wyrzał wyspany dysk słońca, od Perepelnik oderwało się skokiem trzech jeźdźców - banderowski patrol. Pędzili na łeb, na szyję w stronę zaryglowanego wąwozu, ale nie dotarli, zatrzymali się w dość przyzwoitej odległości od założeckich „rabców”. Tu zaczęli się kręcić, wywijać konne młyńce - wyraźnie nie wiedzieli, co dalej począć. Wreszcie zawrócili odprowadzani milczeniem druhów. Milczały także las i wzgórze rozległe w trwożnym oczekiwaniu na mające nastąpić wypadki...

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy pierwsza „ława” UPA ostrzeliwując się ruszyła do natarcia. Upowcy nie posuwali się chyłkiem, skokami, szli wyprostowani strzelając z rzadka fantazyjnie „z biodra”, jak kowboje z amerykańskich westernów. Michał Wnuk „podlotek”, obserwując ich przez polową lornetkę dostrzegł, iż nie wszyscy mieli broń palną, dlatego palba była tak rzadka. To „mrowie luda” było uzbrojone wielorako, w większości w widły i siekiery. Jak się wkrótce okazało, byli to okoliczni chłopcy z wiejskiej banderowskiej „samoobrony” - pomocniczej, paramilitarnej formacji UPA, zmobilizowani do jednorazowej akcji, aby po niej „rozbroić się” i wieść żywot „spokojnych pidsidków”.

Tak bywało zawsze i wszędzie, gdzie działała UPA. Podstarzałe „pidsidki” szły w milczeniu, milczał też las „jak zaklęty” pełen druhów... Banderowcy byli już blisko. Tońko Sasiadek - „Zamek” przysięgał, iż widział jak niektórzy z nich mieli dymiące skręty w zębach albo ssali cygarniczki wyrabiane po wsiach podolskich masowo z wiśniowego drzewa.

Rozległ się raptowny jazgot palby „rabców”. Najgłośniej dudniły ciężkie kulomioty wymontowane z samolotu, terkotał zawzięcie niemiecki karabin maszynowy, grzmiały erkaemy, parskały automaty. Stało się to, co łatwo było przewidzieć: wyprostowani dotąd rzezańcy i kolije zaczęli się chwiać, kręcić niby zamotyloczone owce i słać pole pokotem. Wrzaski napełniły powietrze, okrzyki „hura”, „hura” mieszały się z jakimś skowytym i przekleństwami. Najgłośniej ryczał byczym basem pop perepelnicki trzymając wyciągnięty wysoko nad głową trójramienny znak - ni to krzyż, ni to tryzub: *Isuse Synu Bożyj, spasaj Twojich rabiw! Smert' Lacham, Żydam i Moskalam!*

Wcześniej ów pop na prośbę „szacownych miejscowych obywateli” wdział szaty liturgiczne i wzorem swoich poprzedników z czasów hajdamacczyzny, petlurowszczyzny, a także doby najnowszej pokropił *na sławu i światoje diło* przyniesione do świątyni narzędzia mordu: noże, siekiery, widły. Te właśnie „narzędzia” trzymali dziś w ręku hajdamacy. Pop zaś nieustannie grzmiał tubalnie: *smert' Lacham, Żydam i Moskalam! Matir Boża spasaj mene* - to był już jęk beznadziejnej rozpacz, bo popa w udo ugodziła polska kula. Ten sam jęk powtórzyli inni i po chwili już całe zaśnieżone pole jęczało.

Ten jęk był osobliwym hasłem do odwrotu. Beżładna masa zaczęła się cofać, czasami chyłkiem, czasami otwarcie ile sił w nogach rzucając do tyłu granaty, które wybuchały nie wyrządzając nikomu żadnej szkody. Banderowcy mieli też

w Perepelnikach jeden granatnik, nazywany przez nich „derkaczem”, który w pewnym momencie rozpoczął ostrzał polskich pozycji. Jeden z granatów padł blisko druha „Tuca”, pogruchotał mu nogi i rozplątał brzuch. „Tuc” jednak żył, a powiadomiony o nieszczęściu jego brat „Raby” padł zemdlny „jak badył ścięty kosą”. Druhnom Toni Góral i Oli Żarów, które były „niezabudkami” (pielęgniarkami), udało się odciągnąć rannego z bezpośredniego pola ostrzału i umieścić w bezpiecznym, zacisznym miejscu osłoniętym przed mroźnym wichrem przy sękatej brzozie i na kupie gałęzi smrekowych. Albin „Tuc” na widok „Ziuka” spoconego od nieustannej gonitwy (pełnił dziś funkcję „oficera łącznikowego”) wyszeptał bladymi wargami: - To już koniec! Jak znajdę się w niebie, to będę orędowną za wami wszystkimi, za Polską. Świętemu Piotrowi powiem, że my wszyscy tu na ziemi „co nasze Polsce oddamy”.

Odłamki banderowskiego granatu zraniły też śmiertelnie Władka Bucznego - „Turte”, który był w harcerstwie ćwikiem. Ten najwyraźniej umierał w „lazarecie” harcerskim na kępie szpilek sosnowych pod gołym niebem podolskim na rękach splakanej „niezabudki” Stachy Szadłowskiej. - Pamiętasz - powtarzał z wysiłkiem - przysięgę harcerską? Ja pamiętam i dzisiaj dopiero uświadomiłem sobie: kim jesteśmy i dla kogo walczyliśmy w tak wielkim osamotnieniu. Ks. Franciszek mówił prawdę, że wszyscy zapadliśmy na śmiertelną chorobę, która zwie się: Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska. Czym różnimy się my, druhowie polskich plutonów operacyjnych Tajnej Organizacji Harcerskiej, od młodocianych herosów, którzy ze swoich młodych ciał ułożyli przed laty barykadę i osłonili nią wąwóz, podobny do naszego, tylko pod Zadwórzem - lwowskimi Termopilami? Czym?

Ten monolog ćwika „niezabudka” zapamiętała słowo w słowo, bo „Władek mówił to bardzo poważnie, jakby ze smutkiem” - wspomina. Stacha dopiero później przeczytała opowiadanie Zofii Kossak opisujące wydarzenie, które miało miejsce pod Zadwórzem, a które druhowi „Turcie” było od niedawna znane. Opowiadanie to czytano wieczorem wspólnie przy kaganku w domu Czajkowskich. Czytał je Michał Pawłowski - „Len” - orlik mileński, który robił to najlepiej ze wszystkich zebranych. Każdy jednak pamiętał zdanie: PRZECHODNIU, IDŹ OPOWIEDZ... Po latach ten spartański napis pojawił się na cmentarzu u stóp Monte Cassino: *Przechodniu powiedz Polsce żeśmy polegli wierni w jej służbie.*

Obaj druhowie „Tuc” i „Turta” zmarli z upływu krwi i zimna - z tą różnicą, że „Tuc” konał bardzo długo i odchodził z tego świata na wieczną wartę świadomości, z wiarą, że Dobry Bóg da mu Polskę w Niebiesiech, gdzie będzie Seret, Założce, Lwów, Tarnopol, Podkamięń, Krzemieniec.

Znowu nadeszła mroźna noc z 30 na 31 grudnia A.D. 1944. Nad wąwozem szalała zamieć. Tłukły się siromachy i skrzypiały brzozy, jęczały gałęzie leszczyny, jakby o coś prosiły. Zapewne dusze potępione błagały żywych o pacierz. Wicher wdierał się nachalnie do wąskich parowów i rozrzucał brutalnie ogniska, które natychmiast gasły. Była to straszna noc, noc mroźów i duchów, najgorzej, że nie można było spać, nawet się zdrzemnąć na krótką chwilę. W taką siarczystą pogodę sen oznaczał śmierć...

Wczesnym świtem znowu zajazgotały granaty, widocznie upowcom przybyło „derkaczy”. Tym razem banderowcy usiłowali ugodzić samolot - co im się w końcu udało. Bombowiec zapłonął, aby następnie z ogłuszającym hukiem eksplodować. Nikt jednak ani z załogi samolotu, ani z tych, co przyszli ją wspierać, nie odniósł szwanku. Można to było uznać za cud.

Zniszczenie samolotu poderwało banderowców do nowego natarcia, ale i ono się załamało, choć z wielkim trudem, zostało odparte; znowu zaczęło się białe przedpole kufajkami, kozuchami i baranicami, a łabędzi puch pokraśniał dużymi plamami świeżej ludzkiej krwi. W ćmie nacierającej czerniawy nie było już popa, stchórzył.

Nie zdołały jeszcze ostygnąć rozgrzane do czerwoności lufy, gdy oto atamani ponownie rzucili ludzkie mrowie do szturm. Półkolista nieprzyjacielska ćma nie przemieszczała się już w pozycji wyprostowanej, tylko pełzła w miękkim śniegu ledwie widoczna i wrzeszczała w niebogłosy: „hura”, „hura na Lachiw!”. Wrzeszcząc tak pchała się wprost pod harcerskie kule. Podstarzali mołojcy pamiętający „italiański front” robili wrażenie kompletnie pijanych. Kule polskich „młodych lwów” sypały się rzęsiście jak grad w czasie wiosennej burzy, wtedy cała masa legła nagle, jak na zawołanie powstała, nie bardzo wiadano: dlaczego? W każdym razie nie po to aby, wymachując widłami i siekierami pognać do przodu, lecz co się wyjaśniło, aby wykonać „w tył zwrot” i rozpocząć beładną, wręcz paniczną ucieczkę.

Rizuni wybrali wariant najgorszy, zrozumieli to polscy dowódcy, choć i oni nie pojęli od razu wszystkiego, ale wszyscy czterej: Linmajer, Topotnicki, Bosakowski i Wnuk wyskoczyli do przodu z pistoletami w rękę krzycząc coś niezrozumiałego i strzelali wprost w drgające plecy uciekających. Za nimi wyskoczyli ci druhowie, którzy byli najbliżej i słyszeli słowa wzywające do pościgu. Okrzyki te bowiem ginęły w huraganowej palbie, jakby ktoś garściami sypał groch na bęben. To właśnie ruszyły z zaskoczenia do ataku polskie plutony operacyjne ze Zborowa. Nieprzyjaciela zaskoczyły one z flanki. W tym właśnie tkwiła tajemnica nagłej ucieczki banderowskiej czeniawy. Ale nie tylko.

Na przerażonych, pijanych kolijów natarli kozacy dońscy z Podkamina. Z chrzęstem i świstem spadających w ciosach szabel, z rykiem dziesiątków gardzieli Dońcy przebili na wyłot pierwsze, tylne szeregi banderowców i wpadli w sam środek ludzkiego kłębowiska. Do akcji też weszły słynne taczanki - wynalazek prowadzycy anarchistów - Nestora Machny. Taczanka to lekki, lecz silny wóz czterośladowy zaprzężony w trójkę koni. Na tym wozie pędzącym z szybkością wichru znajdował się ciężki karabin maszynowy z diabelnie odważną załogą. Taczanka wpadła brawurowo w ciżbę upowców i siekła niemiłosiernie na wszystkie strony kładąc pokotem wszystko, co się tylko poruszało. Upowcy zupełnie pogłupieli, zmienili kierunek ucieczki w stronę harcerskich pozycji. Powstała sytuacja niezwykła, polskie kule nie nadążały kosić pchających się beładnie z obłędem strachu w oczach rizinów.

Jakiś amok, wręcz szaleństwo ogarnęło obie walczące strony. Harcerze wrzeszczeli, jakby ich kto ze skóry obdzierał wykrzykując nazwy wyróżnionych przez UPA najbliższych miejscowości: za Bukowinę, za Kamionkę, za Gontowę, za całe Milno, za Bezezowicę, za Ihrowicę, za Kołodno...

Perepelniki - to totalny i trochę niespodziewany pogrom banderowców - a właściwie, powtórzmy - niewykształconych chłopów ukraińskich, którym zachciało się podrzywać gardła „polskim szczeniutom”. Ale nie były to już „szczeniaki” wystraszone i nieśmiałe, lecz najprawdziwsze „młode lwy, orły i sokoły” przywykłe do walki z okrutnym przeciwnikiem.

Nocą i wczesnym rankiem dnia następnego ounowcy zebrali z pola walki poległych kompanów i pochowali w pękającym jak cerkiewna wieża-bania kurhanie pod wysokim, brzoźowym krzyżem z napisem: *Spiť chłopci spokojno*. Świąszczennik, który błogosławił siekierników na *peremohu*, teraz

kropił mogiłę wodą i żalosnym głosem, przy wtórze zawodzenia rodzin poległych, odprawił panachydę.

Zwycięzcy wieźli na saniach ciała druhów „Tuca” i „Turty” oraz lotniczego nawigatora. Przed zbrorowską rogatką wszystkie plutony zaśpiewały „Harcerski marsz żałobny”. Był to tren zrozumiały jedynie dla harcerzy i dla nich był to „ból ból”:

...Oddali Polsce swe życie młode,

O własnym szczęściu swój sen wiośniany.

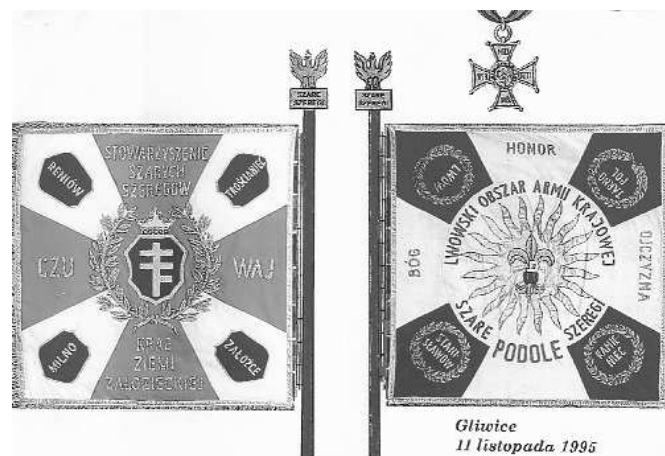
Kul kilka w piersi wzięli w nagrodę,

Trzy łokcie ziemi i krzyż drewniany.

Po dwóch dniach od perepelnickiej bitwy, dzień po Nowym Roku 1945, padłych druhów pochowano pod wiekowymi lipami na starożytnym cmentarzu Starego Miasta we wspólnej mogile, pod jednym krzyżem dębowym i koślawym napisem na nieociosanej desce: PRZECHODNIU, IDŹ POWIEDZ...

(fragment większej całości)

W TRANSZEJACH PANASÓWKI



*Gliwice
11 listopada 1995*

Panasówka - wieś na pograniczu podolsko-wołyńskim, należąca do gminy i parafii Założce. Pod tą wsią w 1864 roku Powstańcy Styczniowi, zdradzeni przez mnichów Ławry Poczajowskiej, ponieśli klęskę. Druga bitwa pra- i praprawników tych powstańców miała być zwycięską. Tu właśnie 15 listopada A.D. 1944 założecki szereg harcerski Szarych Szeregów pod wodzą por. Armii Krajowej Mieczysława Pytlika - „Joda” i kapelana AK ks. Franciszka Bajera - „Szymona” stoczył największą bitwę (a także największą w Małopolsce Wschodniej) z kureniem tzw. Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), który z błogosławiństwem mnichów poczajowskich zdążył marszem forsownym ku Założcom, aby je wyznać.

Miasteczko to było typową wieś kresową, rozłożoną po obu stronach Seretu w cieniu groźnej fortalicji „na bagnach”, nigdy przez żadnego nieprzyjaciela nie zdobytej. Przed wojną mieszkali w miasteczku Polacy (w przeważającej części) oraz Żydzi i Rusini, którzy już wtedy zaczęli zwać się Ukraińcami. Sowieci przetrzebili Polaków, wywożąc ich na Sybir, przy aktywnym współudziale miejscowych Żydów i ukraińskich nacjonalistów. Żydów - z kolei - przy aktywnej pomocy ukraińskich nacjonalistów, wymordowali Niemcy. W 1944 roku w nadsereteckiej stancy mieszkali już tylko Polacy i Ukraińcy. Ci pierwsi także w nadmiarze.

Tę „nadwyżkę” stanowili niedorzętni przez UPA uciekinierzy z pobliskich polskich siół. Oblicza się ich na 15-25 tys. zupełnie bezbronnych. Ochronę dawało im Założce - prawdziwe „Orle gniazdo”. W „gnieździe” tym dniem i nocą warowały „orliki” - nie „orlęta”. Orlętami były bowiem wyłącznie „dzieci Lwowa”.

Właśnie tych 15-25 tys. wygnańców zamierzała wyróżnić rozbójnicza UPA, która - licząc na łatwość swojego *swiatoho dila* - sądziła, że nie będzie komu ich obronić. UPA przecież stworzona była właśnie do rzezi, mit jej rzekomej walki powstał dopiero po wojnie. Upowcy wiedzieli, że dorośli Polacy, przed którymi dotąd drżeli z przerażenia, przebywali na froncie. Natomiast pozostała garsteczka „podlotków” - tj. męczyzn „podlatujących” pod 60-70-tkę, jaki i niecała setka 12-17-letnich dzieciaków z Załoziec, Milna, Reniowa i Trościańca Wielkiego zupełnie się dla UPA nie liczyła. Banderowcy nie wzięli jednak pod uwagę „drobiażdżku”, że ci wąтли fizycznie „szczeniacy” - jak ich nazywano - byli jednak silni duchem, jako spadkobiercy „rycerzy kresowych stanic”.

Dobrze funkcjonujący harcerski zwiad doniósł, że od strony Wołynia suną wielkie siły UPA - około lub ponad 400 rze-

zańców dobrze uzbrojonych w broń maszynową i automatyczną oraz zaprawionych w rzeziach, gwałtach i rabunkach.

Upowski kureń posuwał się z północy, zaś po przeciwnej stronie Załoziec, na południu, w lasach białogłowskich tkwiła rajdowa sotnia UPA atamana Wołodomyra Jakubowskiego - „Bondarenki”. Nie można było wykluczyć, że istniał plan wzięcia Załoziec w kleszcze i dokonania zmasowanego szturm na miasto jednocześnie z dwóch stron. Sotnia „Bondarenki” wyróżnęła już polską wieś Milno i współdziałała z wojakami SS-Galizien w masakrowaniu Polaków w Podkamieniu.

W takiej sytuacji zrodził się zuchwały plan dokonania zasadzki na wołyński kureń w okopach za Panasówką i pobicia kurenia na dalekich przedpolach. Realizację tego zuchwałstwa 7 km od Załoziec, rozpoczęto od Mszy św. Odprawił ją ks. Kazimierz Gajewski w mocno nadwerężonym kościele farnym, a kazanie wygłosił ks. Bajer. Przed rozpoczęciem nabożeństwa kapłan oświadczył, że jest to Msza św. za Ojczyznę, za Polskę. Ojczyźnie można służyć pracą i umysłem, sercem i poświęceniem - niekiedy aż do ostateczności, jaką jest ofiara własnego życia.

Była to zaledwie aluzja do mającej nastąpić walki. Jednak niejednemu z „orlików” przywołała ona pamięć słów druha Kaspra Wojnickiego - „Zawiszy”, jednego ze współtwórców Szarych Szeregów w Dolinie Seretu. Jego słowa, wypowiedziane na konspiracyjnym zebraniu w „gaikach”, odczytywali oni jak nakaz. Czytał im wtedy fragment książki Edmunda de Aminisa pt. „Serce”. Zapamiętany fragment „Zawisza” odniósł do Polski i Polaków. Postawił też swoim „orlikom” pytanie: dlaczego kocham Polskę? A odpowiedź znajdował właśnie w słowach pisarza: „Kocham Polskę, bo moja matka jest Polką, bo krew, która płynie w moich żyłach, jest polska, bo polską jest ziemia, bo miasto (lub wieś), gdzie się urodzi-



Żołnierze UPA domagają się, by państwo ukraińskie uznało, iż prowadzili walkę narodowyzwoleńczą o niepodległą Ukrainę.

łem, bo język, jakim mówię, książki, z których się uczę, brat mój, moja siostra, moi towarzysze, cały ten wielki naród, wśród którego żyję, cała ta piękna przyroda, jaka mnie otacza, wszystko, co widzę, co kocham, czego się uczę, co wielkie - jest polskie! Ale ty synu, nie możesz nawet znać całej głębi takiego kochania... Poznasz ją, w jakimś wielkim i dalekim mieście po tym utęsknieniu, które wskroś świetnego tłumu popchnie cię do ubogiego, nieznanego robotnika, dlatego tylko, że - przechodząc - w twoim rodzinnym języku przemówi. Poznasz ją w tym męskim świętym oburzeniu, które ci krew do głowy popędzi, kiedy usłyszysz cudzoziemca naśmiewającego się z twojego kraju... Uczujesz ją, tę miłość, jako boską radość, gdy ujrzysz wracające do miasta legiony mężczyzn, obszarpane, znużone, przeredzone, głodne, ale wspaniałe, z tym blaskiem triumfu w oczach, z tym podarty-

mi sztandarami w ręku, a za nimi całe szeregi rannych, z wysoko podniesioną, obwiązaną głową, z powiewającymi pustymi rękawami u ramion, wśród tłumów, które zarzuca ich kwieciami, błogosławieństwem i pocałunkami. Wtedy to zrozumiesz, synu, miłość Ojczyzny, wtedy to słowo *Ojczyzna* zrozumiesz. Ojczyzna bowiem, synu, jest rzeczą tak wielką, tak świętą, że gdybym kiedy ujrzał cię wracającego zdrowo z boju, w którym ona walczyła, ciebie, któryś jest krew z krwi i kość z kości moich, a wiedział, żeś ocalał, boś się krył przed śmiercią, ja, ojciec twój, który cię witam okrzykiem radości, gdy wracasz ze szkoły, przyjąłbym cię krzykiem rozpacz i nie mógłbym kochać już ciebie, i umarłbym z tej rany w moim sercu - Ojciec”.

Mimo ścisłej - zdawałoby się - tajemnicy, w powietrzu wisiła atmosfera jakiegoś nerwowego podniecenia, jakiejś „podskórnej” trwogi. Matka „Ziuka” długo grzebała w skrzyni, wreszcie znalazła to, czego szukała. Postawiła harcerzowi krzyżyk na czole, inny krzyżyk zawiesiła mu na szyi. Była to „rodzinna relikwia” - czarny krzyż na konopnym sznurku, który pradziad Jędrzej - żołnierz potrzeby narodowej - nosił podczas Powstania Styczniowego i z którym po jego upadku powrócił do ówczesnej austriackiej Galicji. Inne matki wieszały swoim synom szkaplerze i różańce. Z tymi symbolami wiary drухowie czuli się bezpieczniej, pewniej. One też „wy-



Dla przeciwników UPA jest organizacją kolaborantów.



Rozbrajanie banderowców przez polskich żołnierzy w Bieszczadach.

ciszały” strach i podniecenie, uspokajały głośne bicie serca, towarzyszące każdej „akcji”, związanej ze śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Pod Panasówką - miejscem chwały harcerstwa polskiego - miał się znaleźć kwiat tego harcerstwa z Doliny Seretu. Najwięcej było założeczkich „rabców”, wspartych mileńskimi „orlikami”, reniowskimi „sokolętami”, trościanieckimi „krogulcami”. Harcerskie Plutony Operacyjne ruszyły pod Panasówkę jeszcze tego samego dnia wieczorem, po nabożeństwie. Padał deszcz ze śniegiem, wiał przenikliwy wiatr - tak jak w pamiętną noc napadu kurenia UPA na Milno 11 listopada 1944 roku.

W Zagórzu napotkali Mieczysława Deca - „Dziryta”, który był dowódcą zwiadu, wysłanego kilka godzin wcześniej. Natomiast dzień wcześniej rozegrał się w Zagórzu dramat - zresztą nie pierwszy i nie ostatni. Tu, w przeddzień wymarszu „orlików” pod Panasówkę, został pojmany przez banderow-

ców druh Władysław Gaździcki - „Puchacz“ w trakcie wykonywania zadania wywiadowczego. Znał on dobrze okolicę, władał bezbłędnie językiem ukraińskim i przekonywająco odmawiał pacierz. Oprawcy rozebrali „Puchacza” do naga i znaleźli szkaplerz - znak polskości, a wtedy bez wahania skazali dzieciaka na śmierć. Owinęli go szczelnie kolczastym drutem, niby snop słomy i tak zdrtowanego rzucili nago na rozmokłą ziemię, przesiąkniętą pomyjami i gnojówką. Toczone go jak kłodę drzewa po tej cuchnącej mazi, kopiąc przy tym niemiosiernie. Kolce drutu wbijały się w ciało ofiary, jak kolce korony cierniowej w głowę i twarz Chrystusa. „Puchacz”, jak to później zeznali świadkowie, odmawiał głośno „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...”. Droga banderowskiej hańby, znaczonej obficie krwią polskiego chłopca, wiodła aż do głębokiego rowu, który był „okopiskiem”, czyli miejscem wyrzucania przez mieszkańców wioski wszelkiej padliny, ścierywa zdechłych kotów i psów. Tu miejscowa czerniawa, asystująca zbirom z UPA, zatłukła druha „Puchacza” kołkami wyrwanymi z płotu. Przed śmiercią harcerz zdołał jeszcze splunąć w twarz swoim oprawcom i zawołać: „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Wtedy rozłupano mu czaszkę. Gdy odnaleziono tę krwawą miazgę, właśnie wiejskie koty dożerały wyciekający z czerepu mózgi, one też wylizały krew z twarzy „Puchacza”, tak że była zupełnie czysta.

W Panasówce, do której „orliki” wkroczyły późną nocą, również rozegrała się „typowa” w owych strasznych czasach tragedia. Znajdowała się tu krucha samoobrona, bez trudu zmiażdżona przez UPA. Pojmany dowódca tej samoobrony - „Szklanny”, przez trzy dni z przestrzelonymi kolanami konał w męczarniach piekielnych. „Szklanego” upowcy przydrutowali do słupa telefonicznego, a jego okrwawione nogi owinęli „warkoczem”, uplecionym ze słomy, po czym obłali

„warkocz” naftą i podpalili. Płonący człowiek rozdzierającym głosem błagał Niebo o śmierć i przeklinał swoich oprawców „do dziesiątego pokolenia”. Zaś oprawcy, satysfakcjonując piekło, pijąc samogon naigrawali się z cierpiącego, jak ongiś, przed wiekami, oprawcy naigrawali się na Golgocie z cierpień Chrystusa. A przecież byli to chrześcijanie, grekokatolicy lub prawosławni, którzy co rano odmawiali wspólną modlitwę i śpiewali: *Boże Welykyj, Boże jedynj...*

Założecze harcerskie plutony operacyjne obsadziły transeje, będące najbliżej wioski i stanowiące jej przedpole. Na prawo, nieco w dole, znajdował się drugi okop, stanowiąc jakby ich prawe ramię. Oba tworzyły ogromny kąt rozwarty. Por. „Jod” poumieszczał założecze druhów plutonami - według kolejności - od strony lewej do prawej. Pluton pierwszy, dowodzony przez podoficera AK - J. Lincmajera, znajdował się na najdalej wysuniętej flance. Środkową część obsadziły „Pszczoly II” pod dowództwem podoficera AK - S. Bosakowskiego. Na prawym skrzydle usadowił się pluton trzeci, mający w zasięgu wzroku mileńskich „orlików”. Plutonem dowodził druh „Raby”, „Sokole Oko” - Urbanko Czajkowski. Środek okopu, pod dowództwem Mietka Deca - „Dziryta”, zajmował pluton czwarty. Całością prawego skrzydła dowodził Tadeusz Topornicki i on osobiście obsługiwał erkaem niemiecki, umieszczony na pozycji najbardziej wysuniętej w głąb pola, które już wkrótce miało się stać polem walki.

Reniów, dowodzony przez Tońka Horisznego - „Zrywacza” i Franka Łakomskiego - „Krzaka”, stanowił odwód i był w bezpośredniej dyspozycji por. „Joda”. W odwodzie znajdowali się także częściowo harcerze założecze pod dowództwem Jędrzeja Dubrawskiego, doświadczony frontowca-halerczyka.

O świcie 15 listopada na horyzoncie zamajaczyły pierwsze sylwetki upowców, którzy trzema kolumnami, dość beztrąsko

sunęli z wolna przed siebie, kierując się w stronę zabudowań Panasówki. Kureń rizunów szedł bez żadnego ubezpieczenia. Ataman „Dunaj”, który dowodził całością rzezańców, okazał się kompletnym wojskowym ignorantem. Wiódł swoich mołojców na śmierć „jak na wesele”. Sylwetki upowców wyraźnie odcinały się czernią na śnieżnym polu. W nocy bowiem spadł śnieg i to dość obfity. Druhowie obserwowali ich ruchy z przejmującym chłodem pod czaszką. Tak właśnie wyglądały „psy wojny”, można było im się przyjrzeć z bliska. Chłopy różne - od olbrzymów o gębach pucołowatych do cherlaków o gębach szcurzych. Wszystkim jednak bardziej ciążyła na rękach polska krew niż owo złowieszcze żelastwo, którym byli poobwieszani. Każdy z druhów inaczej postrzegał idącego wprost na siebie nieprzyjaciela, którego nie widok, lecz sama nazwa powodowała paraliż. Nie można było oczekiwać od upowców żadnego zmiłowania, żadnej litości. Ci ludzie mieli w swej naturze okrucieństwo. Swoje ofiary zabijali „zwyyczajnie” tylko gdy gonił ich czas albo istniało jakieś poważne zagrożenie. Natomiast kiedy było inaczej, ochoczo pastwili się nad swoimi ofiarami, traktując znęcanie się jako widowisko publiczne. A. Korman, po wieloletnich badaniach, opisał ponad 140 „metod” mordowania Polaków przez banderowców.

Teraz ci budzący zgrozę okrutnicy byli blisko, na odległość strzału, który miał niejednemu przeciąć nić haniebnego, beznadziejnego żywota. W okopach tkwiły ukryte ich potencjalne ofiary, ale także mściciele, harcerze wychowani na wzorcach Skrzetuskiego, Kmicica, Wołodyjowskiego, a zatem w kulcie honoru, odwagi i wielkiej prawości. Chociaż hajdamackie rzezie twardą skorupą opancerzyły im serca, nie zdołały ostudzić żaru miłości Ojczyzny: „wszystko, co nasze, Polsce oddamy”. Tu, pod Panasówką, mieli oddać Polsce swoją krew, a nawet życie.

Upowcy szli „na luzie”, ale dość cicho. Byli blisko, na odległość strzału z automatu, kiedy padła komenda: „ognia!”. Powietrzem targnął zbiorowy grzmot, a upowców przywitał gorący ogień „od czoła” założeczkich „rabców” i trościanieczkich „krogulców”. Szeregi upowców w mig się rozsypały jak paciorki z rozerwanego sznura, zaroily się jak podrażnione mrowisko. To mrowie padło plackiem na biały śnieg i tak tkwiło w bezruchu, sparaliżowane strachem i zaskoczone.

Jednak kiedy rzezańcy, po pierwszym szoku, nieco ochłoneśli, niektórzy z nich zaczęli się czołgać w poprzek, aby objąć jak najszerszą przestrzeń. Ich sylwetki czerniły się teraz jeszcze wyraźniej na białym śniegu, bo słońce zdążyło się już ukazać na nieboskłonie...

Na znak czerwonej rakiety upowcy ruszyli do przodu z dużym impetem i przytłumionym okrzykiem - na skutek zatłaczonych nożami ust. Wrzask, choć głuchy, był jakiś jadowity, przenikliwy, paraliżujący. Banderowcy gnali trochę bezładnie, byle szybciej i wprost pod harcercskie kule. Stało się coś niebywałego: ci „odważni” mołojcy, z których każdy przeżywał siłą fizyczną co najmniej dwóch „orlików”, nagle - jeżeli nie padli „na polu chwały” i nie pogrążyli się „w mroku śmierci” lub nie zostali ranni - zalegli pokotem, nie mając odwagi podnieść głowy. Leżąc „plackiem” wciąż wrzeszczeli: „hura”, „hura” i złorzeczyli Lachom, Żydom i Moskałom. Powstała sytuacja wręcz biblijna, gdzie wyrostek - inteligentny Dawid powalił olbrzymia Goliata, którego cała inteligencja mieściła się w pięści.

Jakiś zgiety w pół ataman (a był to „Mecz”) wymachiwał naganem, krzyczał i bił po łbach swoich rzezaczy, zmuszając ich do szturm, na który nie mieli ochoty. Ci znów, zamiast powstać i skokami szturmować pozycje „leckich szczeniąt”, usiłowali pełzać i krzyczeć: „hura”, „hura”. W swoim bezru-

chu stanowili doskonały cel dla harcerczy. Głos atamana ginął wśród wystrzałów i jęków rannych, które na polu walki uchodzą za nieprzyjemne i w najwyższym stopniu deprymujące. Wymachujący naganem watażka zdawał się to rozumieć, bo nagle w gniewie zaczął strzelać w kierunku jęczących i najgłośniejszych wołających o pomoc rizunów. Do Założeczkich dochodziły słuchy, że bojówki żandarmerii polowej UPA dobijają rannych upowców w sytuacji bez wyjścia, żeby nie dostali się oni do niewoli, ale nie zawsze tym słuchom wierzono. Teraz druhowie oglądali zbrodnię, dokonywaną na upowcach przez swoich komandyrów, na własne oczy. Jeden z nich nie wytrzymał, a był to, jak się wydaje, „Godzięba”, i pociągnął za spust mauzera, a zuchwały ataman wywinął w powietrzu kozła, padł na wznak i znieruchomiał. Później okazało się, że był to komandyr sotni „Mecz”.

Komendę przejął po nim „Sokił”, ale też po chwili legł martwy. Ten sam los spotkał trzeciego atamana „Dunaja”. Po stracie trzech komandyrów sotnie dosłownie poszły w rozsypkę. Zostawiwszy niedobitych rannych na pastwę losu i łaskę zwycięzców, jak na komendę rizuni powstali i chyłkiem umykali z pola ostrzału w stronę pobliskiego lasu, leżącego za niewielkim wzgórzem. Teraz zagrały ze zdwojoną mocą wszystkie kulomioty „jastrzębiąt” i „orlików” i naprawdę „trup padał gęsto”. Mietek Dec wspomina: *Matir Boża spasy* - jęczał w beznadziejnej rozpacz upowiec czujący nadchodzący koniec swojego podłego życia. Zawtórował mu drugi, trzeci, dziesiąty. Zdawało się, że cały świat jęczy... Któryś nie wytrzymał napięcia i huknął rozdzierającym głosem, od którego ziemia zdrząła, jak po wybuchu granatu: *chłopci spasyjtes!* I cała ta dziesiątkowana, ale żywa jeszcze i drgająca, masa ruszyła do bezładnej ucieczki, zrzucając po drodze baranice i kozuchy, aby lżej było umykać.

Teraz widać było „jak na dłoni”, jakimi to „herojami” byli rzeźarze „armii nieśmiertelnej” - zupełnie bezradni w obliczu stanowczego nieprzyjaciela. Być może gdyby wiedzieli, że mają przed sobą gołowąsów i „szczeniaków”, mieliby więcej odwagi i chęci do walki. Udowodnili niezaprzeczalnie, że wojakami są żadnymi, ale za to „wybornymi” rzeźnikami, nie mającymi konkurentów pod żadną szerokością geograficzną.

Ucieczka upowców była sromotna, haniebna i po raz setny dowiodła, że UPA to zwyczajna banda rzeźmieszek. Banderowcy uciekali i uciekali - i to przed kim? Nie przed mężami zbrojnymi Armii Krajowej, których zresztą rzadko unikali „jak diabeł święconej wody”, lecz przed dzieciakami, polskimi harcerzami z Doliny Seretu. Jaka siła tkwiła w wątłych ramionach tych wnuków i prawnuków „rycerzy kresowych stanic” i co tę siłę tworzyło? Odpowiedź jest tylko jedna: tą siłą była miłość do Ojczyzny polskiej, miłość do stron rodzinnych oraz chęć obrony Polaków i polskiego Podola przed nadciągającym nowym okupantem banderowskim. Pokonani żołnierze prawdziwej armii powinni łykać wstyd, ale banderowcy wstydu nie mieli. Nie byli przecież armią, lecz dziczą, nieskrępowaną żadnymi zasadami ludzkimi, mającą tylko jeden cel - zanurzyć ręce w polskiej gorącej krwi i ogrzać brudne cielska w płomieniach palących się polskich siół.

Klęska banderowskiego kurenia była totalna. Po kilkudziesięciu latach można było o niej przeczytać w 11. tomie *Litopysu UPA* (Toronto 1985) w opracowaniu pt. *60 bezimiennych powstańców*. „We wsi Panasówka - czytamy tam - oraz Zagórze pochowano 60 bezimiennych powstańców, którzy polegli w walce (stoczonej) we wsi Panasówka 15.11.1944 r. Był to sławny bój oddziałów UPA Wołyń (sotnie *Mecza*, *Sokila* i *Du-*

naja) z przerażającymi (?) siłami wroga”. Autor opracowania, mającego charakter źródłowy, nie wspomina o jakimś wrogu chodzi. Widocznie nie chciał kłamać, a prawdy unikał z prostego sromu.



Pomnik przywódcy UPA Stepana Bandery w Stryju.

Swój prawdziwy chrzest bojowy założenie „orliki” przeszły szczęśliwie - „skąpani w ogniu”, stracivszy jednak trzech druhów. Okazali się godnymi synami swoich ojców i prawnukami „rycerzy kresowych stanic”. Ich czyn wszedł do tradycji harcerskiej i chlubnych kart ich kresowej historii i legendy.

AKCJA „WISŁA” - PRAWDA I FIKCJE

Świat w dobie ostatniej wojny wiele wiedział o zbrodniach tzw. UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii), których ofiarą padło pół miliona polskiej ludności cywilnej. Od tamtego czasu sporo wody upłynęło w Dniestrze i Zbruczu, „zimna wojna” i zmagania ze światowym komunizmem zatarły w ludzkiej pamięci krwawe dramaty rozegrane na rubieżach Rzeczypospolitej. Wyrosło nowe pokolenie, które o UPA nie wie prawie nic. Na tej niewiedzy postanowili zażerować ukraińscy nacjonaści - i to dzięki nim owo pokolenie dowiedziało się o czymś zupełnie innym, że istniała „bohaterska” UPA walcząca z komuną i wysługującymi się jej Polakami, którzy nadto dokonali na spokojnych Ukraińcach „zbrodni”. Ta „zbrodnia” uzyskała kryptonim „Wisła”. Potępił ją senat RP w sierpniu 1990 roku - nie wspominając ani słowem o UPA, która totalnie niszczyła żywość polski i żydowski oraz wszystko, co było polskie i żydowskie. Nacjonaści ukraińscy, zrzeszeni w OUN (Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów) na inicjatywę swojego szalbierstwa przeznaczili ok. 20 tys. dolarów, a na jego rozpropagowanie w świecie, w różnych językach, kilkaset tys. dolarów.

Gdy to się już spełniło, Polacy kresowi stanowiący jedną trzecią ludności III Rzeczypospolitej, osłupieli, osłupiał także Sejm zaskoczony decyzją Senatu. Sejm, mimo nacisków ukraińsko-nacjonalistycznego lobby, nie zdjął odium ludo-bójstwa z sumień ukraińskich faszystów i nie odwrócił uwagi świata od zbrodni UPA. Wywołało to nieukrywaną wściekłość środowisk ukraińskich nacjonalistów - także w Polsce,

którą zamieszkuje ok. 80 tys. osób ukraińskiej mniejszości narodowej. Nie pół miliona, jak kłamliwie głosi Włodzimierz Mokry, nie 300-400 tys., jak mu sekundują Bohdan Osadczuk, Mirosław Czech i jeszcze kilku innych, ale tylko 80 tys. Potwierdza to wiarygodne źródło watykańskie opracowane w oparciu o statystykę kościelną sporządzoną przez poszczególnych ukraińskich duszpasterzy. [Patrz: Dmytro Błażejowski, Szematyzm Ukrajinskoji Katolickoji Cerkwy (1884-1988), Rzym 1988]. Dodać należy, że 80% agentów KGB w Polsce rekrutowało się spośród nacjonalistów ukraińskich stale mieszkających w Polsce. Potwierdził to płk KGB W. Timoszewski na łamach „Argumentów i Faktów” oraz płk KGB A. Połuzin z „Izwestii”. Nie zaprzeczył temu także płk J. Marczuk, odpowiedzialny za wywiad wojskowy Ukrainy. Więcej: Marczuk oświadczył, że tych parę agentów niepodległa Ukraina bierze na „swój żołd”. („Ratusza” 16 I 1992). Należy domniemywać, że wiele antypolskich inicjatyw zrodziło się z inspiracji OUN oraz ukraińskiego wywiadu wojskowego, który już zdołał wziąć na „swój żołd” agentów KGB.

Decyzja senacka, która zbulwersowała Polaków, nie usatysfakcjonowała jednak ukraińskich nacjonalistów. Najpierw zabrał głos Bohdan Osadczuk - „postać odrażająca” i zoologicznie antypolska - na kartach paryskiej „Kultury” (nr 9/1990), a rok później w „Krytyce” (nr 36/1991).

W międzyczasie nacjonaści „odkryli” i sobie „przywłaszczyli” obóz w Jaworznie. Po prostu orzekli jednostronnie, że był to obóz założony wyłącznie dla ludności ukraińskiej „podejrzanej o współpracę z OUN-UPA” - co, rzecz jasna, mija się z prawdą w takim samym stopniu, jak głoszona przez nich wieść, że nie Polacy, lecz „ludzie Bandery” zdobyli Monte Cassino. (Patrz „Ukrajinske Echo” 26 III 1986).

W październiku 1992 roku Związek Ukraińców w Polsce zorganizował uroczystości żałobne w b. obozie jawornickim z udziałem bp. Jana Martyniaka. Arcypasterz grekokatolicki w wygłoszonej tam homilii podkreślił „modlitewny charakter zgromadzenia, wykluczający politykę”. („Gwarek”, Jaworzno 1-15 X 1992). To, rzecz jasna, bluff - albowiem właśnie tam ułożono bezczelne wręcz żądanie, żeby wszystkich, którzy brali udział w akcji „Wisła”, uznać za zbrodniarzy wojennych, a samą „akcję” za ludobójczą. Ma się rozumieć, że w Jaworznie także użyto słowa-wytrychu - „dekomunizacja”. Petycję skierowano do Prezydenta RP, Sejmu i Senatu.

Treść żądania rozkolportowano w kraju i za granicą - i to pod jego wpływem, obradujący w Kijowie na początku grudnia 1992 roku Ludowy Ruch Ukrainy, zdominowany przez galicyjskich nacjonalistów ukraińskich, zwrócił się do prezydenta L. Krawczuka i Rady Najwyższej Ukrainy z żądaniem, aby zażądano od prezydenta Wałęsy i Sejmu RP „uznania operacji «Wisła» z 1947 r. za akcję przestępczą ze wszystkimi moralnymi i prawnymi następstwami, jakie z tego wypływają”. Przy okazji wymyślono dwie bzdury, że w RP mieszkają „setki tysięcy Ukraińców” i że ci Ukraińcy „do tej pory pozostają represjonowanym i jedynym, jak na razie, nie zrehabilitowanym narodem”. Chodzi, oczywiście, nie o naród - bo ten rehabilitacji nie potrzebuje - lecz o OUN-UPA, którą nacjonaliści utożsamiają z narodem. Żądanie to uznać należy za polityczny skandal! Jednak skandalem nie było, był natomiast skandaliczny wywiad udzielony gazecie „Hołos” przez Krzysztofa Skubiszewskiego, w którym polski minister nie odrzucił ukraińskich żądań zadośćuczynienia akcji „Wisła” i ani jednym słowem nie wspominał o zbrodniach OUN-UPA. To zadowoliło ukraińską prasę nacjonalistyczną, która tzw. „zachodnie kresy Zachodniej Ukrainy” (czyli Ziemie

Chełmską i Podlaską) nazwała „zrabowaną ukraińską ziemią”. (Patr: „Swoboda”, Tarnopol, 15 VIII 1992).

Nacjonaliści ukraińscy mieszkający w Polsce byłiby bardzo zadowoleni, żeby tylko oni mogli przemawiać w sprawach UPA i narzucać Polakom swój punkt widzenia - oczywiście zupełnie omijając ludobójczą naturę tej antypartyzanckiej formacji. Tym należy tłumaczyć słowa M. Czecha, które nie wiadomo nawet jak nazwać: arogancją, bezczelnością czy ograniczeniem? „Po rezolucji Senatu - mówi on - Towarzystwo Miłośników Lwowa wystąpiło z listem otwartym do społeczeństwa, pisząc o pół milionie polskich... zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich spod znaku UPA. Pojawia się w nim również kategoria ludobójstwa. Oczywiście bzdury.” („Krytyka” nr 36/1991). Czy można sobie wyobrazić większy cynizm, większą obrazę Polaków i spoliczkowanie cieni ofiar upowskiego ludobójstwa? Pierwszym podstawowym prawem człowieka jest prawo do życia. I żadne „prawo” „chrześcijańskiej” OUN nie może zezwalać na zabicie człowieka. Tymczasem M. Czech uważa, że mordy dokonane na Polakach to dla ukraińskich faszystów „bzdura”. Tak dalece „bzdurna sprawa”, że nie jest godna wzmianki prasy państwowej, zatem zamieszczenie o mordach wieści na łamach „Rzeczpospolitej”, uznać należy za większą zbrodnię, niż wymordowanie 500 tys. Polaków. M. Czech nie pamięta, że mieszka w wolnej, demokratycznej Polsce i że „Rzeczpospolita” broni polskiej racji, a nie „prawdy” OUN! Według ukraińskich nacjonalistów należałoby wprowadzić zakaz publikowania rzeczy, które mówią o nich prawdę i bez zastrzeżeń przyjmując ich wykładnię. Polaków, którzy doznali krzywd od OUN-UPA zamknąć w domu wariatów, a może w obozie jawornickim. Tylko że tych jest większość przytłaczająca naszego narodu; także większość Ukraińców mie-

szkających w RP oraz na Ukrainie z ludobójcami spod czerwono-czarnego sztandaru nie pragnęła mieć cokolwiek wspólnego.

Powiedzmy wprost: nigdy, przenigdy nie byłoby akcji „Wiśła”, gdyby nie działalność UPA na tzw. Zacurzonii, której celem było, jak głosił rozkaz dowódcy UPA w Polsce, Mirosława Onyszkewycza - „Oresta”: „Wytępić Polaków zamieszkałych na terenach południowo-wschodnich i dążyć do całkowitego ich usunięcia. Nie uznawać linii Curzona za granicę polsko-sowiecką.”

Na te obszary UPA dokonała inwazji zbrojnej z terenów kresowych II Rzeczypospolitej stanowiącej jakby przedłużenie agresji bolszewickiej z 17 września 1939 r. Celem obu najazdów było oderwanie od Państwa Polskiego części jego terytorium. Swoją zamysł zaborczy w stosunku do prapolskich ziem - Podlaskiej i Chełmskiej, UPA realizowała zgodnie z zacytowanym rozkazem „Oresta” i sposobem wypróbowanym już na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Walka z tym nieludzkim agresorem była nie tylko walką z bandytyzmem w najohydniejszym wydaniu i ze zdradą państwową (upowcy byli obywatelami RP), ale przede wszystkim świętą wojną o jedność i całość terytorialną Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Banderowcy zatem nie tylko parali się masowym ludobójstwem, ale także dopuścili się zdrady Ojczyzny.

Ci z Ukraińców, którzy zdecydowali się nie wyjeżdżać do USRR i pozostać w Polsce, wyłonili swoje przedstawicielstwo i złożyli na ręce władz RP odpowiedni memoriał. Stwierdzano w nim, że banderowcy mają zamiar „w granicach Polski stworzyć sobie Piemont reakcyjnej działalności”. Deklarowali lojalność wobec Państwa Polskiego i liczyli, że jako jego obywatele cieszyć się będą pełnią praw. Obiecali pomoc w zwalczaniu UPA i wykazywali zrozumienie, że

wszystko to może być realizowane w warunkach stabilizacji, do której ludność ukraińska zamierza włączyć się czynnie.

Tak wygląda teoria, a praktyka była zupełnie inna. Nie było przykładów zwalczania UPA, przeciwnie - deklarujące lojalność grupy stały się oparciem dla UPA - karmiąc ją i dając schronienie. Jednocześnie pomagały UPA palić opuszczone domostwa i całe wsie, aby uniemożliwić zasiedlenie ich przez Polaków wygnanych przez UPA i NKWD z terenów przyłączonych do ZSRR. „Było to więc - zauważają autorzy *Drogi donikąd* - W. Szota i A. Szczesniak - kontynuowanie przez OUN-UPA taktyki »spalonej ziemi«”.

Wreszcie odkrycie najważniejsze i bardzo niebezpieczne dla całości Rzeczypospolitej. Chodzi o zainspirowany przez OUN „list ludności ukraińskiej” do Józefa Stalina, a w nim gorąca prośba, żeby „ojciec narodów” zechciał łaskawie przyłączyć do USRR „Ukrainę Zacurzońską” jako „ukraińskie terytorium etnograficzne” - aż po Nowy Targ. Petycja ta, za pośrednictwem ambasady ZSRR w Warszawie, dotarła do rąk Aleksandra Kornijczuka, ówczesnego ministra spraw zagranicznych USRR oraz męża Wandy Wasilewskiej. Wasilewska, być może w tajemnicy przed mężem, powiadomiła o tym władze polskie wskazując na wyjątkowe niebezpieczeństwo takiego pisarstwa. Stalin bowiem w każdej chwili mógł podjąć niekorzystną dla Polaków decyzję zgodną z „wolą narodu”, jak to już uczynił wówczas, gdy zrabował im Wołyń i Małopolskę Wschodnią. Stalin jednak odrzucił prośbę „zachłannych polskich Rusnaków” oświadczając, że „jest nieobyczajnie” zabierać komuś ponad połowę terytorium. Niebezpieczny precedens jednak pozostał nie mówiąc już o tym, że była to ze strony „polskich Rusnaków” zdrada równająca się zbrodni. Ten fakt bardzo Rusnakom zaszkodził.

Należało w końcu, dwa lata po wojnie, położyć kres nieporządkom, czyli podjąć bolesną decyzję zrealizowania akcji „Wisła”, która miała dwa aspekty - wojskowy i cywilny. Aspekt wojskowy polegał na ostatecznej likwidacji UPA, cywilny na przesiedleniu ludności na Zachodnie i Północne Ziemie Polski - aby w ten sposób zupełnie pozbawić UPA wszelkiego oparcia. „Gdyby nie było przesiedleń (rugów), to UPA walczyłaby na Zacurzonii jeszcze dziesięć lat”. To nie są słowa wydumane, lecz wzięte z 16 tomu „Litopysu UPA”. I one powinny wielu starczyć za odpowiedź: czy akcja „Wisła” miała sens?

Przesiedlenie ludności rozpoczęło się 28 kwietnia 1947 roku. Równoległe trwała akcja zbrojna, w której śmierć poniosło 1.509 upowców, a 2.781 aresztowano, głównie z cywilnej siatki OUN-UPA. Aresztowanych kierowano nie do Jaworzna, jak o tym się pisze bałamutnie, lecz do specjalnego obozu na Mazurach. Do sierpnia 1947 roku przesiedlono na Ziemie Zachodnie i Północne 140.575 osób. Był to najpoważniejszy cios zadany UPA. Łemkowie opuszczali nędzne - tylko że własne - ziemie, cuchnące chatynki kurne, a w zamian otrzymywali obszerne domy poniemieckie i gospodarstwa rolne z żyzną ziemią, o których nie mogli nawet marzyć w najśmielszych snach. Dziś wcale nie przejawiają ochoty powrotu w Bieszczady - co bardzo złości ukraińskich nacjonalistów.

W tej sytuacji zaistniała potrzeba „mocnego uderzenia”, podobnego do prowokacji montecassińskiej. Jaworzno nadało się do tego znakomicie - bo już zwrócili na nie uwagę Polacy. Rozprawiając się ze wszystkim, co wiązało się z komuną, niektórzy polscy „nadgorliwi”, krótkowzroczni publicyści zaczęli rozdawać ciosy na oślep: raz na komunę - dziesięć razy w polskość. Wtedy właśnie odkryto „dla Ukraińców” Jaworzno. „Deportowani pod eskortą trafiali do obozu

w Jaworznie, niedaleko Oświęcimia, więzienia zorganizowanego w oparciu o wzory hitlerowskie (komendantura, więzniczki strażnicze, podwójny pas drutów podłączonych do prądu wysokiego napięcia, kapo werbowani spośród więźniów...)” („Gazeta Krakowska” 20 VII 1990).

To ostatnie stwierdzenie jest odgłosem czarnej legendy tworzonej wokół Jaworzna i akcji „Wisła” przez nacjonalistów ukraińskich, aby oczernić przed światem całym, opluć i zdeptać do reszty wszystko, co dla Polaków jest najcenniejsze, polski honor i polski mundur wojskowy. Z takiego pisarstwa mogą być zadowoleni tylko ounowcy. (Patrz: „Swoboda” N. Jork 21 X 1990). To nic, że Jaworzno było obozem dla Polaków, że z akcją „Wisła” nie miało nic wspólnego, że nie było w nim kobiet i dzieci ukraińskich - ważne, że w tę czarną legendę wierzą sami Polacy! W Jaworznie byli Ukraińcy (ok. 5%), ale przed akcją „Wisła”; znaleźli się tu po udowodnieniu im przynależności do OUN-UPA.

Zatem: czemu właśnie Jaworzno wybrali sobie ounowcy za nową antypolską prowokację? Bo Jaworzno było ongiś filią obozu oświęcimskiego, znanego na cały świat jako hitlerowska katownia. Taką samą prowokacją była rzecz dotycząca Monte Cassino. Oba miejsca zostały przez nich wybrane z rozmysłem.

Prowokację rozpoczęło 26 marca 1986 roku ukazujące się w USA pismo „Ukrainian Echo”. Powiadomiło ono czytelników, iż powstał specjalny Komitet Monte Cassino Studentów Ukraińskich, którego celem jest udowodnić, że tę największą bitwę żołnierza polskiego w II wojnie światowej, wygrali Ukraińcy - „ludzie Bandery”. Z tego śmiać się nie można, już są bowiem obcojęzyczne publikacje i foldery turystyczne głoszące światu, iż główna siła uderzeniowa Drugiego Korpusu, 5 Dywizja Kresowa składała się rzekomo z Ukraińców. Owszem, byli Ukraińcy i w Drugim Korpusie, wielu też pole-

gło - a najwięcej ich spoczywa na cmentarzach w Bolonii i Loreto - ale kto o nich słyszał, o Monte Cassino znów wszyscy!

Podobnie jest w przypadku Jaworzna: druty kolczaste, wieżyczki strażnicze - zgroza, tego nie można doszukać się w innych obozach jenieckich dla banderowców. Powstała cała, przeogromna wręcz, literatura w językach obcych. Tyle żółci i pomyj jeszcze nikt nie wylał na naród polski, nie na komunię, ale właśnie na Polaków! Słowa: „polscy zbrodniarze”, „polskie bandy AK”, „polska dzicz”, „dzika polska horda”, „polscy bandyci” - to są słowa, które można uznać za najłagodniejsze w tym steku szyderstw, drwin i jadu.

Gdy już ostatecznie opluto Polaków, a „sprawa Jaworzna” przyćmiła zbrodnie UPA i umysły niektórym polskim publicystom, postanowiono sięgnąć wyżej. 22 czerwca 1990 roku przywództwo OUN podjęło decyzję: zrobić wszystko, żeby strona polska uroczyście potępiła akcję „Wisła”. Już to się stało, Senat RP trochę lekkomyślnie oraz jednostronnie i bez głębszej refleksji, potępił akcję „Wisła”, o wielkiej antylechickiej „akcji” UPA - ani słowa. A tymczasem akcja „Wisła” to przysłowiowa „kropla w oceanie” tego, co Polakom wyrządziła UPA. Jej „heroiczne dzieło” zamyka się bilansem 500 tys. polskich trupów, wyrżniętych w pień - kobiet, starców, dzieci! O ich groby i pamięć nie upomniał się dotąd Senat, Sejm ani Rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Nie słychać też o chęci uderzenia się w pierś za „zbrodnie ojców” obecnego pokolenia Ukraińców. Polskie nadzieje gasi niejaki Mikołaj Siwicki: „Tylko bezczelność (polska) może dziś dyktować żądanie, aby gospodarze przepaszali za to, że poturbowali napastnika (...) broniąc się od śmierci we własnym domu”. Ta cyniczna arogancja nie mieści się w żadnych kategoriach ludzkiej przyzwoitości.

ŚMIERĆ BESTII

Ten groźny tytuł zapożyczyłem z artykułu, który ukazał się w „Washington Post” 30 października 1973 r., w kolejną rocznicę śmierci Stepana Bandery. Jego autor z dużym znawstwem przedmiotu oskarżył prowidnyka OUN o moralną odpowiedzialność za ludobójstwo - zbrodnię przeciwko ludzkości - popełnioną na Polakach przez „bandy zbrojne” tejże OUN. Twierdzi stanowczo, że od samego powstania UPA Bandera wszystko wiedział o jej antyludzkim działaniu i to działanie, w postaci „czyszczenia etnicznego”, akceptował. Choć bezpośrednio w masakrze Polaków wołyńsko-wschodniomałopolskich nie uczestniczył, popierał ją, a heroizację UPA wzmacniał moralnie dając imprimatur dla haniebnobójceckich czynów. Dlatego zasłużył na miano BESTII.

Czego na temat śmierci „czerwono-czarnej bestii” dotąd nie napisano? Wiele razy przywoływany na karty niniejszej książki W. Bezałyj w „Wilnej Ukrainie” (20 VII 1990) najpoważniej głosi: „15 października 1959 roku w Monachium w pobliżu swojej wili (sic!) został zabity S. Popiel. Wydarzenie to pozostałoby zwykłym kryminalnym wydarzeniem, gdyby prasa nie ujawniła, że emigrant z Europy Wschodniej Stefan Popiel, który znalazł przytułek w stolicy Bawarii... to nie kto inny, tylko sam Stepan Bandera”.

Jego śmierć długo pozostawała zagadką, wielką niewiadomą. Choć wielu snuło domysły na temat jej sprawców, to jednak znaleźli się i tacy, co owych sprawców upatrywali zupełnie gdzie indziej. W każdym razie, kimkolwiek oni byli, zabójstwo Stepana Bandery zostało potraktowane z całą powagą - podobnie, jak też sama osoba Bandery, którego działalność emigracyjną władze policyjne słusznie uznawały za szkodliwą, a nawet

dla samej RFN za niebezpieczną. Gdyby taką nie była, to nie tropiono by „Popiela” przez tyle lat powojennych i z taką upartością wydając na poszukiwania setki tysięcy dolarów.

Najpierw zadziałano najprościej - zażądano od władz zachodnich odszukania i wydania Bandery sądom sowieckim, co z góry równało się śmierci. Nazwisko Bandery, jako groźnego zbrodniarza wojennego, zabrzmiało nawet z wysokości trybuny Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wtedy świat w ogóle dowiedział się o tym człowieku i o sprawie, którą reprezentuje - a potępił ją stanowczo dopiero pół wieku później. Nazwisko Bandery oraz wszystkie pseudonimy, jakimi się dotąd posługiwał, wymienił przedstawiciel ZSRS w ONZ, wówczas minister spraw zagranicznych tego kraju, Andrej Wyszyński. Padło ono wraz z innymi przestępcami na posiedzeniu plenarnym ONZ dnia 6 listopada 1946 roku.

„To zdrajcy - mówił o ukraińskich szowinistach - ...to kaci swojego narodu, których miejsce nawet nie w więzieniu, lecz na szubienicy. Na nich ciąży bowiem krew... zamęczonych niewinnych ludzi... Obozy dla uciekinierów w rzeczywistości są w rękach faszystowskich organizacji, kierowanych przez takich (osobników), jak znany agent wywiadu niemieckiego Andrij Melnyk ps. konspiracyjny *Konsul*, jak ataman zgrai faszystowskiej, który specjalizował się w pogromach (cywilnej ludności polskiej - E. P.) - Stepan Bandera..., jak banderowcy (po rosyjsku lepiej byłoby powiedzieć bandyci) Stečko albo Omelczenko, znany jako kat i wieszalnik...”

Żadnego z nich jednak, mimo tak rozpaczliwego wołania, Zachód Sowietom nie wydał, a to dlatego, iż byli oni obywatelami II Rzeczypospolitej. To jeden z wielu paradoksów historii: różni bezlitośnie Polaków, ale jak zamigotał im przed oczyma sowiecki stryżek, wtedy bez wahania (i wstydu) zaczęli się powoływać na polskie obywatelstwo. Bandera na

swoim procesie przed sądem RP wykrzykiwał, że nie jest polskim obywatelem i narzuconego mu obywatelstwa nie przyjmuje, teraz natomiast głośno podnosił swoje polskie obywatelstwo. Ot co - „bohater” o podwójnej moralności.

Skoro nie udało się drogą deportacji do ZSRS unicestwić Bandery, postanowiono zadać mu inną śmierć - śmierć moralną, wykorzystując do tego konflikty wewnątrzorganizacyjne i ambicyjki niektórych emigracyjnych liderów. Chodziło o totalną kompromitację Bandery, albowiem skompromitowany polityk łatwiej się ujawni, a wtedy także łatwiej będzie można zadać mu śmierć fizyczną. Jak dotąd intrygi wewnętrzne się udawały, ale osoba i nazwisko Bandery były chronione, strzegły ich nie tylko służby specjalne wywiadów zachodnich, OUN-owskie SS - służba bezpeky. Jednak czy na długo?

Przy końcu lat 50. sowieckie KGB już dużo wiedziało o Bandrze. Ta mroząca krew w żyłach instytucja zdołała także ustalić jego miejsce zamieszkania w Monachium i nazwisko, jakim się posługuje. Brzmiało ono: Stefan Popiel - obywatel polski - a to było już bardzo dużo. Teraz należało już tylko uspić czujność jego osobistej ochrony. Zadanie to otrzymał Bohdan Miłkołajewycz Staszynskij Ukrainiec, funkcjonariusz KGB. Polecono mu wyszukać w księgarniach Berlina opracowania autorstwa Stefana (Stepana) Popiela; opracowań takich nie było. Wtedy Staszynskij, jak o tym później mówił, nie wiedział jeszcze, kim naprawdę jest „obywatel polski Popiel”, tak mocno obchodzący jego szefów? Z tą też nieświadomością w 1958 roku udał się do Monachium - zresztą nie po raz pierwszy. Miał przecież maczać palce w zabójstwie Łwa Rebeta, którego dokonano właśnie w Monachium. Zadanie szefostwa KGB brzmiało: zdobyć dokładny adres Stefana Popiela, poznać jego sposób bycia, zwyczaje codzienne, rozkład pracy, wyjścia, przysięcia itp. Gdy to już ustalił, wówczas mu z Moskwy ujawniono,

że chodzi o Stepana Bandereę ukrywającego się pod fałszywym nazwiskiem Stefan Popiel - i to jego właśnie miał uśmiercić.

W styczniu 1959 roku Staszynskij jako Hans Budajt udaje się do RFN i pomyślnie wykonuje pierwszą część powierzonego mu zadania. W kwietniu zostaje jednak odwołany do Moskwy. Zgodnie z pierwszymi zeznaniami Staszynskiego złożonymi przed sądem w Monachium, miał spotkanie z szefem KGB Szelepinem; to z jego ust padł kategoryczny rozkaz unicestwienia Bandery. Na zakończenie spotkania szef KGB podobno poczęstował swojego poddanego lampką szampana.

Jeszcze przez kilka dni przebywał Staszynskij w stolicy ZSRS, wziął nawet udział w pochodzie pierwszomajowym, a wieczorem mknął już pociągiem do Berlina, z Berlina do Monachium, ale już jako Hans Budajt.

Po kilku dniach obserwacji nadarzyła się doskonała okazja spotkania kata ze swoją przyszlą ofiarą. Trafił bowiem akurat na moment majstrowania Bandery przy swoim samochodzie. W garażu był sam, bez zwykłej stałej obstawy ochronnej ze znanej już nam SB OUN. Sposobność do zadania śmiertelnego ciosu była wyjątkowa, druga podobna mogła się już nie powtórzyć, jednak Staszynskij z niej nie skorzystał z powodów, których nigdy nie wyjawiał. Dopiero jak okazja minęła, uświadomił sobie, na co naprawdę się naraża. Niewykonanie rozkazu oznaczało także wielkie niebezpieczeństwo utraty życia przez niego samego. Nie mógł mieć pewności, czy inny agent KGB z kolei jego nie śledzi i nie obserwuje. Tak przecież bywało zawsze zgodnie z żelazną zasadą tej złowrogiej instytucji. Staszynskij zaczyna obmyślać wersję własnej obrony, stwarza w umyśle różne fikcyjne przeszkody, które powinny znaleźć się w raporcie wysłanym na słynną Łubiankę. Jest w nim także wersja prawdziwa o złamaniu klucza przy otwieraniu bramy wyjściowej posesji, którą zamieszkiwał Bandera.

Po powrocie do Berlina agent otrzymuje nowy zapas kluczy wraz z kategorycznym poleceniem wykonania zamachu i to bez żadnych wahań. 14 października 1959 roku Staszynskij po raz kolejny odwiedza Bawarię, aby w Monachium, dzień później, zacząć się jak lis na swoją ofiarę, nie spuszczając oka z domu, w którym jego ofiara mieszkała.

Zwyczajny dom przy zwykłej ulicy, nie żadna willa z bajecznym ogrodem. Kamienica, pięć pięter, z przejazdem pośrodku - wprost do bramy garażu w oficynie. Dom bez balkonów i bez balustrad przed oknami jak to często bywa w Bawarii; nie ma nic, co by wyróżniało brzydką, szarą, czynszową kamienicę. Ten dom oznaczony numerem 7 stoi przy Kreitmeisterstrasse. Metalowe, pomalowane na czarno poręcze, solidnie umocowane do betonowych schodów, jest także winda.

Dzień 15 października 1959 roku był takim samym szarym dniem, jak opisana kamienica. Nad miastem wisiały ciężkie, ołowiane chmury, przez które nie był w stanie przedrzeć się najmniejszy promyk słońca. Chłodno - co widać było po przechodniu spacerującym nerwowo w płaszczu z podniesionym kołnierzem i głęboko naciśniętym na oczy kapeluszem. Wyglądał na aktora grającego gangstera w jakimś przeciętnym filmie amerykańskim. „Gangster” tracił cierpliwość spoglądając nerwowo raz po raz na zegarek; zdawał się być zawiedziony. Gdy oto nagle punktualnie za dziesięć trzecia po południu przed bramą domu zatrzymał się samochód, z którego wyszedł mężczyzna niewielkiego wzrostu z wyraźnie łysiejącym czołem - lat około pięćdziesiąt. Był nim Stefan Popiel alias Stepan Bandera, jeden z dwóch lokatorów zajmujących drugie piętro domu. Mieszkańcy znali go jako skromnego, a jednocześnie tajemniczo-mrukliwego człowieka, często znikającego z domu „w różnych interesach” (tak mawiała żona) na kilka dni. Wtedy w domu pozostawała żo-

na z dwojgiem dzieci - synem i córką oraz służącą. Wszyscy uchodzili za Polaków - ale mowa ich była trochę dziwna, jakby nie polska, także nie rosyjska, ale słowiańska na pewno.

To nie jest zmyślenie autora, to opis z zeznania Staszynskiego, który być może dokonał jakiegoś wywiadu środowiskowego, skoro tak dużo wiedział o swojej ofierze.

Stefan Popiel, nie troszcząc się o pozostawiony samochód, którego nawet nie zamknął, trochę zmęczonym krokiem zaczął wspinać się po schodach lewą ręką trzymając się poręczy. Osobnik, spacerujący od jakiegoś czasu przed domem, zdążył go wyprzedzić wchodząc na trzecie lub czwarte piętro i teraz właśnie zaczął schodzić w dół. Gdy tylko znalazł się na drugim piętrze, Stefan Popiel manipulował już przy zamku swojego mieszkania wyraźnie mając trudności z włożeniem klucza. - Co, zepsuł się zamek - zagadnął zza pleców Staszynskij. - Nie... lecz... Popiel, zapewne tknięty złym przeczuciem, odwrócił twarz ku nieznanemu. Ten zdawał się właśnie na to czekać, sprawnym ruchem wydobył jakiś przedmiot i nacisnął...

„Zobaczyłem - zeznał później - jak Popiel się zachwiał, zdołał pochwycić za poręcz, a następnie zsunął się na beton i siadł”.

Przedmiot, którym posłużył się zabójca, wyglądał na pistolet, ale nie miał lufy. Po naciśnięciu spustu nie rozległ się wystrzał, który mógł zaalarmować współmieszkańców, lecz cichy syk zgniecionej ampułki, której zawartość bluznęła wprost w twarz Popiela. Ten wprawdzie złapał się za poręcz, ale w tym momencie zaczął się dusić... Gdy już leżał nieprzytomny, zamachowiec nachylił się jeszcze nad nim, a następnie cicho, lecz bardzo szybko zbiegł na dół po schodach. Na ulicy wmieszał się w tłum przechodniów i tyle go widziano. Narzędzie zbrodni cisnął do kanału, gdzie przeleżało ono długie dwa lata nim je wydobyto.

Dokładny opis tego śmiertelnościowego urządzenia dała francuska gazeta „Le Monde” (11 X 1962): „Ostatnia nowość w wyposażeniu wzorowego szpiega to... bezszelestny pistolet zasilany baterijką elektryczną o napięciu półtora volta i strzelający ampułkami, w których znajduje się trucizna sporządzona z mieszaniny, w której głównym komponentem jest cjanek potasu. Po sześciu minutach trucizna ta nie pozostawia w organizmie człowieka żadnego śladu. Od strony technicznej aluminiowa zazwyczaj broń jest bardzo prosta. Posiada trzy cylindry umieszczone jeden w drugim. W pierwszym cylindrze znajduje się sprężyna z tłoczkiem. Język spustowy uwalnia sprężynę, która gwałtownie wypycha tłoczek do przodu przez drugi cylinder. Rozgniata on kapsułkę lub ampułkę i znajdujący się w niej płyn tryska w twarz ofiary. Następuje błyskawiczne porażenie układu krwionośnego, ofiara traci przytomność, aby po kilku minutach skonać. Przy obdukcji lekarz może tylko ustalić, że serce przestało bić, co może wskazywać, że ofiara zmarła na skutek ataku serca”.

W innym miejscu ta sama gazeta napisała krótko: „Pistolet specjalny, strzelający kwasem pruskim... Broń była naładowana ampułką z jego zawartością. Wyrzucony pod dużym ciśnieniem płyn w twarz ofiary... w ciągu kilku minut powoduje jej śmierć”.

Jeszcze tego samego dnia niemiecka prasa wieczorna zamieściła krótki komunikat: „Dziś, w godzinach popołudniowych, upadł na schodach domu i w drodze do szpitala zmarł... Stepan Bandera”.

Już wiemy, że prowidnyk OUN padł na schodach domu przy Keittmaystr. 7, gdy właśnie wracał z jakiejś narady na obiad. Zatem mordu dokonano w porze popołudniowej, a nie wieczorem, jak to utrzymuje długoletni szef jego ochrony Myron Matwijewko sugerując przy tym, że Bandera wracał właśnie od kochanki. O przybyciu na obiad powiadomił żonę

telefonicznie, ta więc już na niego czekała z jadłem sporządzonym przez służącą. Po jakimś czasie usłyszała głośny jęk męża, natychmiast wybiegła, ale Bandera był już nieprzytomny - konał z pianą na ustach. Obok niego, jak na zawołanie, stała już niemiecka pielęgniarka, która akurat mieszkała na pierwszym piętrze, usiłująca przywrócić umierającemu przytomność. Wezwane w tempie błyskawicznym pogotowie ratunkowe zabrało zemdlonego do szpitala, ale mimo usilnych starań lekarzy, w drodze do szpitala Bandera skonał nie odzyskawszy przytomności.

Pierwsza myśl lekarzy była taka, że to udar serca, i ta wersja trafiła do gazet. Jednak na żądanie Prowodu Zagranicznych Oddziałów OUN (ZCz OUN) niemiecka komisja lekarska, przy uczestnictwie lekarza ukraińskiego dr. Hynylewycza, przeprowadziła sekcję zwłok i wydała oficjalny komunikat, że „śmierć nastąpiła na skutek bardzo silnej trucizny”.

Tymczasem Staszynskij, przez nikogo nie zaczepiany, spokojnie udał się na dworzec kolejowy, kupił bilet i wyjechał do Frankfurtu nad Menem, gdzie już czekał na niego nowy paszport na nazwisko Kowalski - i już jako Kowalski przybył do Berlina czekając na dalsze rozkazy z Łubianki oraz na zezwolenie zawarcia związku małżeńskiego z niemiecką dziewczyną Ingą Pohl. Zezwolenie takie wkrótce otrzymał.

Oprócz dowodów sądowych wskazujących na KGB jako zabójcę Bandery, jest jeszcze jedna wiarygodna relacja na temat śmierci prowidnyka. Przekazał ją wysokiej rangi funkcjonariusz KGB Oleg Gordijewski w książce wydanej w Londynie pt. *KGB*. Jako wtajemniczony wyznał, że na zabicie Bandery nalegali członkowie Biura Politycznego KPZS - Chruszczow i Szelepin. Gordijewski przy tej sposobności prezentuje liczne porażki KGB za granicą, a przychodząc bezpośrednio do sprawy Bandery pisze: „Jednak po tych po-

rażkach zdarzyły się sukcesy, zabójstwo dwóch przywódców ukraińskich OUN: Lwa Rebeta w październiku 1957 roku oraz prowidnyka Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) Stepana Bandery w październiku 1959 roku.” Na dokonanie tych zabójstw szczególnie nalegał Chruszczow, który je sankcjonował oraz Szelepin, który był zdania, że zabójstwo powinno być ważną metodą zagranicznej działalności KGB.

Zabójcą pochodzącym z 13 oddziału w obu wypadkach był Bohdan Staszynskij, który w chwili zabójstwa Rebeta ukończył właśnie 25 lat. Działał on z bazy KGB w Karlhorst. Do spraw zabójstwa sporządzony został w zbrojnym laboratorium KGB w tzw. choziajstwie Żelezinowa pistolet gazowy, który tryskał strumieniem gazu trującego z rozbitej ampułki cjankali, powodując zatrzymanie pracy serca ofiary... Staszynskij swój pistolet wypróbował na psie przywiązując go do drzewa w lesie nieopodal Karlhorsten... Pies dostał konwulsji i skonał prawie natychmiast. Mając zaufanie do niezawodności swojej broni, Staszynskij zabił Rebeta, jak i Bandere z zasadzki na zaciemnionych schodach.

W grudniu 1959 roku Staszynskiego wezwano do Moskwy. Na ceremonii w KGB Szelepin przedstawił go do odznaczenia orderem Czerwonego Sztandaru i odczytał na głos tekst, który go wychwalał „za wykonanie szczególnie ważnego zadania państwowej wagi”. Oświadczone też Staszynskiemu, iż zostanie wysłany na kurs doskonalenia języka niemieckiego i nauki języka angielskiego, po czym miał on przebywać na Zachodzie od trzech do pięciu lat, wykonując „zadania” podobne do tego, za które otrzymał Czerwony Sztandar. „To, czego oczekuje się od niego - powiedział Szelepin - jest zadaniem trudnym, ale zaszczytnym”.

Sprawa śmierci Bandery przez kilka dni nie schodziła z łam prasy. Rozgorzała polemika, pojawiły się różne domysły bar-

dzo bliskie prawdy lub będące tej prawdy zaprzeczeniem. Świat poznał wtedy trochę faktów o „wyczynach” banderowców. Do sensacyjnej kwestii zaczęto też przyklejać nazwisko Theodora Oberländera, którego oskarżano o współudział w mordzie profesury lwowskiej w lipcu 1941 roku. Zmuszony przez opinię świata do tłumaczenia się Obarländer, zrazu usiłował całą sprawę zagmatwać jako „wymysł bolszewickiej propagandy“, później zaczął się wykręcać. Sprawa pachniała wielkim politycznym skandalem. Opinia publiczna domagała się nie tylko usunięcia Oberländera ze stanowiska, ale postawienia go przed sądem jako zbrodniarza. Niektóre dzienniki głosiły wprost, że lada dzień Oberländer stanie przed sądem, a koronnym świadkiem oskarżenia w procesie będzie Stepan Bandera.

Ale oto świat obiegła inna sensacyjna wieść nadana przez agencję ADN, że Bandera, który znał szczegółowo drogę walki Oberländera na Wschodzie, nie będzie mógł składać zeznań. Znaleziono go bowiem 15 października martwego, na klatce schodowej domu, w którym mieszkał, zaraz po powrocie z tajnego biura OUN i zaparkowaniu samochodu. Obdukcja nie wykazała obrażeń ciała, nie znaleziono również śladów trucizny. Bandera zawsze był strzeżony przez własną służbę ochrony, ale w dniu krytycznym z niewiadomych powodów był sam.

Tymczasem prasa wciąż w coś wątpiła, m.in. dowodziła, że policji RFN nie są bliżej znane okoliczności, jakie towarzyszyły wypadkowi. Usiłowała ona, rzecz jasna, wyjaśnić przyczynę śmierci prowidnyka, póki co jednak nieskutecznie. P. Mirczuki jest zdania, że opieszałość policji była celowa, bo „urzędowe koła Niemiec Zachodnich nie miały ochoty ujawnić organizatorów i wykonawców haniebnego zabójstwa. Obawiały się one pogorszenia stosunków niemiecko-sowieckich. Przeto

nie należy się dziwić, że po roku śledztwa prokuratura niemiecka przysłała na ręce Jarosławy Bandery 16 września 1961 roku pismo dat. 8.09.1960 r. mówiące o zakończeniu śledztwa ze względu na niewykrycie sprawcy. Jednocześnie prokuratura informowała, że umarza postępowanie śledcze przeciwko pani Matwiejko posądzonej o udział w uśmierceniu S. Bandery. Było to jakieś fatalne nieporozumienie.

Wobec różnych znaków zapytania i uników policji, opinia publiczna coraz mocniej zaczęła jednak wiązać śmierć Bandery ze sprawą Obarländera, albowiem nastąpiła ona w momencie, jak już o tym wiemy, gdy międzynarodowa opinia uparcie domagała się wyjaśnienia sprawy pobytu ukraińskiego batalionu „Nachtigall” we Lwowie.

Podejrzania w stronę Obarländera kierowała głównie prasa sowiecka oraz krajów tzw. demokracji ludowej. W NRD odbyły się nawet wiece żądające postawienia Obarländera przed sądem. To potężna wrzawa sprawiła, że także opinia prasy zachodniej została podzielona. Jedna wierzyła w samobójstwo prowidnyka, inna dopatrywała się jednak zabójstwa i to politycznego. Na przykład „Sueddeutsche Zeitung” nie wykluczała możliwości, że Bandera popełnił samobójstwo, sugerował również, że „został on popchnięty do samobójstwa przez osoby trzecie”. Dziennik też zamieścił opinię komisarza policji kryminalnej w Monachium, Schmitta, który powiedział: „Bardzo trudno będzie znaleźć winnego. Najprawdopodobniej szukać winnych należy w kołach, do których normalnie policja nie ma dostępu”.

Wśród światowych publikatorów głoszących wieść o śmierci Bandery, była także Kanadyjska Korporacja Radiowa (SBS) i ona to 19 października 1959 roku o godz. 22.00 podała taką oto wiadomość: „W Monachium dokonano zamachu na lidera ukraińskich nacjonalistów i przywódcę antymo-

skiewskiego i przeciwpolskiego ruchu Stepana Bandere. Stwierdzono śmierć od trucizny cjankali, którą wykryto w organizmie. Utrzymuje się, że śmierć nastąpiła z rąk agentów moskiewsko-bolszewickich. Spora ilość zwolenników Stepana Bandery została poruszona wieścią o jego śmierci. We wszystkich cerkwiach odbywają się uroczystości żałobne. Stepan Bandera kierował przeciwbolszewicką walką narodu ukraińskiego w Ukrainie. Ponad milion ludzi w Kanadzie i USA czci pamięć Stepana Bandery.” Oczywiście to wielka przesada, słowa te bowiem zredagował i podał do publicznej wiadomości jeden z członków OUN nie wspominając przy tym, że Bandere w Polsce obarcza się śmiercią pół miliona Polaków i około 300 tys. Żydów, że powszechnie na Ukrainie jest nazywany „rzeźnikiem Wołynia i Hałyczyny”.

Sensacje Rozgłośni SBS uzupełniły zeznania niejakiego Kapustynskiego - sowieckiego agenta pojmanego przez policję zachodnioniemiecką. Zeznał on, że jednym z jego zwierzchników, jako oficera sowieckiej tajnej policji politycznej, był płk A.F. Czerwonyj, który jesienią 1959 roku przybył do RFN jako zastępca dyrektora tanecznej grupy artystów ZSRS „Wiriowka”. Posługiwał się nazwiskiem Petrenko. Spotkawszy się w omówionym miejscu w RFN z Kapustynskim, już po zabójstwie Bandery, oświadczył w zaufaniu, jak agent agentowi, że zabójstwo prowidyka jest dziełem KGB. Jednak jaka była w tym zabójstwie rola Czerwonego - „Petrenki” i jak owo zabójstwo zostało dokonane, o tym Czerwonyj nie mówił.

Później znów wielu sugerowało, że za śmierć Bandery odpowiedzialny jest wywiad zachodnioniemiecki. Taką opinię wyraził „skruszony” agent wywiadu Gehlena O. Werhun. W „Trybunie Ludu” (4 IV 1962) znajdujemy w tej sprawie lakoniczną wzmiankę: „Agent nr 1152 (Ossip Werhun) opo-

wiedział... o przyczynach śmierci niewygodnego już dla Gehlena przywódcy ukraińskich faszystów i UPA, Stepana Bandery”.

Teraz rzecz dla dalszych losów rzeczywistego zabójcy Bandery najistotniejsza. Staszynskij nadniespodziewanie - zauważyto cytowany już O. Gordijewski - „zmienił swój stosunek do zabójstw. Stało się to za sprawą swojej wschodnioniemieckiej antykomunistycznie nastrojonej przyjaciółki Inge Pohl, z którą zresztą wziął ślub, w sierpniu 1961 roku, w przeddzień wzniesienia muru berlińskiego i zamknięcia wszystkich dróg ucieczki ze Wschodu“.

Powróćmy do przerwanej sprawy dotyczącej śmierci Stepana Bandery, bo właśnie następnego dnia po zamachu ukazał się następujący komunikat ZCz OUN: „Z wielkim smutkiem i głębokim bólem powiadamy członków OUN i całe ukraińskie społeczeństwo, że 15 października 1959 r., w dzień, o godzinie 1.00 (po południu) zginął z wrażeń ręki wielki syn narodu ukraińskiego i długoletni prowidyk rewolucyjnej walki o niezawisłość państwową, głowa Prowodu Zagranicznych Oddziałów Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów sł.(awnej) p.(amięci) Stepan Bandera, urodzony 1 stycznia 1909 r. Członek Ukraińskiej Wojskowej Organizacji od 1927 roku. Członek Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów od 1929 r. Członek Krajowej Egzekutywy od 1931 r., a następnie od 1934 r. jej Prowidyk i jednocześnie Krajowy Komendant UWO oraz od 1933 r. członek Prowodu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Głowa Prowodu Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów od 1940 r. Głowa Biura Prowodu wszystkich OUN od 1945 r. Długoletni więzień polskich kryminaliów, zasądzony na karę śmierci, zamienioną na dożywotnie więzienie oraz więzień niemieckich aresztów i obozów koncentracyjnych w latach 1941-1944.

Pogrzeb odbędzie się w Monachium, 20 października 1959

r.: godz. 9.00, Żałobna Służba Boża w cerkwi św. Jana Chrzyciela przy Kirschenstrasse. 15.00 godz. panachyda i pogrzeb na Waldforhof.

Żałoba trwać będzie dwa miesiące - od 15 października do 15 grudnia 1959 r.

Wieczna Sława Jego Pamięci!”

Banderę pochowano na cmentarzu Waldfriedhof w Monachium. Pogrzeb, zgodnie z prezentowanym już komunikatem, odbył się 20 października 1959 roku z uczestnictwem, jak się o tym dziś mówi, około tysiąca osób - przeważnie banderowców, którzy tu zjechali z różnych państw zachodnich. Uroczystościom pogrzebowym przewodniczył o. mitrat Petro Hołynskij w asyście dziewięciu duchownych grekokatolickich. Wcześniej, tego samego dnia, pięciu świąszczeników pod przewodem Egzarchy Kyr Płatona Kornyluka odprawiło żałobną Służbę Bożą. Natomiast dwóch duchownych ukraińskiej cerkwi prawosławnej odprawiło panachydę w swojej monachijskiej świątyni.

Na usypanej mogile, jak podała ukraińska prasa emigracyjna, złożono równe 250 wieńców od różnych organizacji ukraińskich oraz od poszczególnych banderowców, wśród których nie zabrakło rizinów z UPA.

W imieniu OUN najdłużej przemawiał i nieboszczyka pożegnał Jarosław Stečko, który, jak już wiemy, z łaski tegoż został we Lwowie w 1941 roku „premierem” operetkowego rządu. Uroczystość pogrzebową zakończyła pieśń, która dziś jest hymnem Ukrainy - “Szcze ne wmerła Ukrajina”.

Pogrzeb prowidnyka wszystkim OUN, na którym nie zabrakło (bo jakże by inaczej) przemówienia Theodora Oberländera, stał się swoistą manifestacją jedności skłóconych nacjonalistów. Taki charakter nadał mu Stepan Łenkawskij, który właśnie objął schedę po Banderze jako nowy wódz

Organizacji. To właśnie on podpisał „Apel Prowodu ZCz OUN z okazji śmierci prowidnyka Stepana Bandery”. Apel głosił:

„Druzi nacjonałiści!

W tragicznej chwili śmierci naszego długoletniego Prowidnyka, Wielkiego Syna Narodu Ukraińskiego, sławnej pamięci Stepana Bandery, wzywamy Was do zachowania w swoich skutych bólem sercach twardej wiary w zwycięstwo naszej świętej sprawy i do niezachwianego trwania w szeregach Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów oraz do jeszcze mocniejszego zwarcia sił swoich do dalszej walki.

Paryż, Rotterdam, Biłohorszcza, Monachium - krwawe etapy na drodze wiodącej do wyzwolenia Ukrainy - są dowodem wielkiego okrucieństwa odwiecznego wroga Ukrainy, Moskwy, która przez likwidację przywódców pragnie obezwładnić zorganizowaną siłę bojową ukraińskiego narodu.

Na krwi poległych bohaterów ukraińskiej walki wyzwoleniczej zawsze narastał mit, który świętym ogniem zapalał nowych bojowników do kontynuowania walki o Ukraińską Samostijną Derżawę. Długoletnie doświadczenie nabyte przez kadry OUN pod przewodem Stepana Bandery i wyznaczone przez niego kierunki polityczne, są tym, czego wróg zabić nie może...

Nasza niewzruszoność, jedność, aktywność i wytrwałość - to jedyna odpowiedź wrogowi na jego podstępne i skrytobójcze ciosy, którymi usiłuje on zastraszyć i terrorem osłabić kierowniczą siłę największej zniewolonej przez siebie krainy.

Sława Ukrajini!

Herojam sława!”

Z ostatniego akapitu wynika, że OUN uznała siebie za najważniejszą siłę kierowniczą Ukrainy; takie przeświadczenie żywi do dziś. Szkoda, że naród ukraiński tego chciejstwa nie popiera i nie uznaje!

Ten uroczysty komunikat urzędowy nic nie mówił o tym, że Prowid ZCz OUN powołał niezależną specjalną komisję, która miała wyjaśnić, niezależnie do wyników śledztwa sądowego RFN, okoliczności śmierci Bandery. Komisja ta, po zakończeniu dochodzeń, we wrześniu 1960 roku, wydała orzeczenie opublikowane w postaci komunikatu przez Sekretariat Prowodu ZCz OUN, w którym czytamy:

„Sekretariat Prowodu ZCz OUN otrzymał od Komisji protokół dotyczący okoliczności śmierci sł.(awnej) p.(amięci) Prowidnyka OUN Stepana Bandery wraz z informacją o dotychczasowej pracy przeprowadzonej przez tę Komisję:

a) przesłuchano wiele osób z najbliższego otoczenia sł. p. Prowidnyka oraz osób, które mogły udzielić informacji odnośnie do okoliczności jego śmierci;

b) sprawdzono wszystkie okoliczności życia i przebywania sł. p. Prowidnyka, a w szczególności w ostatnim czasie przed jego śmiercią;

c) zapoznano się z informacją o przebiegu śledztwa sporządzoną przez niemieckie organy śledcze;

d) przeanalizowano różnorodne przypuszczenia i wersje odnoszące się do przyczyn śmierci, przedstawiane przez środowiska ukraińskie lub obce - wrogie, oraz

e) rozpatrzono wyniki śledztwa włączonych do tej sprawy przez Organizację fachowców angielskich detektywów.

Komisja doszła do następujących wniosków:

1) wyklucza się możliwość jakoby w sprawie zamachu był zamieszany ktokolwiek ze ścisłego otoczenia sł. p. Prowidnyka lub ktokolwiek z ukraińskich środowisk politycznych w ogóle;

2) odrzuca się szerzone przez propagandę moskiewsko-bolszewicką, szczególnie na Ukrainie, wymysły o rzekomym wykonaniu zamachu przez »współpracowników Oberländera«, a na emigracji rozpowszechnianą przez bolszewicką

agenturę wersji o uczestniczeniu w zamachu czynników amerykańskich;

3) odrzuca się nielogiczne przepuszczenie o samobójstwie. Takie przepuszczenia mogą być wynikiem niezajomości sytuacji lub wręcz są specjalnymi zmyśleniami wroga i jego sługusów w celu ukrycia politycznego charakteru zamachu;

4) stwierdza się, że zamach ten był przygotowywany od dawna i po kilku nieudanych próbach ostatecznie wykonany 15.10.1959 r. w Monachium przez zamachowca bolszewickiej Moskwy.

Stwierdzenie to Komisja opiera na następujących danych:

a) od czasu zakończenia drugiej wojny światowej wielokrotnie były podejmowane udowodnione próby zamachu (na Banderę) w latach: 1946 z kijowskiej bazy MHD, 1948 MHD za pośrednictwem warszawskiej bazy, 1952 i 1957 KGB przez wschodni Berlin, na wiosnę 1959 przez praską KGB i w lecie 1959 ze wschodniobierlińskiej bazy KGB;

b) bolszewicka propaganda kierowana przeciwko ukraińskiemu nacjonalizmowi, w ostatnich dwóch latach przejawiała wyraźną tendencję zmierzającą do przygotowania opinii publicznej Ukrainy do uzasadnienia konieczności zabójstwa Prowidnyka (ukraińskiego) ruchu nacjonalistycznego;

c) udowodniono, że do dokonania zabójstwa zaangażowano wysokopłatnych funkcjonariuszy KGB;

d) po przeanalizowaniu warunków życia i przebywania sł. p. Prowidnyka Stepana Bandery stwierdzono, że zachowanie długoletniej ochrony jego osoby ze strony Organizacji było utrudnione, a to z tego powodu, że wróg rozporządzał nieograniczonymi środkami technicznymi, działał z różnych baz i wykorzystywał słabe strony systemu demokratycznego wolnego świata;

e) mimo intensywnych starań czynników organizacyjnych (OUN), niemieckich śledczych organów państwowych, a tak-

że innych fachowców, jak dotąd nie udało się uściślić osobo-
wo wykonawców zamachu ani ostatecznie zrekonstruować
sposobu jego wykonania.”

Miało się to stać nieco później i to za przyczyną miłości mia-
ło nadejść ostateczne rozsąplanie tajemnicy śmierci Bandery.
Stało się to w sposób zupełnie niespodziewany. Po dwóch la-
tach hipotez i domniemywań wreszcie miała być ujawniona
„goła prawda” i to za sprawą samego zabójcy, który z własnej
i nieprzymuszonej woli przyznał się do zbrodni.

12 sierpnia 1961 roku Staszynskij zgłosił się do władz poli-
cyjnych w Monachium, występując dotąd, jak już wiemy, pod
innym nazwiskiem. Już na samym wstępie śledztwa opisał
broń, której użył do morderstwa. Broń tę, przed wyjazdem
do Frankfurtu nad Menem, jak już wiemy, morderca wyrzu-
cił do kanału.

Skąd ta nagła zmiana u zawodowego mordercy specjalnie
do celów zabójstw szkolonego przez KGB? Zwyczajnie - za-
wiodły go nerwy. Przez dwa lata żył w stałym napięciu i stra-
chu, drżąc o własne życie i życie żony, miał wrażenie, że jest
stale śledzony, że jego listy są kontrolowane, a rozmowy te-
lefoniczne nagrywane. Postanowił się z tego jakoś wyplątać
i zupełnie zerwać z KGB. Inga wraca z Moskwy do rodziców
w RFN, aby pod ich opieką urodzić swoje pierwsze dziecko.
Po szczęśliwym rozwiązaniu zwierzchnicy z KGB chcą mieć
ją na widoku, w Moskwie, jednak w sierpniu 1961 roku dziec-
ko nagle umiera. Korzysta z tego Bohdan i mając zezwolenie
Łubianki jedzie do Niemiec na pogrzeb niemowlęcia, jedzie
z gotowym zamiarem. Zamiast na pogrzeb zgłasza się do
punktu amerykańskiej żandarmerii wojskowej.

Następuje ogólne zdziwienie i niedowierzanie, nie daje
Staszynskiemu wiary także policja niemiecka, której został
przekazany. Jednak Staszynskij ma obciążające siebie dowo-

dy, sypie szczegółami, które pozwoliły bezbłędnie zrekon-
struować przebieg wydarzeń 15 października 1959 roku. Gdy
policja, zgodnie z jego zeznaniem, znalazła wewnątrz zamku
bramy domu, w którym mieszkał Bandera, resztki złamane-
go klucza, wątpliwości stopniały - wreszcie zupełnie odeszły,
gdy po przeszukaniu kanału znaleziono również śmierciono-
śny rozpylacz.

Co się w tym czasie działo w Moskwie, jak trzęsła się Łu-
bianka, tego opisać się nie da. „Szybko w KGB poleciały gło-
wy - przypomina Gordijewski. - Za Anatolem Golicynem,
który zdradził cztery miesiące później po Staszynskim, co
najmniej 17 oficerów KGB zostało zwolnionych lub zdegra-
dowanych. Bardziej jednak istotnym było to, że zdrady Cho-
chłowa (?) i Staszynskiego doprowadziły tak Biuro Politycz-
ne, jak i szefostwo KGB do rewizji poglądów na ryzyko zwią-
zane z „mokrymi sprawami”. Po ogólnościwiatowej wrzawie
związanej z procesem Staszynskiego, Biuro Polityczne pole-
ciło poniechać zabójstw dokonywanych przez KGB jako do-
tąd stosowanego instrumentu polityki sowieckiej za granicą,
zalecając sięgać do tej metody tylko w wypadkach wyjątko-
wych” („Za wilnu Ukrainu” 3 I 1991).

Proces, o którym pisze Gordijewski, miał miejsce w dniach
8-15 października 1962 roku. W rozprawie uczestniczyła tak-
że wdowa po zamordowanym Banderze trzymając w rękę
moskiewską „Prawdę”, która zaprzeczała zeznaniom Sta-
szynskiego, a całą sprawę nazywała „wielką prowokacją i mi-
styfikacją”. Nie przeszkodziło to jednak w rzetelnym rozpa-
trzeniu przez sąd faktów. Sąd w Karlsruhe, biorąc pod uwa-
gę różne okoliczności (jak też ujawnienia szczegółów związa-
nych z zamordowaniem Łwa Rebeta, którymi dobrowolnie
obciążał się Staszynskij), skazał tegoż na 8 lat pozbawienia
wolności. W uzasadnieniu sąd stwierdzał, że główny oskarżo-

ny w tym procesie to organ kierowniczy służby specjalnej w Moskwie. W procesie, dodajmy, obok prokuratora, występowali adwokaci z symbolicznym powództwem cywilnym w imieniu wdowy Jarosławy, córek Natałki i Ołeksandry oraz syna Andrija.

Staszynskij nie odsiedział całego 8-letniego wyroku, został przedwcześnie zwolniony „za dobre sprawowanie”. Po wyjściu z więzienia wraz z żoną opuścił RFN emigrując do Ameryki Południowej, gdzie mieszka do dziś pod zmienionym nazwiskiem, nigdy nie wykrytym przez sowieckie służby specjalne.

PAMIĘTAŁA TYLKO JASNA GÓRA

Polacy pamiętają wrzawę międzynarodową z udziałem prezydenta RP, wytworzoną przez krajowe media wokół Jedwabnego. Wmówiono nam wtedy, ku ogromnemu zdziwieniu mieszkańców Jedwabnego, że nie hitlerowcy i ukraińscy szowiniści, lecz my, Polacy, jesteśmy mordercami Żydów. Żadne śledztwo tego dotąd nie potwierdziło i wszystko wskazuje na to, że nigdy nie potwierdzi. Prawda, jak oliwa, zawsze wypłynie na wierzch - choć czasami trwa to długo lub nawet bardzo długo. Udowadnia to przypadek HUTY PIENIACKIEJ. Oto minęła, bez żadnego echa, 58. rocznica masakry dokonanej przez ukraińskich szowinistów na ludności polskiej tej podolskiej wsi, położonej malowniczo wśród lasów Roztocza.

28 lutego A.D. 1944 polska wieś HUTA PIENIACKA, leżąca na zachodnich krańcach kresowego województwa tarnopolskiego, u źródeł Seretu obok „Sinego Oka” i „Chowańca”, przestała istnieć. Do jej zagłady doprowadzili żołdacy ukraińskiej, kolaboranckiej 14 Dywizji Grenadierów Waffen SS-Galizien, rizuni tzw. Ukraińskiej Powstańczej Armii - UPA, policjanci ukraińscy w służbie niemieckiego okupanta oraz okoliczna czerń ukraińska, mordując 800-1000 osób (źródła radzieckie mówią o 1.200 osobach).

Już w 1990 roku niestrudzony badacz polskiego Holocaustu na Kresach - dr Aleksander Korman, zwrócił uwagę, że hasła HUTA PIENIACKA nie ma w żadnej encyklopedii. Są natomiast czeskie Lidice i francuskie Oradour, choć w obu miejscowościach liczba ofiar jest mniejsza od liczby Polaków zamordowanych w Hucie Pieniackiej. Lukę wypełniła dopie-

ro *Encyklopedia Białych Plam* (Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne), która w VIII tomie zamieściła obszernie opracowanie pod hasłem HUTA PIENIACKA. W tej bowiem wsi banderowscy oprawcy w trakcie mordu zastosowali wiele ze swych 360 „metod”, stosowanych względem ofiar - bo, jak pisze A. Korman - banderowcy byli „wirtuozami śmierci”.

Jak dotąd, zaangażowany w „tropieniu” polskich „złoczyńców” popełnionych na Żydach Instytut Pamięci Narodowej - IPN, sprawą HUTY PIENIACKIEJ się nie zajął. „Nie pamięta” też o tej zbrodni prezydent „tego kraju” i nie ma żadnego sygnału, że kiedykolwiek będzie pamiętał o Polakach okrutnie zabijanych przez ukraińskich skrajnych nacjonalistów, tak dziś wychwalanych przez warszawskie „Nasze Słowo” - tygodnik finansowany przez polskich podatników - więcej - chwalony z trybuny sejmowej przez niejakiego Myrosława Czecha, wówczas sekretarza generalnego Unii Wolności! Skandaliczne zachowanie „piewcy rizunów” odbiło się gromkim, oburzającym echem wśród polskiego społeczeństwa, milczeli tylko posłowie sejmowi. Żaden z posłów nie splunął w twarz obrzydliwemu kłamcy, tak jak dotąd żaden z parlamentarzystów nie spoliczkował innego kłamcy - Jana Tomasa Grossa i chwalców jego paszkwilu. Niektórzy z nich, zapytani, oświadczają, że nie jest to z ich strony wyraz tchórzostwa, tylko ignorancji. Być może, ale prokuratorowi milczeć nie wolno! Polskie prawo zabrania wychwalania faszystów i zbrodniarzy wojennych. Gdyby M. Czech wychwalał w tym miejscu i w taki sposób oprawców z Jedwabnego, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że sejm natychmiast pozbawiłby go poselskiego immunitetu, a kierownictwo UW, nie polskie przecież, z hukiem wyrzuciłoby go poza nawias swojej działalności. A jaki gwałt podniosłoby wtedy „Gazeta Wyborcza”, „Tygodnik Powszechny” i inne pisma piszące po polsku!

Naród, który traci pamięć, traci tożsamość oraz duszę i prędzej czy później stanie się niewolnikiem Brukseli. Tylko że serce tego Narodu bije na Jasnej Górze - a ta o padłych pod ciosami siekier i noży, spalonych żywcem Polakach, nie zapomniała! 28 lutego A.D. 2002 przed głównym ołtarzem, przed odsłoniętym wizerunkiem cudownej Ikony Królowej Korony Polskiej, odprawiona została Msza święta. Oprócz niewielkiej garstki byłych mieszkańców HUTY PIENIACKIEJ, cudem ocalałych z pogromu, bazylikę wypełnił tłum pątników. Wielu z nich po raz pierwszy dowiedziało się o tej zbrodni i o „naturze” banderowsko-melnykowskich zbrodniarzy zaprezentowanej w kazaniu przez o. Izydora Matuszewskiego. Dowiedzieli się też pątnicy, że jednego z czołowych melnykowców, stypendystę Adolfa Hitlera - Bohdana Osadczuka, Aleksander Kwaśniewski odznaczył Orderem Orła Białego; że dotąd ze swoich podatków finansują „Nasze Słowo”, które bezkarne wychwala morderców spod znaku UPA!

Inicjatorem uroczystości był Zbigniew Maurycy Kowalski. To on swoimi listami do władz naczelnych RP, Episkopatu i Jasnej Góry, sprawił, że 28 lutego temat HUTY PIENIACKIEJ był obecny. Zaniepokoił on rządców państwowych, ale serc ich nie skruszył, sumień nie poruszył - bo przecież nie każdy z nich ma polskie serce. Polskie serce bije w Częstochowie, na Jasnej Górze, a w tym dniu załomotało bardzo głośno. O pomordowanych mieszkańcach HUTY PIENIACKIEJ nie pamiętał IPN, nie pamiętano w sejmie i senacie, w pałacu prezydenckim i w zacisznych gabinetach ministrów. Pamiętała tylko Pani Jasnogórska, nasza Królowa!

Zbigniew M. Kowalski, w liście skierowanym 4 lutego A.D. 2002 do przeora Jasnej Góry - o. Izydora Matuszewskiego, pisał: „Ojciec Przeorze, dnia 28 lutego br. nastąpi 58. rocznica potwornej rzezi Huty Pieniackiej na Podolu. W związku z tym

wydarzeniem Zarząd Fundacji „KRESY” zwraca się z prośbą o odprawienie w tym dniu mszy świętej w Częstochowskim Sanktuarium, w intencji okrutnie pomordowanych mieszkańców Huty Pieniackiej, jak i w intencji pół miliona Polaków wymordowanych przez ukraińskich siepaczy i to narzędziami zbrodni poświęconymi w unickich cerkwiach. Siepaczy, błogosławionych przez unickich popów w unickich świątyniach, przed i po „akcjach”. Ponieważ Fundacja nie posiada środków na działalność pozastatutową, Zarząd prosi, by Msza Święta została odprawiona w ramach patriotycznej działalności Klasztoru, trwającej od wieków. Za życzliwe uwzględnienie prośby Fundacja złoży publiczne podziękowanie w Internecie”.

Zbigniew Maurycy Kowalski, prezes Zarządu Fundacji „Kresy”, jest przede wszystkim znany jako poeta i to poeta nietuzinkowy, nawiązujący formą wierszy i poematów do największych polskich poetów romantycznych, przede wszystkim do Mickiewicza, Słowackiego i Zaleskiego. Zasłynął nie tylko z głośnych wierszy o tematyce kresowej i patriotycznej, publikowanych w kraju i za granicą, ale przede wszystkim jako autor głośnego dzieła pt. KAMIENIE NIE MILKNA, CZYLI HUTY PIENIACKIEJ PAMIĘCI ŻAŁOSNY RAPSOD. Czytelnik znajdzie to dzieło jako Post Scriptum w książce autorstwa piszącego te zdania SS-GALIZIEN - PATRIOCI CZY ZBRODNIAKARZE (Wrocław - „Nortom” 2001).

Posłuchajmy fragmentów RAPSODU, którym już zainteresował się Krzysztof Penderecki i być może za dwa lata, w 60. rocznicę ludobójstwa, będziemy świadkami wykonania przez Wielką Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia w Katowicach Requiem pamięci Huty Pieniackiej. Poemat zaczyna się od słów:

Rozległy skłon wzniesienia pagórków Podola
wtula się, ufny puszczy, w ramiona dąbrowy,
gdzie w busz stepu na koniu wyruszał Polak,
pilnując przed księżycem swej wiary i mowy.
Gdzie zapuścił korzenie, i ciała, i duszy,
gdzie nauczył skowronki swoją mową śpiewać,
gdzie pierwszy barć w pniu dłuwał w mrocznej leśnej głuszy,
gdzie stawał liczne chramy, wycinając drzewa.
On tu modły zanosił w licach Światowida,
tutaj także chrzest przyjął, chociaż z oporami,
tutaj sochą less orał i zrab chaty dźwigał,
tutaj braci przyjmował znad Dniestru i Kamy.
Żył w symbiozie z naturą i odwiecznym czasem,
kochał miedze i pola, nie myśląc o świecie,
każdy człowiek dla niego był przyrodnym bratem,
a kościół, by go chronić, czuwał na widecie.
Tutaj zrywał wciąż pęta wszelakiej niewoli,
tu najazdy ze wschodu dzielnością odpierał,
tu polował na żubry i trzymał się roli,
tu rodził, pracował i tutaj umierał.
Trwał lat tysiąc z okładem opoką wierności
i od morza do morza sławił Lachów imię,
aż się zawiódł zdradzony przez przybyłych gości
- jeden z nich się okazał okrutnym Kainem.

Tym „okrutnym Kainem”, jak łatwo się domyślić, był ów szowinista, który wieś wymordował, ograbił i spalił. Aby dokładnie pojąć i zrozumieć poetę (w tym wypadku epika), trzeba w całości przeczytać jego Rapsod pełen gorzkiej refleksji - tak gorzkiej jak wiekopomna „Gorzka Prawda” Ukraińca Wiktora Poliszczuka. Poemat powinni przeczytać wszyscy zdrowo myślący Polacy, a przede wszystkim prezydent

RP, Prymas Polski i wszyscy parlamentarzyści. Dopiero wtedy będą w stanie pojąć gorycz modlitwy garstki ocalałych z pogromu mieszkańców HUTY PIENIACKIEJ, którzy klęcząc na śniegu pośród mnogości trupów i dogorywających chat, wołali:

- Panie, jeśli tu jesteś, w co należy wątpić,
spójrz na dzieło oprawców, spójrz na ich ofiary.
Świat przez Ciebie stworzony choć chromy za kary,
do tak potwornej zbrodni nie dopuścił nigdy.
Czy dotychczas wbijano nóż, kosę lub widły
w niewinny brzuszek dziecka?
Czy ktoś może z podłości pcha innych do piekła?
Czy ktoś może wyrywać płód z ciała kobiety?
Tu się właśnie to stało, chyba nie zaprzeczysz?
Bytujemy czasowo w powłoce człowieka,
który często bez podstaw na swój los narzeka,
a co ma począć człowiek z rzezi ocalały,
co swe dzieci przykrywał w dole wiechciem słomy?
Dlatego Królu świata i Wszechmocny Panie
przyjmij nasze do Ciebie o pomstę wołanie:
niech rzuni z potomstwem, z setnym pokoleniem,
mają w oczach swe dzieło lub stracą istnienie.
Niech krew za sprawą katów za dzieci przelana
sprawi, by nacja zbójów została zmaszana.
Cośmy się bili o to całymi wiekami,
by kościoły nie pozostały nagle meczetami
cośmy ciągle bronili tak stepy, jak lasy,
by Rusinki nie były na Krym brane w jasyr,
cośmy się opierali azjatyckiej chmurze,
by Podola nie poddać turańskiej kulturze,
teraz przez obronionych paleni i bici

prosimy Cię nasz Panie, abyś ich rozliczył.
Że o to Cię prosimy? Nas stać tylko na to,
chyba, że tamci w dole zmażą winę katom.
A dopóki żyjemy to Im przysięgamy,
że naszego Podola nigdy nie oddamy.
Nie oddamy nikomu ich skrwawionej ziemi.
Z popiołów w jej obronie razem powstaniemy.
A jeżeli kat spróbuje zamatać dług,
w krwi hartowany kamień do świata przemówi.
Choćby potop nastąpił, to dopniemy celu.
Pomóż nam, *fiat iustitia, ruat coelum*.
Po łacińskiej maksymie zaległo milczenie,
a wszyscy w mroku zmierzchu klęczeli jak cienie.
Na raz ruski głos lecąc, nad kośćmi się uniósł
mówiąc: - *Fiat iustitia, et perceat mundus*.

Poemat-rapsod kończy się dedykacją: Pamięci pomordowanych przez ukraińskie bandy w Małopolsce i na Wołyniu.

KRWAWIĄCE KRESY

60 lat później

60 lat temu, dnia 11 lipca AD 1943, tzw. Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) dokonała zbrodni ludobójstwa napadając jednocześnie na ponad 160 polskich miejscowości na Wołyniu. Ponieważ działo się to w niedzielę (w prawosławno-greckokatolickie święto Piotra i Pawła, dlatego masakra ta została nazwana „akcją na świętoho Petra i Pawła”) to rzeź nastąpiła także w kościołach, a jej ofiarą padły, obok dorosłych, dzieci polskie przystępujące do Pierwszej Komunii świętej. Ta barbarzyńska rzeź, która pochłonęła ponad 20 tys. osób, uznana została za apogeum rzezi „heroicznej” UPA, zwanej także „Kresową Apokalipsą”. Godzi się przypomnieć, że tzw. UPA została powołana przez faszystowską Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (istniejącą do dziś, nawet w Polsce) do dokonania czystki etnicznej drogą mordu na, jak to wykazał A. Korman, ponad 360 „sposobów”.

Zaskoczyło to i przeraziło nawet niemieckiego okupanta, który w ulotce skierowanej do banderowskich morderców pisał: „...Uważacie siebie za nacjonalistów i wrogów bolszewizmu, jednakże jak to udowodnicie? Kiedy niemiecki żołnierz walczy i umiera na froncie, Wy palicie na tyłach wsie i chaty i zabijacie bezbronnych mężczyzn, kobiety i dzieci, niszczyacie majątki... Jak długo chcecie przedłużać to niecne dzieło! Czy myślicie naprawdę w ten sposób pomóc własnemu narodowi? Jeżeli w to wierzycie, to się bardzo mylicie, ale jeżeli jesteście świadomi swych czynów, wówczas jesteście zbrodniarzami! Zbrodniarzami i zdrajcami przede wszystkim wobec ukraińskiego narodu, którego imię plugawicie swymi czynami...”

Nieprzypadkowo zatem dzień 11 lipca uznany został w 1993 roku przez ONZ za Dzień Ludzkości. Ludność cywi-

lizowana w taki sposób, w 50. rocznicę wołyńskiej masakry oddała hołd jej ceniom.

Wołyń dał początek, ale na Wołyniu rzezie się nie zakończyły, wkrótce przeniosą się one do Małopolski Wschodniej i tu będą one największe i najokrutniejsze ze względu na liczne małżeństwa mieszane. OUN-UPA bowiem, pod karą męczeńskiej śmierci zmuszała stronę ukraińską do mordowania strony polskiej: mąż mordował żonę, brat zabijał siostrę i matkę - jak w tej upowskiej pieśni:

Ja mamu zarizaw, ja sestru ubyw -

A żinoczku - Laszku w krynycim wtopyw!

Aby godnie uczcić ofiary zbrodni etnonacjonalistycznego ludobójstwa, 30 różnych organizacji kresowych i kombatanckich skupiających ofiary OUN-UPA, powołało do życia Ogólnopolski Społeczny Komitet Obchodów 60. Rocznicy Ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na Ludności Polskiej Kresów Wschodnich RP w latach 1939-1947. Nazwa Komitetu odpowiada rzeczywistości. Inicjator przedsięwzięcia - Kresowy Ruch Patriotyczny - z dziecinną ufnością zwrócił się do Ojca Narodu Polskiego, Prezydenta Najjaśniejszej o otoczenie go swoim patronatem. Kresowianie zawierzili słowom A. Kwaśniewskiego, iż jest on „prezydentem wszystkich Polaków”. Kresowianie zatem jeszcze raz zaufali Prezydentowi i jeszcze raz srodze się zawiedli.

Prezydent, świadom upokorzenia Polaków, prośbę Kresowian „zawetował” i powołał „własny” komitet od „wydarzeń wołyńskich” stawiając na jego czele Marka Siwca - tego, który tak niedawno jeszcze kpił z Papieża-Polaka naśladując Jego gest całowania ziemi. Siwiec dobrał sobie do lże-komitetu osoby niewiarygodne, historycznych fałszerzy typu Hryćko Motyka i kryptobanderowców typu Myron Kertyczak. W oświadczeniu złożonym z tej okazji nie ma mowy o rzezi, mordzie, ludobójstwie, tylko o „wydarzeniach”. Siwiec oburza się nawet,

że używanie nazwy „Holocaust” w odniesieniu do „wypadków wołyńskich jest nadużyciem”. Mord około pół miliona Polaków to zaledwie „wydarzenie” niegodne patronatu Prezydenta RP. Zabójstwo Żydów w Jedwabnem, które chciano przypisać Polakom, to „mord” godny patronatu Prezydenta RP.

Z tych powodów Polacy solidarnie uznają poczynania A. Kwaśniewskiego za skandal na skalę światową. Dlatego już bez jego udziału powstają liczne miejsca pamięci - tablice i pomniki. Dlatego nie może także dziwić stanowcze oświadczenie, podpisane przez prezesa Ogólnopolskiego Społecznego Komitetu, Jana Niewińskiego, które głosi:

„Odrzucamy z całą stanowczością sprowadzenie ludobójstwa setek tysięcy naszych rodaków na Kresach Wschodnich w latach 1939-1947 do tzw. wydarzeń wołyńskich. Jest to haniebne fałszowanie historii. Jesteśmy gotowi współdziałać w organizowaniu państwowych obchodów 60. Rocznicy pod warunkiem, że:

a) będą one organizowane z udziałem Rady Ochrony Pamięci i Męczeństwa,

b) będą wolne od nacisków politycznych, a będą miały charakter przede wszystkim żałobno-religijny, czego domagają się stanowczo rodziny ofiar,

c) obchody będą odzwierciedlać prawdę historyczną, tzn. czas trwania ludobójstwa Polaków (1939-1947) i będą dotyczyć całości Kresów Wschodnich II RP, a nie tylko Wołynia, zaś sprawcy tych zbrodni zostaną nazwani po imieniu.

Domagamy się stanowczo w imieniu szerokiej rzeszy Kresowian, aby Parlament Polski potępił w sposób jednoznaczny ludobójstwo dokonane przez OUN-UPA na całych Kresach Wschodnich II RP. Oczekujemy również, że władze Związku Ukraińców w Polsce także jednoznacznie potępią totalne ludobójstwo OUN-UPA.

Ogólnopolski Społeczny Komitet wykazał maksimum dobrej woli w kontakcie z władzami RP w nadziei przeprowa-

dzenia godnych obchodów tej rocznicy, nieobciążonych elementem taktyki politycznej. Jeżeli zarysowane wyżej postulaty nie będą nadal respektowane, rodziny pomordowanych zorganizują - w całym kraju - na miarę swoich możliwości żałobne obchody tej bolesnej rocznicy”.

Z bardzo podobną propozycją zwróciło się do Rady Najwyższej Ukrainy 95 jej deputowanych żądających stanowczego potępienia zbrodni ludobójstwa popełnionych przez OUN-UPA na Polakach i Żydach. Pod ich naciskiem prezydent L. Kuczma wyksztusił wreszcie słowa: „Zbrodnie przeciwko ludzkości nie mogą być usprawiedliwione”.

Wielu intelektualistów ukraińskich, zatroskanych o los swojej ojczyzny, uważa, że Ukrainie obecnej potrzebne jest to, co w starożytnym języku greckim nazywa się Katharsis - oczyszczenie się z nacjonalistyczno-faszystowskiego obciążenia, w przeciwnym razie jej miejsce w rodzinie wolnych narodów europejskich może być zakwestionowane.

Jest ku temu okazja - właśnie teraz! Na owo „oczyszczenie” czeka nie tylko zdrowa część narodu ukraińskiego, któremu tradycje i idee OUN-UPA są najzupełniej obce, oczekują Polacy, oczekuje Europa! Nie może tak być, że na pismo dyrekcji polskiej szkoły w Mościskach o zorganizowanie akademii 3-majowej władze rejonowe odpowiadają, że taka zgoda skomplikuje stosunki z „Republiką Polską”. Jednocześnie szkoła ukraińska w Polsce wykorzystując rocznicę Szewczenkowską, ubiera swoich uczniów w wymyślone „mundury” UPA i każe im powtarzać przysięgę „wojaka UPA” dając dwuznacznie do zrozumienia, że przygotowuje w ten sposób bojowców do walki o „ukraińską Zakerzonię”.

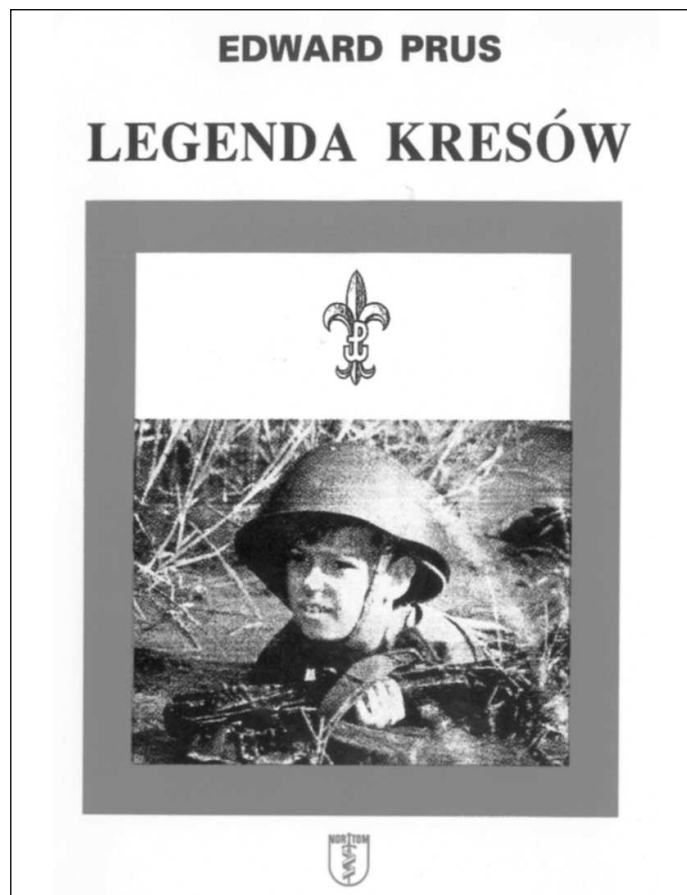
Na te sprawy nie można patrzeć bezkarnie, bo ktokolwiek broni nacjonalizmu ukraińskiego, a tak się dzieje niestety w Polsce, tym samym broni faszyzmu w jego ukraińskiej

odmianie, jego zbrodni ludobójstwa. Kto gloryfikuje OUN-UPA, ten łamie art. 13 Konstytucji Rzeczypospolitej, jak też art. 256 Kodeksu Karnego RP. Niebezpieczna to zabawa!

I rzecz także ważna. Kresowianie - ofiary UPA to obecni mieszkańcy Ziemi Zachodnich; nie są oni jeszcze do końca świadomi tego, iż nie tylko w tej bolesnej sprawie są oszukiwani, ale także w innej, bo jako mieszkańcy Ziemi Odzyskanych nie są właścicielami tylko „wieczystymi użytkownikami”. Niestety znacznie się dopiero po wejściu Polski do Unii (Zachodnio)Europejskiej, gdzie pojęcie „wieczystego użytkownika” nie istnieje. Krążą słuchy, że A. Kwaśniewski zawetował ustawę uwłaszczeniową w zamian z obietnicą niemieckiego poparcia go na stanowisko sekretarza generalnego NATO. Gdyby ta „plotka” się ziściła, mielibyśmy wtedy do czynienia z jawną zdradą narodową.

W swoim liście do min. Marka Siwca („Tylko Polska” nr 18/138) ostrzegałem:

„Kresowianie to mieszanka szlachecko-kozacka, wybuchowa i nieobliczalna w sytuacji uświadomionej manipulacji. Wtedy ostrzegam najpoważniej, stanie w Warszawie rząd szubienic, jak w czasach Powstania Kościuszkowskiego. Nie zawisną na nich tylko ci sprawcy kresowego upokorzenia i polskiej tragedii, którzy zdołają zbiec do Izraela pierwaj ulokowawszy za granicą swoje kapitały, tam będą w miarę bezpieczni, bo w państwach Unii dosięgnie ich gniew niedorzęniętych ofiar OUN-UPA... Chciałbym do tych słów przekonać Pana, Panie Ministrze i dodać, że polska racja stanu nie wymaga pojednania z ukraińskimi etnonacjonalistami-faszystami, bo ich odrzuca naród ukraiński. Z narodem ukraińskim znów zawsze było Polakom „po drodze” i żaden pojednanie nie jest tu potrzebne. Natomiast Majestat Rzeczypospolitej wzdraga się na samą myśl, że ktoś ośmieliłby się bratać ze zbrodniarzami i ich chwalcami, których ręce są lepkie od ludzkiej krwi i cuchną na odległość. Trzymajmy się od nich z daleka!



W legendzie kresów autor udokumentował bohaterską walkę z bandami UPA bardzo młodych obrońców - harcerzy na kresach wschodnich II RP w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej. Książkę można zamówić: Wydawnictwo NORTOM, tel./faks (0-71) 367-76-88, tel. 784-68-17, tel./faks: 349-17-18

60. rocznica polskiego Holocaustu

OSTATNI NAZIŚCI

Dom Wydawniczy Bellona wypuścił ostatnio (2003) interesującą książkę autorstwa Perry Biddiscombe pt. *Ostatni naziści. Działalność Werwolfu w powojennej Europie*. Już sam tytuł wskazuje, że nazistowski członkowie „niemieckich wilkołaków” byli ostatnimi nazistami w Europie. Widać, że Biddiscombe nie słyszał nic o ukraińskich nazistach spod znaku Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), która powołała do życia własnych „wilkołaków” o wiele groźniejszych od niemieckich, mianowicie antypartyzancką formację zbrojną o mylącej nazwie Ukraińska Powstańcza Armia (UPA). Jej rola nie była po wojnie „marionetkowa” jak Werwolfu, lecz jak najbardziej poważna, a przede wszystkim dla kilku narodów tragiczna. Werwolf ma na sumieniu zaledwie kilkaset tysięcy osób w skali Europy, UPA kilkaset tysięcy w skali zaledwie jednego państwa - Rzeczypospolitej Polskiej.

Nie słyszał też autor *Ostatnich nazistów* o tym, że tradycje nazistowskie ukraińscy nacjonaści nadal kontynuują wśród swoich polskich ofiar i to z pełnym błogosławieństwem polskich władz. Jest to fenomen na skali świata: kat kpi sobie ze swojej ofiary, więcej - ssie z niej jak wampir krew pod postacią podatków na swoją dalej antypolską działalność, póki co, propagandową.

Oto w jednej z ukraińskich szkół na Mazurach na uroczystości Szewczenkowskiej wystąpiła grupa ukraińskiej młodzieży w „mundurach” UPA - recytując razem rotę „przysięgi” upowca: „ja wojak Ukraińskiej Powstańczej Armii wzięwszy do rąk broń...”. Jaką broń: siekierę, nóż, widły i na kogo ta „broń” w niepodległej Polsce, a do tego jeszcze w 60. rocznicę apogeum ludobójstwa OUN-UPA dokonanego na Polakach?

No i te jednolite „mundury” UPA wymyślone po wojnie. UPA była hordą antypartyzancką odzianą wielorako. Owszem, Abwehra dostarczyła jej niemieckie mundury, ale starczyło ich zaledwie dla 2-3 sotni. O odzieniu „armii nieśmiertelnych” mówią jej członkowie: „odzież, obuwie i bielizna strilców były różne, nie było mundurów” (W. Nowak ps. „Kryha”, „Litopys UPA”, Toronto 1984, t. 5, s. 124). „Sotnia nie miała jednolitego umundurowania. Były w niej mundury różnych armii oraz zwykła chłopska odzież” (S. Sobolak ps. „Sirol”, tamże, s. 149). „Żadnych mundurów nie było. Oglądałem dziesiątki zdjęć. Tylko dowódcy mieli na wpół wojskowe niemieckie zdobyczne ubrania” (M. Kowal, historyk, redaktor naczelny pisma „Ukrajński Istoryczny Żurnał”, inf. „Dziennik Kijowski”, nr 16, wrzesień 1994).

Szkolne wyrostki mają prawo o tym nie wiedzieć, ale żeby o tym nie wiedzieli np. publicyści „Polityki”? To wstyd! Właśnie jedna taka niedouczone publicystka pisze o mundurach UPA. Żeby tylko o tym. Posuwa się jeszcze dalej przekonując, że upowcy wspólnie z polskimi akowcami należą do tej samej Międzynarodowej Federacji Weteranów II Wojny Światowej. To już coś więcej niż zwyczajny fałsz! Upowców nie przyjęto do tej szacownej organizacji - właśnie dlatego, że OUN-UPA nie była formacją narodowyzwolenczą narodu ukraińskiego - lecz formacją zbrodniczą o nazistowskiej ideologii.

Wysłałem do „Polityki” list ze sprostowaniem informując, że nie było żadnych „mundurów UPA”, bo skąd się one miały wziąć? Że UPA to horda obdartusów odzianych w resztki mundurów różnych armii i ubrań cywilnych, że *komandyr hordowy* tej hordy: „Czuprynka” chodził w rosyjskim szynelu i włochatej czapce. Niestety, tego sprostowania „Polityka” nie zamieściła.

Z tego przykładu widać, że każdy pretekst jest dobry, żeby Lachom dołożyć - choć właśnie Taras Szewczenko najmniej się do tego nadawał. Ten narodowy wieszcz Ukrainy napisał wprawdzie poemat pod brzydką nazwą *Hajdamaky*, ale napisał go ku przestrodze („choć serce boli, ale mówić trzeba”), żeby przyszłe pokolenia wiedziały, jakich błędów dopuścili się ich przodkowie. Ta przestroga była aktualną w „dobie” UPA, jest też aktualną dziś - tylko że polscy Ukraińcy mają własną „filozofię”. Najpełniej chyba wyraził ją jeden z tych „zaprzysiężonych” neoupowców. Na pytanie: gdybyś był prawdziwym upowcem, to jaki wybrałbyś sobie pseudonim, młokos bez wahania odpowiedział: „Rizun”. A kogoś być „rizaw”? - Lachów - naszych odwiecznych wrogów - pada bezczelna odpowiedź. - Za co ty tak tych Lachów nienawidzisz? Bo nas uczą w szkole, że Lachy rozbili UPA i OKUPUJĄ „ukraińską Zakerzonię”, ale doczekają się swego, jak tylko znajdą się w Unii. Wtedy tu będzie „ukraiński regiona (rejon?) autonomiczny”, będzie nasza Ukraina.

Jest to piękne odwzięczenie się za operację „Wisła”, która wyrwała Ukraińców, Łemków i Bojków z bieszczadzkiego średniowiecza, z niebywałej nędzy i przeniosła do lepszego świata - co było dla tych grup wręcz cudownym awansem cywilizacyjnym. Można się o tym przekonać porównując nędzne chatynki bieszczadzkie, pełne insektów i wszelakiego robactwa, z domami poniemieckimi, w których dziś mieszkają.

Młody, butny szczeniak szkolny nie wie, że każdy upowiec jest zbrodniarzem, bo nie mógł złożyć przyrzeczenia „na tryzub”, którego tekst tak bezmyślnie recytował na scenie wraz z grupą wyrostków, jeżeli nie zamordował człowieka. Powtarzam: zamordował, a nie zabił! A mordów na Polakach, Żydach, jeńcach sowieckich, „nieprawomyślnych” Ukraińcach dokonywano na ponad 360 „sposobów”, co dokładnie zbadał i opisał dr Aleksander Korman.

W każdym razie Naród Polski winien wiedzieć, jakich to współczesnych nazistów „wychowują” nauczyciele ukraińskich szkół w RP! Więcej - robią to pod opieką Państwa Polskiego - wbrew Jego Konstytucji i za pieniądze Narodu Polskiego! Chwalą ich za to różni Kuronie (władze też) lub jeszcze od nich lepsi z łamów „Gazety Wyborczej”, „Wprost”, „Tygodnika Powszechnego”, „Rzeczpospolitej” i... piskliwego pisemka anarchistów „Nigdy Więcej”. Tu właśnie pewien pseudohistoryk, podobno nawet doradca Prezydenta RP do spraw ukraińskich, oświadczył, że „wrogami ludu” nie są ukraińscy naziści w Polsce, lecz ci, którzy głoszą o nich prawdę - pokazując jakie zagrożenie dla Polski i Ukrainy stanowi działalność zakamuflowanej OUN. Organizacja ta, wszystko jedno jaką dziś dla kamuflażu przybiera nazwę, ani na jotę nie odstąpiła od swojego faszystowskiego programu przyjętego jeszcze w 1929 roku.

Być może, że Naród Ukraiński nie dojrzał jeszcze do odwrócenia się od swoich wyrodných synów - morderców dzieci, kobiet, starców - których dysponenci OUN na Ukrainie, w Polsce i w Diasporze - każą ich nazywać „bohaterami”, a nie rzeźnikami. Być także może, iż rzeczy tej nie uświadamia sobie do końca mało poinformowana w tej materii Europa. Europa też czekała i zwlekała długo z uznaniem mordu młodoturków popełnionego na Ormianach w czasie I wojny światowej za zbrodnię ludobójstwa. Wreszcie w 2002 roku wszystkie parlamenty zachodnioeuropejskie uroczyście potwierdziły, że mord ten był ludobójstwem. Polacy i Żydzi też się tego doczekają, bo prawda jak oliwa, nawet po wielu latach wyjdzie na wierzch, wtedy wszyscy odetchną, jak grzesznik po spowiedzi.

Jednak co my, Polacy, starsi bracia w słowiańskości, uważający się za wyższych cywilizacyjnie i moralnie od swoich braci Ukraińców, robimy, aby zdjąć z młodszych braci odium zbrodniczości, a synonim Ukraińca-rizuna zamienić na

Ukraińca-humanistę? To należy do rządu, a ten wręcz „oszałał” w swej politycznej głupocie. Dali temu wyraz prezydent RP odznaczając jednego z wyjątkowo perfidnych polakożerców, Bohdana Osadczyka, Orderem Orła Białego oraz jego szef bezpieczeństwa ostrzegający przed nazywaniem ludobójstwa popełnionego przez OUN-UPA Holocaustem. Jest to zrozumiałe w kontekście żydowskich przywłaszczeń, że jakoby Holocaust odnosi się tylko do ich tragedii.

Obaj panowie jednak, a także inni, nie chcą jakoś pamiętać (może brakuje im wiedzy, chętnie służę konsultacją), że UPA to wewnętrzna sprawa Polski, bo upowscy rebelianci byli obywatelami polskimi i mordowali obywateli polskich na obszarze Państwa Polskiego, będącego wówczas podmiotem prawa międzynarodowego. Zatem jako obywatele polscy, dążący do oderwania części terytorium RP w celu przyłączenia do obcego państwa, powinni być sądzeni za zbrodnię zdrady stanu, a jako popolnicy ludobójcy - odpowiadać za swoje czyny kryminalne. No i wreszcie chodzi o kontynuowanie tradycji nazistowskiej OUN: jeżeli nie zajmie się nią prawo polskie, to na pewno zainteresuje się nią prawo unijne, a wtedy będzie wielki wstyd! Ja też będę się wstydził, bo jak mawiał mój pradziad, żołnierz Potrzeby Narodowej AD 1864: największy wstyd, to wstyd za kogoś!

Wstydzę się też za prof. Andrzeja Paczkowskiego, jednego z „wyselekcjonowanych” historyków polskich i oddelegowanych banderowsko-nazistowskiej proweniencji: „obecnie Wołyniacy i w ogóle ludzie wywodzący się z Kresów Wschodnich stanowią niewielką część społeczeństwa polskiego” („Nowa Trybuna Opolska”, 20.06.2003). Czyżby, panie profesorze? A jaką część: większą czy mniejszą od mniejszości ukraińskiej, od Żydów i Niemców w Polsce?

Przykro o tym czytać, zwłaszcza wtedy, gdy coś takiego głosi profesor-historyk. Kresowianie, panie profesorze, wraz

z rodzinami stanowią jedną czwartą Narodu Polskiego. Wszystkie ziemie na Zachodzie i Północy RP są przez nich zasiedlone od ponad pół wieku. Czy pan, panie profesorze, kpi z nas, Kresowian, czy tylko o drogę pyta? To zupełnie niewiarogodne, żeby historyk bał się prawdy i solidaryzował się z bałamuctwami Instytutu Pamięci Narodowej, który wiedzę, prawdę i naukę w całości już podporządkował polityce. Tymczasem ta polityka prowadzi do zamazywania prawdy. Wiedzą o tym wszyscy Polacy i ten Instytut mają w pogardzie!

Posłuchajmy wyimków tylko jednej wypowiedzi Andrzeja Stryjewskiego, posła na Sejm RP skierowanej do prof. L. Kieresa, prezesa IPN, a także do prof. Z. Latajki, rektora Uniwersytetu Wrocławskiego oraz J.A. Dąbrowskiego, prezesa Kolegium Europy Wschodniej.

„Dziękuję za zaproszenie mnie do udziału w dyskusji panelowej (27 maja 2003) pt. „Przeszłość, która dzieli. Eksterminacja ludności polskiej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943-1945” - pisze poseł. Dalej rozwija: „Pozwolę sobie zwrócić uwagę na ewidentne historyczne błędy w tytule konferencji, które zostały odczytane przez środowiska Polaków będących ofiarami wydarzeń sprzed 60. laty jako objaw zamierzonej manipulacji. Tym boleśniej, bo dokonanej pod szyldem Uniwersytetu Wrocławskiego i Instytutu Pamięci Narodowej. Na czym polegają te błędy?

Po pierwsze, na pominięciu »autorów« eksterminacji ludności polskiej. Ofiary domagają się zerwania wreszcie zasłony milczenia wobec tych Ukraińców, którzy będąc członkami zbrodniczych organizacji OUN i UPA oraz w imię zbrodniczej ideologii ludobójczego nazizmu dokonali wprost nieludzkiej zbrodni. Ukraińcy z OUN-UPA zamordowali w sposób wprost nie do opisanania bestialski ponad 100 tysięcy ludzi, głównie Polaków, choć także w części swoich pobratymców

o ludzkim obliczu! Popełnili ludobójstwo na ludności cywilnej - w większości na kobietach, dzieciach, starcach. Ludności bezbronnej i już wcześniej zdziesiątkowanej przez agresorów sowieckich i niemieckich w ramach działań wojennych i okupacyjnych.

Ukraińcy z OUN-UPA mordowali Polaków, którzy byli u siebie - na terenach Państwa Polskiego, które co prawda było w tym czasie podmiotem agresji, okupacji i aneksji, ale te wszystkie działania najeźdźców i okupantów były nielegalnymi w świetle prawa międzynarodowego. Nieludzko pomordowani Polacy byli u siebie, to znaczy w tych częściach Polski, które nosiły od zawsze nazwy Hołyń, Halicz (Halicja), Małopolska, Ruś. Napisanie w tytule konferencji i na zaproszeniach, że dyskutowana będzie jakaś tam eksterminacja ludności polskiej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, jest zwyczajną obrazą pomordowanych Polaków i Polski. Jest zwyczajnym antypolonizmem sygnowanym przez ważne instytucje państwowe, jakimi są Uniwersytet Wrocławski i Instytut Pamięci Narodowej. To jest ten drugi błąd zamieszczony w tytule konferencji i na zaproszeniach, który boleśnie dotyka Polaków.

Przypomnę, że termin »Galicja« z języka łacińskiego oznaczający Halicz (Halicję) pierwotnie był używany w tytulaturze królów węgierskich, którzy w jakimś momencie dziejów zarządzali tą częścią Korony. Ta węgierska historia stała się powodem ponownego nadania Haliczowi nazwy »Galicja«, gdy w wyniku I rozbioru ta część Rzeczypospolitej znalazła się pod panowaniem rodziny Habsburskiej. Uzasadniało to wówczas niby dziedzicznie - powęgierskie - pretensje terytorialne Habsburgów do Halicza i innych ziem Rzeczypospolitej oraz w swoisty sposób »uniewinniło« ich ze zbrodni współuczestniczenia w rozbiorach Polski. Halicz, Włodzimierz, Lwów,

Małopolska, Ruś - te nazwy nawet dla swoich liberalnych w polityce narodowościowej Habsburgów były zakazane. Dziwię się, że tak szacowne grono polskich osób publicznych wpisało się w ten nurt myślenia o Polsce! Oburzenie moje jest tym większe, że kierując ważnymi instytucjami polskimi - Uniwersytetem Wrocławskim i Instytutem Pamięci Narodowej - nadużywacie Panowie ich autorytetu.”

Dalej już sama prawda i tylko prawda o ostatnich nazistach w Europie i ich dysponentach w Polsce: „Nie ma zgody na takie manipulowanie świadomością Polaków, zwłaszcza Polaków młodego pokolenia. W czasie, gdy nacjonalistyczne siły dzisiejszej Ukrainy oraz część ukraińskiej diaspory podejmują coraz brutalniejsze działania na rzecz zakłamania historii, by w ten sposób uniewinnić ukraińskich ludobójców i zdjąć z nich odpowiedzialność za bestialskie mordy na niewinnej i bezbronnej ludności Wołynia i Małopolski oraz by uzasadnić bezprawną aneksję terytorialną części terytorium Rzeczypospolitej, przyłączenie się polskich instytucji państwowych - postawionych przeciw na straży pamięci narodowej! - do tych niegodziwych działań wzbudza głęboki żal i sprzeciw społeczny.

Przypominam oczywistą prawdę, że warunkiem przebaczenia i pokoju jest prawda, jest przyjęcie odpowiedzialności za grzech zbrodni ludobójstwa i aneksji, jest nawrócenie, jest poniesienie kary, jest zadośćuczynienie, jest naprawienie krzywd. Dotychczas żadnego z tych warunków ludobójcy OUN-UPA nie spełnili. Natomiast ich »osiągnięcia« są fetowane na dzisiejszej Ukrainie, nawet w oficjalnych próbach nadania im tytułów bohaterów narodowych oraz zrzucaniem odpowiedzialności na ofiary!

Dlatego dobrem będzie - zarówno dla ofiar ludobójstwa oraz ukraińskich ludobójców z OUN-UPA - gdy Uniwersytet Wrocławski, Instytut Pamięci Narodowej oraz inne instytucje pań-

stwowe i społeczne zaprzestaną manipulować prawdą. Kontynuując manipulację będą uczestniczyć w niegodziwości, którą opisuje pierwsza część tytułu spotkania w *Oratorium Marianum* Uniwersytetu Wrocławskiego: *Przeszłość, która dzieli.*”

Nic już do tego nie można dodać, teraz kolejny ruch należy do prezydenta i rządu RP. Warto, by posłuchali oni głosu „autorytetu moralnego” J. Giedroycia, który przestrzegał polityków polskich, żeby patrzyli na Ukrainę przez Kijów, a nie przez opanowany przez nazistów Lwów. Powinni też pamiętać, że Ukraina jest częścią Wspólnoty Niepodległych Państw, a jej interesy państwowo-gospodarcze są związane z Rosją, a nie z Polską. Na Polsce Ukrainie nie zależy, zatem nie warto „podlizywać się” nazistom halickim, którymi Ukraina gardzi - czego, z dziwnego jakiegoś powodu, nasze władze nie dostrzegają. Widzę w tym jedną przeszkodę, są nią „źli doradcy” prezydenta, premiera i ministra spraw zagranicznych, wywodzący się z grona dysponentów OUN, mający też do dyspozycji plejadę „pożytecznych głupców” nieświadomych ani działań, ani celów, do których zmierzają naziści z OUN. Takich, nie bez racji, Korwin-Mikke nazywa „pożytecznymi, leninowskimi idiotami”. Oby było ich jak najmniej w naszej biednej Ojczyźnie!

60. rocznica apogeum banderowskiego ludobójstwa

UKRAINO, POKOCHAJ PRAWDĘ!

Jest obecnie ku temu niepowtarzalna okazja: 60-lecie apogeum zbrodni ludobójstwa ukraińskich etnonacjonalistów dokonanej na bezbronnej cywilnej ludności polskiej Wołynia i Małopolski Wschodniej. Ten nie mający w historii najnowszej analogii mord łączył się z wygnaniem Polaków z Kresów - odwiecznej krainy ich zasiedlenia. Wygnanie to jest wspólnym dziełem ukraińskich nazistów i sowieckiego NKWD.

Apogeum zbrodni, wraz z wypędzeniem rdzennej ludności polskiej, miało miejsce właśnie latem 1943 roku. Tylko w dniach 11-12 lipca dokonano jednoczesnego napadu na ponad 160 wsi i osiedli polskich mordując w sposób wręcz niespotykany w dziejach ludzkości (364 metody) ponad 20 tys. osób. Nie da się temu zaprzeczyć ani tego zatuszować, choć takie próby były i są podejmowane - ale fakty, prezentowane w niemal wszystkich moich książkach, a ostatnio w historiograficznym dziele Ewy i Władysława Siemaszków, są tak oczywiste i udokumentowane, że nie da się im zaprzeczyć.

Ten straszny czas, porównywalny z *Apokalipsą*, który dziś jest przypomniany ze zgrozą, był jednocześnie straszny w swojej wymowie także z innych powodów. Polakom nagle cały świat zaczął walić się na głowę. Rok 1943 był decydujący, jeżeli idzie o losy sprawy polskiej w II wojnie światowej.

Wygrana bitwa pod Stalingradem umożliwiła Armii Czerwonej przejście inicjatywy na froncie - i właśnie wtedy alian-

ci, a zwłaszcza Amerykanie, zaczęli się skłaniać do oddania Polski w sferę wpływów Związku Sowieckiego. Prezydent Roosevelt uznał bowiem, że karta polska nie ma już większego znaczenia, liczył się Stalin - i on wygrał w Teheranie w 1943 roku, wytargował dla siebie Kresy Wschodnie.

Wielkim ciosem dla Polski było aresztowanie 30 czerwca 1943 roku Komendanta Głównego Armii Krajowej gen. Stefana Roweckiego-Grota. Rok 1943 to także inny, niespodziewany cios. 4 lipca ginie w wypadku samolotowym gen. Władysław Sikorski - premier rządu RP i wódz naczelny. Rok 1943 to także ujawnienie sprawy katyńskiej i przerwanie stosunków dyplomatycznych ZSRS z rządem polskim. Wszystko to łącznie z upowskim ludobójstwem składało się na nieopisany dramat Polaków.

Teraz, broniąc *czesti* nazistowskiej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), mówi się o „samowoli” *komandry* UPA na Wołyniu Dmytra Klaczkowski (Klaczkiwskiego) - „Kłyma Sawura”, tając jednocześnie, że ujawniony już został rozkaz ludobójczy wydany Klaczkowskiemu przez ówczesnego przewodnika OUN Mykołę Łebedia - „Maksyma Rubana”. Więcej: przerażony ogromem krwi przelanej, skąpany w ogniu płonących polskich sadyb Klaczkowski odmówił złożenia „Rubanowi” sprawozdania z tej przerażającej „akcji”. Łebed' po wojnie w drodze z USA na Ukrainę zatrzymał się w Polsce u krewnych - i nikt go nie aresztował. Skandal!

Jednak wszystko, co tu zostało powiedziane, nie przeszkodziło władcy greckokatolickiemu z Australii nazwać ludobójcę Klaczkowski „wielkim synem narodu ukraińskiego”, a jego zaczadzonym nienawiścią i głupotą bezdenną „braci w kapłaństwie” poświęcić jego pomniki w Zbarażu i Równem. Widzimy tu wyraźnie, w jaki sposób świętokradcy mieszają polską krew z banderowską trucizną OUN, o której Władysław Czarnowił mówił, że „nie miała odniesienia do sławnych

stronic ukraińskiej historii”. W taki właśnie sposób kłamstwo przeistacza się w prawdę, a legenda w rzeczywistość!

Prawdą jest, że drugiej takiej zwyrodniałej pod każdym względem organizacji nie znajdziemy nawet w najdalszych, mrocznych zakamarkach dziejów *Rusy-Ukrajiny*. Natomiast kłamstwem jest, jakoby OUN-UPA walczyła z „dwoma największymi potęgami świata”. „Walczyła” tak, żeby nie walczyć, a całą swoją energię topiła w beznadziejnych rzeziach hańbiąc w ten sposób Naród Ukraiński. Prawdziwe oblicze OUN-UPA dostrzegł Wołyński Okręgowy Delegat RP Juliusz Kozłowski - „Cichy”, który w swoim liście do kierownictwa politycznego UPA 25 listopada 1943 roku pisał:

„Wychowankowie niemieccy narodowości ukraińskiej, a nie Polacy, rozpoczęli masowe a barbarzyńskie rzezie bezbronnej ludności polskiej. Pamiętajcie, że to, co obecnie dzieje się na Wołyniu, obarcza cały naród ukraiński, że za to Wy i Wasze przyszłe pokolenia płacić będziecie rachunek. Nie wolno Wam tylko po cichu protestować, ulegać zbrodniczemu terrorowi i dalej pozwalać, by wróg Waszymi rękami niszczył Waszą przyszłość. Czyż nie widzicie, że chodzi mu o to, żeby na zakończenie wojny słowo Ukraińiec równoznaczne było ze słowem morderca? Czyn odważny, odpowiedzialny jest z Waszej strony koniecznością. Czyn przeciwstawiający się zbrodniczej akcji mordowania ludności polskiej i narzucania wszystkim Waszych ludzkich i narodowych uczuć w strumieniu niewinnej krwi.

Rzeź i mord nie budują nigdy bytu niepodległościowego, a wyłączają ze społeczności cywilizacyjnej i są jaskrawym dowodem niedojrzałości państwowej. Broń do tego dzieła w dużej mierze pochodziła z rąk niemieckich, stamtąd przyszło wyćwiczenie wojskowe i to właśnie tragicznie związało w opinii świata Wasze imię z Niemcami.

Gdy przyznacie otwarcie, że Niemcy wykorzystywali Waszą do nas nienawiść dla szerzenia w Polsce rozszalałego terroru - docenimy Wasze stanowisko. Tylko bowiem uświadomienie obustronnych błędów prowadzić może do zmniejszenia dzielącej nas przepaści.”

Władze obecnej Ukrainy muszą mieć świadomość prawdy, że UPA nie była żadną „armią powstańczą”, tylko „kureniami rizunów”, zbrodniczą antypartyzantką powołaną do życia dla dokonania rzezi ludności polskiej na obszarze suwerennego, aczkolwiek okupowanego Państwa Polskiego. Zbrodni ludobójstwa dokonywali Ukraińcy - obywatele RP na obywatelach RP narodowości polskiej i żydowskiej. Dlatego UPA - to wewnętrzna sprawa polska! Tak opiewa prawo międzynarodowe. Jednakże ze względu na to, że zrabowane Polsce Kresy południowo-wschodnie należą dziś do Ukrainy i tam w większości mieszkają rizuni i ich depozytariusze, to rola Ukrainy, a właściwie jej organów ścigania, powinna ograniczyć się do chwytania ujawnionych przestępców, którzy po wstępnym śledztwie winni być przekazani Rzeczypospolitej dla osądzenia. Jest już precedens: Erich Koch, w czasie niemieckiej okupacji wielkorządca Reichskomisariatu „Ukraina” z siedzibą w Równem, nie był sądzony przez organa sowieckiej Ukrainy, lecz przez sądy polskie, bo zbrodnie, jakie popełnił na Wołyniu, były zloczynem dokonany na terytorium ówczesnego Państwa Polskiego.

A zatem problem UPA - to wewnętrzna sprawa suwerennego Państwa Polskiego. Sprawę tę Krzysztof Bulzacki w zbiorze interesujących esejów, polemizując m.in. z A. Michnikiem, widzi następująco:

„»Bądźmy ostrożni« - straszy nas Adam Michnik, przypisując nam skażenie fanatyzmem i złą wolą, jakby chciał nam powiedzieć - nie macie prawa do patriotyzmu i własnej historii - tylko UPA ma prawo do tytułów kombatanckich za dokonane zbro-

dnie, bo była ofiarą zawirowania historii. Wymyśla się nawet działania UPA przeciw faszystowskim najeźdźcom, aby tylko dla zbrodniarzy uzyskać prawa kombatanckie. Trzeba tu dodać, że na terenie Ukrainy nie było ani jednego oddziału UPA. Jedynym działaniem UPA było mordowanie Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej z wyłączeniem Lwowa. We Lwowie Ukraińcy dokonali kilku zabójstw i przekonali się, że w tym ciągle polskim mieście nie mogli tego robić bezkarnie” (K. Bulzacki, *Polacy i Ukraińcy. Trudny rozwód*, Wyd. „Na Rubieży” 1997).

UPA, powtórzmy, działała tylko na określonym obszarze Państwa Polskiego. Nigdy nie przekroczyła granicy polsko-sowieckiej w obawie, że nie uzyska tam poparcia i uznania. Upowcy nie odważyli się nawet przekroczyć granicznej z Białorusią Prypeci. „Za Prypec bandy UPA nie odważyły się przechodzić, partyzanci bowiem wespół z białoruską ludnością zwalczały je skutecznie”. To słowa świadka, słynnego partyzanta Józefa Sobiesiaka - „Maksa” (z jego książki *Burzany*, MON 1964). Taka jest prawda, którą też należy pokochać, a między bajki włożyć słuchy, że UPA działała nawet w Kijowie.

A tak wyglądał „krajobraz po bitwie”, którego sprawczynią była „heroiczna UPA” widziany oczami tegoż Sobiesiaka: „W ciągu pierwszego dnia marszu na całej trasie wynoszącej około trzydziestu pięciu kilometrów nie spotkaliśmy ani jednej wsi zamieszkałej przez ludzi. Chaty były w większości spalone i zrównane z ziemią, a po ruinach błąkały się zdziczałe psy i koty. Tu i ówdzie spod przysypanej śniegiem ziemi sterczały ludzkie kości. Zdawać by się mogło, że jakiś straszliwy demon zniszczenia nawiedził tę nieszczęsną ziemię, pochłaniając człowieka wraz z tym wszystkim, co jego rozum i ręce stworzyły przez wieki. Z przerażeniem patrzyliśmy na tę pustynię, dosłuchując się w poświście wiatru płaczu dzieci i jęku mordowanych kobiet.”

Straszne to „dzieło” UPA i zarazem prawdziwe. Tę prawdę, aczkolwiek gorzką jak piołun, też trzeba przełknąć z pokorą.

Banderowcy i ich depozytariusze są świadomi tego, że UPA była rebelią wymierzoną w interes polski na Kresach. Polscy obywatele walczący o oderwanie od Polski części jej terytorium, dopuszczali się zbrodni zdrady stanu, co grozi najwyższym wymiarem kary. Są też świadomi faktu, iż byli (i obecnie są w Polsce) obywatelami RP. Przeto jako obywatele Najjaśniejszej mają w Polsce prawa należne wszystkim obywatelom - i jako tacy już w 1995 roku za pośrednictwem Rady Głównej Związku Ukraińców w Polsce złożyli do Sejmu projekt osobliwej ustawy. Chodzi w niej ni mniej ni więcej tylko o to, żeby Sejm przyznał banderowskiemu zbrojńcom, którzy byli więzieni w czasach stalinowskich, uprawnienia kombatanckie. Żart? Ale skąd, najoczywistsza prawda! Ale na tym nie koniec, zażądali, aby razem z tym Sejm uznał żołnierzy biorących udział w walce z ukraińskimi rebeliantami w ramach operacji „Wisła” za „zbrodniarzy wojennych” ze wszystkimi wypływającymi z tego konsekwencjami. To nie jest tylko bezczelność, to coś więcej - zgodnie z logiką przyjętą, jak głoszą ounowcy, od Żydów: nigdy nie przyznawać się do popełnionego zbrodni, a robić wszystko, żeby zrzucić winę z winowajcy na poszkodowanego, w tym wypadku z ukraińskiego kata na polską ofiarę.

Żeby tylko to: aby przeciwstawić się wielkiej, ogólnopolskiej akcji godnego uczczenia ofiar banderowskiego ludobójstwa, urządzić się publiczne kontrakcje wybielające OUN-UPA. Organizatorzy tych imprez nie zdają sobie sprawy, że swoim postępowaniem dostarczają światu argumentów o chorym narodzie, który nie chce uznać prawdy, boi się prawdy jak diabeł święconej wody, unika potępienia zbrodniarzy kreowanych na bohaterów, a przede wszystkim nie zamierza uderzyć się

w pierś załując, że w swoich szeregach ma wyrodných synów.

Dlaczego tak się dzieje? Wydaje się, że dlatego, iż Ukraina nie dojrzała jeszcze do prawdy. Wyprzedziły ją Niemcy i Rosja; w kłamstwie przewyższa ją jedynie światowe żydostwo - a to podobno dlatego, jak przekonuje prof. A. Paczkowski, że „nacjonalizm ukraiński był nacjonalizmem niespełnionych nadziei”. Był, czy jest nadal? Nie rozumie tego do końca prezydent RP, dlatego nawet nie próbuje działać, żeby pomóc Ukrainie pokochać prawdę. Trudno się zgodzić z dalszym wywodem profesora, jakoby Państwo Polskie znalazło się w niezręcznej sytuacji. Albowiem „interes państwowy jest taki, by starać się Ukrainę odciągnąć od Rosji”. Dlatego też „Prezydent Kwaśniewski i jego otoczenie (czytaj: źli i niekompetentni doradcy - E.P.) wykazują swego rodzaju ekwilibrystykę. Zdają sobie sprawę z tego, że ze względów narodowych i z uwagi na setki osób związanych z tą sprawą (czyli ze zbrodnią ludobójstwa - E.P.) nie powinni milczeć, ale równocześnie interes państwowy polski jest taki, by teraz nie bić się z Ukraińcami” („Nowa Trybuna Opolska”, 20.06.2003). Złe, bardzo złe rozumowanie, a do tego zgodne z „filozofią” banderowców. Właśnie banderowcy utożsamiają się z państwem, co nie jest prawdą. Nawet stary Giedroyc przestrzegał polskich polityków, żeby przestali postrzegać „nacjonalistyczny Lwów”, a zaczęli widzieć Ukrainę przez pryzmat Kijowa, bo tam nie ma etnonacjonalistycznych fobii. Warto się tego trzymać. Ale nasze władze wołają Lwów od Kijowa i patrzeć przez palce jak w Polsce wyrasta nowe pokolenie ukraińskie chowane w duchu OUN-UPA, którego marzeniem jest autentyczna walka z Polską o „odebranie” jej rzekomo okupowanej „Zakerzonii”.

Młodych Ukraińców zachęcają do tego Sekretariat Prezydium Światowego Kongresu Ukraińców, lwowscy pseudo-politolodzy Witalij Prociuk i Bohdan Zubenko, w Polsce znów au-

tentyczni analfabeci historyczni: Mykoła Siwyćkyj, Jewhen Mi-syło, Bohdan Huk, Mykoła Zymomria i Roman Drozd, a wspiera Hryćko Motyka. Prociuk w książce *Knyha pamiaty* (Lwów 1994) stwierdza: „Niechaj wiedzą swoi i obcy, że potomkowie nigdy i nigdzie nie wyrzekną się swego prawa do ziem historycznych, które zaborcy zabrali przy poparciu moskiewskich patroszycieli i przy amerykańsko-angielskiej milczącej zgodzie w Jałcie podczas konferencji 4-11 lutego 1945 roku”.

B. Huk, redaktor serii wydawniczej Archiwum Ukraińskiego w Warszawie, w opłaconej przez polskiego podatnika publikacji *Zakerzonja* pisze: „Zakerzonja - to nazwa na określenie części ukraińskiego terytorium etnicznego, która w następstwie konferencji jałtańskiej... znalazła się na zachód od linii Curzona... Pomimo heroicznego oporu UPA, ukraińska cywilna ludność (została) brutalnie wyrzucona z prajcowskiej ziemi... Jednak - na przekór wszystkiemu - Zakerzonja odradza się”.

W oparciu o tego rodzaju antypolskie i rewizjonistyczne sugestie, opracowany został program nauczania historii w szkołach ukraińskich w Polsce i zatwierdzony do użytku przez MEN 19 sierpnia 1997 roku (Program nr 4014-13 (97)), co jest smutne, żałosne, a może jeszcze coś więcej. Moje uwagi recenzyjne tego programu zostały przez MEN zignorowane.

Wszystko to razem wzięte zmierza do „udowodnienia”, że tzw. *Zakerzonja*, czyli najprawdziwsze polskie ziemie południowo-wschodnie dzisiejszej Polski, powinny wejść w skład państwa ukraińskiego. Stąd już tylko krok do rewizji granic dzisiejszej Polski, nie na korzyść tejże, jak by się mogło wydawać, lecz Ukrainy. Krok ten mogą postawić upowcy, jeżeli tylko Rada Najwyższa Ukrainy uzna banderowskich rizinów za kombatan-tów, bo ci w tych wysiłkach od dziesięciu lat nie ustają.

Właśnie ostatnio, w 60. rocznicę apogeum zbrodni przeciwko ludzkości OUN-UPA, doszły do Polski słuchy z Kijowa,

że grupa neonazistów po raz kolejny złożyła w parlamencie projekt przyznania byłym upowcom uprawnień kombatanckich. Chodzi o przywileje za każdego zamordowanego Polaka. Ponaglali, naciskali, żeby to się stało przed 11 lipca, tj. przed spotkaniem prezydentów Polski i Ukrainy w Porycku, gdzie ci rzezacze zamordowali około 900 osób. Na szczęście dla Ukrainy i normalnego świata, to się nie stało. Tylko, czy na długo? Ukraińscy naziści obawiali się, a Polacy na to liczyli, że tu, w Porycku, na pewno padną słowa: „to była zbrodnia przeciwko ludzkości”. Słowa te rzeczywiście padły rozwścieczając nazistów-banderowców - choć niezbyt dobitnie - z ust prezydenta RP, a bardziej stanowczo w homilii biskupa polowego Wojska Polskiego, gen. dyw. Leszka S. Głódzia. „Żaden cel ani żadna wartość - powiedział Aleksander Kwaśniewski - nawet tak zaszczytna jak wolność narodu, nie może usprawiedliwiać ludobójstwa i rzezi cywilów, przemocy i gwałtów, zadawania bliźnim okrutnych cierpień”. Sekundował mu prezydent Ukrainy Leonid Kuczma: „W tym miejscu, w którym spoczywają polskie ofiary, chciałbym, w imieniu wszystkich Ukraińców, którzy pragną pokoju i sprawiedliwości, wyrazić głębokie współczucie wszystkim skrzywdzonym Polakom, wszystkim, którzy ucierpieli skutek tej katastrofy”.

Dobre i to na początek, tylko że takie słowa Polaków do końca nie satysfakcjonują. Zabrakło słowa „przepraszamy”, prosimy o przebaczenie. Zamiast tych słów Polacy doznali kolejnych upokorzeń - nie tylko na skutek niewpuszczenia do Porycka kombatan-tów AK, ale i przez to, że na „pomniku pojednania”, który stanął w Porycku (Pawliwce) polski tekst został celowo przeinaczony, a na krzyżu mogiły zbiorowej w ostatniej chwili wymazano słowo „zamordowani”, tak jakby prawda o ludobójstwie UPA była dla gospodarzy terenu nie do zniesienia.

Polacy będą cierpliwie czekać na słowo „przebaczyć“, które jak dotąd ze strony ukraińskiej nie padło. Jest w tej sprawie już pierwszy syndrom. Mamy na myśli artykuł Wiktora Obdulenki pt. „Ja - też za prawdą i sprawiedliwością“ („Silski Wisti“, 22.07.2003). Autor apeluje o uroczyste potępienie złoczynów OUN-UPA udowadniając, że „banderowcy nie walczyli przeciwko niemieckim okupantom, ale przeciwko polskiej Ukrainie, gdzie mieszkała przeważająca część narodu ukraińskiego. Wobec tego nie może być mowy o jakiegokolwiek narodowo-wyzwoleńczej walce OUN-UPA. Nacjonaliści ukraińscy Stepana Bandery walczyli przeciwko swemu narodowi - to trzeba sobie uświadomić raz na zawsze! O jakim statusie weteranów II wojny światowej banderowców UPA możemy w takim razie mówić?“ - pyta W. Obdulenko zwracając się bezpośrednio do tych deputowanych Rady Najwyższej Ukrainy, którzy wnieśli o uznanie rzeźników polskich dzieci, kobiet i starców, za kombatantów.

Polacy-ofiary OUN-UPA mają nadzieję, że wobec takiego kompromitującego humanizm europejski faktu oraz wyraźnej prowokacji grupy deputowanych, rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej nie pozostanie obojętny. W sytuacji jednak popełnienia zamierzonego szalbierstwa przez Radę Najwyższą - Polska zmuszona będzie uznać Ukrainę za państwo jej wrogie, lub co najmniej nieprzyjazne - co niewątpliwie odbije się gromkim echem, nie tylko w krajach Unii Europejskiej, do których grona pretenduje Ukraina, ale także w całym kulturalnym świecie.

Prof. dr hab. Edward Prus